



**MA
CO
CHA**

Petra Hůlová

Tytuł oryginału: *Macocha*
First published in 2014 by Torst, Praha

Redakcja: Magdalena Granosik
Korekta: Magdalena Lalak
Projekt okładki: Kasia Michałkiewicz-Hansen
Projekt typograficzny i skład: Mimi Wasilewska

Przekład książki został dofinansowany przez Ministerstwo Kultury Republiki Czeskiej

Copyright © by Petra Hůlová, 2014
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Afera, Wrocław 2017
Copyright © for the Polish translation by Julia Różewicz, 2017
All rights reserved

ISBN 978-83-65707-12-3
Wydanie I, Wrocław 2017

www.wydawnictwoafera.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Od dziada do zaworów młynka

Wszystko zaczęło się od castingu

Blažková dzwoni po opiekę społeczną

Katolicki internat dla dziewcząt

Parujące półmiski

Marilyn Monroe

Bum

Wnosi się skargę

Odejście Marilyn i załamanie czasoprzestrzeni

Jarda wybawiciel

Metody pracy twórczej i odwiedziny T.K.

Moje zwykle ukochane dzieci

Półowa kasy

Kobieta Pająk

Goguś

Niemka Gerda

Polecamy

No, dalej, zgłaszać się, ręka do góry!, drę się na całe gardło z balkonu, lekko już pod wieczór podwiniona. Kto z was marzy o życiu gorszym, niż ma? Las rąk, las uniesionych rąk, aula pełna humanistów, ubóstwiających taplanie się w depresji, pewnych, że cierpienie zbliża do istoty rzeczy, zresztą, może i racja, zważmy jednak, że wśród osób, co sporo w życiu wycierpiały, jest o wiele więcej świni niż wśród tych, którzy nie cierpieli wcale lub tylko okazjonalnie.

Matka zawsze karmiła mnie, to myśląc, schodzę z balkonu, na którym spędzam większość wolnego czasu, i idę do kuchni nalać sobie ciepłej kranówki, najlepszej na ból pęcherza, tak więc matka zawsze karmiła mnie masą tak zwanych mądrości, które dopiero po latach zaczynamy rozumieć. A raczej – zaczynamy rozumieć, że one wcale nie są mądre, ale cóż bez nich wart byłby świat, sami powtarzamy więc te frazesy, żeby baranki, ludzkie baranki boże, szły jak po sznurku, bez przepychanek, i przytrzymywały sobie nawzajem klapki na oczach, to taka pomoc bliźniemu, zupełnie jak w samolocie, kiedy spada ciśnienie, maski tlenowe wylatują ze schowka i każdy w pierwszej kolejności przytyka taką do własnego nosa, a dopiero potem przypomina sobie o spanikowanych bliźnich.

Kiedy się napiję, jestem najtrzeźwiejsza. Wypełniony po brzegi czerwonym winem żołądek poskramia mnie, niczym kotwica łódkę w porcie czy chuligan motyla za pomocą pinezki (ciekawe, ilu jest w mieście nas, zapijających w pojedynkę każdy wieczór), po czym zaczynam sobie wyrzucać to i owo. Wypuszczam strzały usiłujące trafić w serce, tarczę, której tam nie ma, bo wszystko rozgrywa się między głową a żołądkiem, gdzie wśród sztormu na alkoholowym morzu wielocukry rozkładają się na cukry proste i mającą mocne postanowienia, że od jutra, od jutra wszystko zrobię lepiej.

Szkoda tylko, że zawsze trzeba zacząć od siebie. Właśnie dlatego ludzie zostają sami. Przez hołdowanie takim zasadom. Zaczynają od siebie, ale nie potrafią pójść krok dalej. Bo nigdzie nie jest napisane, kiedy dokładnie od pracy nad sobą przejść do tej drugiej, nad innymi, co gorsza, wiele osób tak mocno bierze sobie do serca tę pierwszą, że ego przysłania im miłość do innych, pewnie dlatego singlom wytyka się narcyzm. A wszystko przez zwykłe nieporozumienie, które zresztą jest motorem napędowym większości cokolwiek wartych rzeczy na tym świecie. Miłości przede wszystkim.

Wystarczy odrobina słońca czy kwitnących kwiatów i już czuję, jak mnie rozpieszcza, z miejsca mam ochotę wdać się w pogawędkę z ludźmi, którym normalnie nie mówię nawet dzień dobry, a tych, którym dzień dobry mówię, najchętniej wzięłabym w ramiona.

A kiedy latem przechodzę obok zalatującego szczyną skwerku przy mojej kamienicy, czasem rozumiem mowę ptaków, serio. Ostatnio marudziły, że w tym roku coś za dużo kotów.

Może sprawiam pozory ciotki bełkotki, lecz to wcale nie życie, ten milczek bez krzty zdolności pedagogicznych, tylko ja sama byłam sobie najlepszą nauczycielką. Zbierałam z ławek własne zeszyty i podkreślałam na czerwono błędy w zadaniach domowych. By później w kolejnych zeszytach robić dokładnie te same, jak to już bywa w życiu, które w moim przypadku wcale nie chyli się ku końcowi, przeciwnie, najlepsze przede mną. To, co nadejdzie, jak mówią, na jesieni życia. Czyli na emeryturze. Bo niby kiedy, skoro dalej już nic nie ma. I miejmy nadzieję, że to najlepsze będzie czymś więcej niż zwykłą czekoladą mleczną z nadzieniem karmelowym wetkniętą za hałdę zupki w proszku. Bo jeśli nie, z lekkim smuteczkiem można by stwierdzić, że nie warto było.

Tak się właśnie mówi. Że warto albo nie warto, że za wszystko się płaci, że zawsze coś za coś, nie ma nic za darmo, a jednak coś bywa. Szczęście w zamian za odrobinę cierpienia, oby tego cierpienia nie za dużo. Miłość w zamian za poświęcenie, lecz niewielkie, miłość w zamian za dyskomfort, też niewielki. Nic nie jest warte naprawdę złych czynów. Nawet moim zdaniem. I choć mogę uchodzić za maszynkę do mięsa czy młynek do otrębów, tak naprawdę otaczają mnie jedwabiste płatki i otwieram się o porannej rosie niczym lekko smyrnięty palcem smartfon.

„Halo! – krzyczę z balkonu – tu jestem!” Lecz nikt nie reaguje. Maszeruję śladem codziennych obowiązków, jak dzieci, które co rano muszą iść do szkoły, choć przecież marzyli, że kiedy w końcu tę szkołę skończą, będą żyć po swojemu. Jak ta z pierwszej ławki, z warkoczami, co wmówiła sobie, że kocha największego łobuza z rzędu pod oknem, a potem, na spotkaniu klasowym, w ogóle się nie poznali. Po swojemu, z własnym planem na życie,

obejmującym z początku wyprawę na stację polarną, zastąpioną z czasem przez staż w Brukseli i dwoje dzieci, małe cudenka, chociaż w sumie trochę błąd, ale co było zrobić, skoro jeden nie mógł mieć, a pierwsza miłość miała już własne.

Wołam, ale nigdy nie podnoszą wzroku, jakby całkowicie pewni, że to, czego szukają, kryje się w wyschniętej kałuży na chodniku, którym drepczą do pracy. I że to znajdą, jeśli tylko wytrzymają kolejny tydzień, rok, kolejne całe życie.

Wcale nie jojcę, tylko stwierdzam fakty.

Od dziada do zaworów młynka

Jego głowa zwisa za brzeg wanny. Dziad mój długo nie dzwonił i matka wysłała mnie do jego mieszkania. W tamtych czasach ludzie siedzieli w domu, czekając na czyjś telefon. Kiedy tylko zaczynam tak gadać, czuję, że rośnie mi biała broda starca, cała usycham i przybieram kształt trupiej czaszki z butelki po trutce na szczury, przekreślonej skrzyżowanymi kośćmi. Ja, co prawda, swoimi kośćmi palców kręcę młynka, mówiąc stare złote czasy, ale i tak zasługuję na fangę, bo stare czasy to przecież komuna, czyli nie żadne złoto, tylko uran, co się go tyle nawydobywali na przymusowych zsyłkach bohaterowie tej epoki, podczas gdy dziad mój, którego głowa bezwładnie zwisa teraz za brzeg wanny, jakby właśnie zapodał sobie działkę pierwszorzędnej hery, na zebraniach partyjnych zapalczywie domagał się śmierci owych bohaterów.

Portki ma spuszczone, kosa przyrznąła mu, kiedy załatwiał grubszą potrzebę. Dziad przyznał się do starych grzechów fiutem mięciuchem sflaczałym w gąszczu siwych łoniaków. Martwym fiutem, który łypał na mnie z sedesu, powiedział to, czego nie zdołał wyrazić słowami. Kiedy tamtego dnia, jeszcze jako dziecko, znalazłam go w łazience, miałam wrażenie, że fiut prosi, bym przejechała po nim dłonią, jakby zamykając oczy zmarłemu, i gdyby obrzydzenie i strach spakowały manatki, pewnie nawet spełniłabym jego prośbę. Zamknęłabym mu ślipko. Śpij, co tu po tobie. Ale stałam tam tylko jak wrośnięta w ziemię, z rozkołatanyim sercem. Jakby fiut był piorunem, który właśnie rozpołowił drzewo, zapomnianym gdzieś w kącie aparatem fotograficznym, który nagle ożył, gdy ktoś znienacka zerwał z niego starą szmatę, i zaczął szaleńczo pstrykać fleszem. Ha, widzę cię, świecie, i od teraz będziesz mój! Jak nagle wyciąg-nięta z wody ryba, co rzuca się, szamocze i próbuje łapać tlen, którego zawsze jest mniej, niż to

konieczne, by nie zdechła.

Czasem trzeba wstrząsu. Sąznistym łupniem przełączyć na inną radiostację, szok, jak na wizycie u niezdarnego ortopedy, który zamiast nastawić kręgosłup, sprawił, że wypada wam dysk; trzeba wstrząsu, mówię wam, a jeśli nie wierzycie, róbcie sobie, co chcecie, droga wolna.

Niezwykłą na ten przykład moc uzdrawiającą ma kopanie w ziemi i gdybyście kiedyś przechodzili pod moim balkonem i wyjątkowo podnieśli wzrok, przekonalibyście się, że nie napędza mnie słomiany zapał kobiety, która chwyciła się modnego *urban gardeningu* i namiętnie sadi rukolę, wystukując jednocześnie upaćkanymi ziemią balkonową paluchami awansik na swoim bardzo w związku z tym upaćkanym iPadzie, nie, mnie napędza umiłowanie świata i potrzeba zatroszczenia się o niego. Dogłądałam wiernie jak pies mych kwitnących masturbacji i pizdenii rozkrokowej, gdy ma ciche dni, zresztą zwykle mamy je razem, bo tak to działa, i jeśli naprawdę chcecie się czegoś dowiedzieć o waszej ogrodnicy, nie patrzcie, jak przycina wiśnię karłowatą, lepiej spytajcie, czy przechodzi menstruację wraz z krokusem i różą.

Międzyludzkość dość mocno ostatnio dziurawieje, co próbuje się łątać wspólną rekultywacją gleby. W naszej dzielnicy otworzyli niedawno ogród społeczny, a ludzkości tam jak rzęsy w bagienku. Drobiazg z naszego domu naprawdę się tam brata z drobiazgiem sąsiadów, podczas gdy zwykle dziatki tylko machają do siebie z aut w drodze na głupie kółka zainteresowań, kiedy jedna matka akurat stoi na pasie skrętu, a druga jedzie prosto *nach Kaufland*. Łatwo machać z takiego forda mondeo czy toyoty lexus, myślę sobie (żeby dojrzeć skrzyżowanie z mojego balkonu, muszę boleśnie wygiąć kark), dużo trudniej przywitać się z bliźnim w sklepie, wśród półek z towarami. Z drugiej strony, o dziwo, łatwo odezwać się na Twitterze, i takie właśnie kontrasty, tak i nie, łatwo kontra trudno, są solą życia. Nic nigdy nie jest jednak łatwe na tyle, by nie mogło być łatwiejsze, więc raz, w amoku ogrodniczym, nakupiłam tyle donic i worków z ziemią, że mój balkon, za przeproszeniem, mało nie piznął pod ich ciężarem. Źle by było, gdyby piznął. Mieszkam w zabytkowej kamienicy i nie chcę, żeby jakiś konserwator czy kierownik budowy naniósł mi błota do przedpokoju, przechodząc na balkon i podliczając zniszczoną sztukaterię, mało tego, mogą nasłać na mnie jakichś

zbirów, którzy wkradną się do mieszkania i wyniosą mój laptop i moją biżuterię w zwoju z mojego perskiego dywanu. Jejku. Człowiek tylko wiecznie się zamartwia.

Już widzę, jak leżę na dole, na ulicy, wygrzebując się spod ruin zawalonego balkonu, cała w pyłe, jak wydostające się spod gruzów ofiary ataku terrorystycznego, i myślę sobie: też jesteś terrorystką, a twój terror to zbyt wielkie oczekiwania, ostrzysz sobie zęby na zbyt wiele spraw, wiecznie ci mało. Spod grubej warstwy pyłu na przechodniów patrzy para szaroniebieskich zdezorientowanych oczu, może nie patrzą na nich, tylko gdzieś dalej, a cała ja tworzę fotogeniczny obraz nędzy i rozpacz. I, rzecz jasna, od razu ktoś robi mi zdjęcie komórką, nie wiem, czy to zwykły użytkownik prywatny, co chce zaspokoić swój głód sensacji, czy też fotograf z profesjonalnej agencji, w tym samym celu. Trzeba się otrzepać, założyć pantofelki, zrobić się na bóstwo. A kiedy tylko znajdę chwilę, muszę pomalować paznokcie, przypominam sobie, i proszę bardzo, kamienujcie mnie tekstami, że chciałybyście mieć takie problemy, że takie troski to kamień z serca, ulga, jak test ciążowy, który w końcu pokazał dwie kreski, czas najwyższy, bo stuknęła wam czterdziestka. Ciut kariery już było, a jeśli nie, żadna wielka raczej was już nie czeka.

Tak więc zdmuchuję lekko pył z paznokci i wracam do życia, przekonana, że terapia szokowa jest zbawienna. Co nas nie zabije, to nas wzmocni, a jeśli znajdujesz się w sytuacji, która ma nawet własne przysłowie, to już połowa sukcesu, bo pomału zaczynasz chwytać, o co chodzi w tym całym życiu.

Obserwuję uliczny kocioł z balkonu także dlatego, że wypatruję gościa. Z którym mogłabym porządnie sobie pogadać, od stworzenia świata począwszy, a skończywszy długo po północy, i nawet dołożyłabym mu się do taksówki. Wcale nie po to, żeby musiał potem, rad nierad, wracać, by oddać pożyczony szmal, tylko z czystej wdzięczności za rozmowę od serca. Rozmowę bez wyrzutów o czerstwe pieczywo, o to, kto obiecał, że zadzwoni do faceta od naprawy pralki, bez wstydu, że dowie się o moich dawnych matactwach, bez zastanawiania się nad tym, jak znosi rozmowę o swoim ojczyźnie (tego i tak bym nie wiedziała).

Krótko mówiąc, najlepiej rozmawia się na zielonej łące, od której deweloper trzyma się z daleka. Szkoda, że z biegiem lat teren zieleni jest

coraz gęściej zastawiony pudłami, które należy omijać, bo rwie się rozmowy nić, a potem, z czystej przezorności, jeździmy po tym placu manewrowym trzydziestką, czasem wręcz bojąc się otworzyć oczy. Bo dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, i niech wam się nie zdaje, że ktoś wymyślił to przysłowie ot tak, dla jaj.

Jeśli o mnie chodzi, staram się unikać świata, i gdy z mojej szafy na ubrania wylatuje mól, z miejsca potrafię wczuć się w jego skórę i wyobrazić sobie życie w ciemnościach wśród płaszczy. Całoroczna egzystencja w zakurzonym flauszu, jedynie od czasu do czasu przerywana skrzypieniem drzwi owej szafy, kiedy chcę wyjąć jebotko, by oddać je do czerwonego krzyża, ale tylko pod warunkiem że będzie do cna zeżarte. Nad tym właśnie pracuję okrągły rok w skórze pani mól, a potem raduję się na widok własnej arbuźowatej twarzy, która pojawia się w szparce drzwi szafy i stwierdza, że bolerko jest już wystarczająco obrzydliwe. Nie mam już wtedy nic do stracenia, prócz przeżarcia, z lekkim sercem oddaję narzutkę potrzebującym i zalewa mnie wiara w pogodne ludzkie twarze.

Czasem uciekam w myślach w opieszale stare czasy. Niekończące się bicie zegara, styl biedermeier, polerowanie mebli bawełnianą szmatką i wymyślanie nowych słów, aby skrócić sobie czas oczekiwania na kolejnych, zapowiedzianych, rzecz jasna, gości. Nowe słowa rodzą się w mojej głowie z zadziwiającą wręcz prędkością, w pięć sekund powstałyby więc gadadło, huštawiak i ścisłowidz, a nim by się gość zdążył wysmarkolić w haftowaną chustkę, na świecie byłyby już ponaglator, szwargocer i rejwaszka. A potem moi goście, wyglancowana parka, bo innych bym do domu nie wpuściła, dość zaskoczeni, patrzyliby, jak pod moim balkonem zbiera się gromadka zagluconych dzieci, którym spuszcza na kołowrocie wiaderko pełne nowiusieńkich słów, które potem na karteczkach roznoszą po całej dzielnicy, bo, ach, zdobycie serc młodego pokolenia to klucz do sukcesu.

Ulica, którą widzę z balkonu, to niestrawne ciasto świat, które staje mi w gardle za każdym razem, kiedy usiłuję zachować choć pozory powagi i wpałaszować je, niczym robiącą do mnie słodkie oczy malinę. Żadna z ciebie malina, nie zgrywaj się. Dobrze, że z czasem pojawia się przynajmniej w człowieku coś w rodzaju sprytu, bo tak poza tym czas,

niczym powódź brzegi, rwie nasze doświadczenia na strzępy, niemiłosiernie odpływające gdzieś w mrok, by tam połączyć się w kontynent fałszywych wspomnień.

Zakładając, że siedzimy w samolocie, przed lądowaniem, kiedy zasłona chmur rzednieje i naszym oczom ukazują się wzruszające mikrodrogi i mikrodomki, w których prawdopodobnie żyją mikroludzie, zapytuję, drodzy współpodróżni, ilu z was chętnie zrobiłoby łubudu i zrzuciłoby na któryś z mikrodomków bombę? Ale by się paliło, fajniusi żar! Jezu, no. Wiadomo przecież, że żyjący w mikrodomkach ludzie częściej bywają źli niż dobrzy, poza tym jest ich tak dużo, że nikt nie zauważyłby małego niedoboru. A już na pewno nie z samolotu, zresztą, gdybyście podróżowali drogą lądową po tych naszych euroregionach, też nikt raczej nie wiedziałby, o jakie zburzone domy chodzi, sąsiedzi ze wsi obok powiedzieliby, że nie wiedzą, ale słyszeli o nich w telewizji i sami są ciekawi, gdzie dokładnie stały. Chociaż nie, raczej wcale by nie byli ciekawi, samochodu też by wam nie pożyczili. Przecież od tego są wypożyczalnie.

Każdemu się coś złego może przytrafić. Można wręcz gorzko zapłakać nad losem co poniektórych nieszczęśników, którzy właściwie, zupełnie bez swojego udziału, dostali wciury od życia. Czym jest więc w porównaniu z całym złem świata jedna mała bomba, szczególnie jak się wie, że w mikrodomku mieszka hochsztapler, co bezpiecznie wyciąga dotacje unijne na produkcję młynków do pasteli, słusznie trzymając się teorii, że nikt nie wie, czym jest młynek do pasteli, ani, tym bardziej, nie zna się na paragrafach ustawy o zaworach młynków do pasteli.

Zawsze zapędzam się tak daleko w technologię i konstrukcję świata, kiedy nie chcę mówić o mojej własnej. Jestem bowiem skonstruowana jak gazeta bez aktualności, do asamblażu dnia dzisiejszego w zupełności wystarczy mi dzień wczorajszy, któremu z kolei wystarczy przedwczoraj, idąc tym tropem, cofamy się do rokoko, starożytnego Egiptu, epoki kamienia łupanego, skrzypów i widłaków, poprzez związki nieorganiczne aż do prazupy Drogi Mlecznej, którą poprzedza już tylko odwieczny spokój niebytu, a ja tęsknię za nim jak dzieci na zielonej szkole za mamą.

Obojętne, jaka jest wasza metoda. Czy prowadzicie batalię pod postacią mola odzieżowego zamkniętego w ciemnej szafie, czy też po swojemu,

w jakiś bardziej oryginalny sposób. Pamiętajcie tylko, że to, co wywalicie drzwiami, wróci do was oknem. Wszystko zaczyna się i kończy w tym samym punkcie, i to wcale nie w punkcie zero, bo zero to żarłok z pustym bebeczem, stworzenie to ćmuk, a koło życia to wąż, co zjada własny ogon, o! zupa mi się przypala, bo rzeczywistość zawsze potrafi dać o sobie znać. Rzeczywistość przywiązuje mnie do siebie, jak kosmonauta przywiązuje się linką do statku kosmicznego, kiedy akurat zmienia uszczelkę w podwoziu i istnieje zagrożenie, że fiknie kozła w samiutki wszechświat i spędzi resztę życia na locie w dół i w dół, i w dół.

Biegnę więc lekko chwiejnym krokiem do kuchni, kafelki migoczą jak kolorowe plamki figlarnej mozaiki na stacji metra Staroměstská, zaglądam do gara, bulgocze niczym magma, zresztą, wygotowana zupa pomidorowa ma nawet podobną konsystencję. Kiereszuję dno łyżką, niuchając, jak poważny jest stopień spalenizny, zeskrobuję, mieszam, przelewam, ostatecznie bryzgam odrobiną mleka. Niestety, śmietany nie ma, wychlustałam wczoraj całą do kawy.

A tak poza tym jestem ascetyczną introwertyczką ze skłonnością do słownego ekshibicjonizmu, mam też rzadki dar: potrafię za pomocą ogromnej ilości słów nie przekazać zupełnie nic, i na odwrót, umiem przekazać tę resztę za pomocą czego innego, a gdyby moja druga połówka powiedziała teraz, że tym czymś jest uśmiech, bez wahania powiedziałabym, oj, Jarda, nie musiałeś. Przecież tak rzadko się uśmiecham, najczęściej-ciej, kiedy jestem sama i nikt mnie nie widzi. A może, kiedy instalowałeś mi internet i malowałeś pokoje, zamontowałeś też kamerę, co? Kamerę, która widzi, jak się śmieję, a potem leci do ciebie na skargę, że w twoim towarzystwie śmieję się dużo rzadziej niż w towarzystwie tych trzech pokoi z kuchnią, w której właśnie rechoczę nad garem przypalanej zupy?

Z Jardy jest fachura. Właściwie od zawsze imponowali mi praktyczni mężczyźni. Z mężem od dawna się nie widzimy, ale nie potrafiłabym powiedzieć, że go nie kocham, prędzej bym się pod ziemię zapadła. Miłość nie umiera. Nie prawdziwa. Hibernuje tylko, jak kosmonauta uwięziony w pseudotrummy, co zmierza na planetę oddaloną o setki lat świetlnych, a przecież po wylądowaniu musi wyglądać jak wcześniej, skoro to ten sam aktor.

Zupełnie nie wiem czemu, kiedy mówię o sprawach Ziemi, tak często nawiązuję do astronautyki, której nic nie jest bardziej obce niż czyste

uczucie, gdzie prym wiedzie dusza. Ciała tylko pokornie czekają, co takiego wspólnie zmajsują dusze i czy w ogóle przyjdzie na nie, ciała, kolej, czy może pozostaną w pozycji ustalonej *stand by*. Jak zatrzaśnięty laptop, który bez przerwy cichutko mruczy i nie wykazuje inicjatywy, choć niezaprzeczalnie wyjada energię z kontaktu. Czytałam raz, ile stukoronówek rocznie potrafi wciągnąć taki laptop w stanie uśpienia, i chociaż artykuł miał chyba przerazić czytelnika, mnie raczej uspokoił: żywi się prądem, rozumiem to.

Bo w dzisiejszych czasach samo zrozumienie jest niemałym sukcesem, a prawdopodobieństwo, że spotkacie się z nim na ulicy i podacie mu rękę, jest mniejsze niż że podacie ją swojemu ulubionemu aktorowi serialowemu, który w ciemnych okularach na nosie kupuje właśnie mleko, ser i jajka, wywołując w innych bezgraniczne zdumienie. Jak to? Ty też? Myślałem, że żywisz się aktorstwem, nie kaloriami, reagujemy, zaskoczeni jak dziecko, gdy odkryje, że pani nauczycielka też robi kupę, a na kołnierzyku bluzki ma okruszki ze śniadania. Ten szok, że nie mieszka w szkole i nie żywi się kurzem startym z wypchanych sów z pracowni biologicznej i oparami z próbek. Proces ten nazywa się utratą dziecięcej naiwności i jest odkryciem dużo bardziej przełomowym niż wszystkie eksperymenty z chlorowodorem na kółku małego chemika, gdzie wspomniana pani nauczycielka dorabia po godzinach.

Zresztą, tę belferkę możecie spotkać na ulicy nawet częściej niż znanego aktora z seriali, który przez zbyt liczne zmiany telewizyjnych wcieleń pogodził się z faktem, że coraz mniej jest chwil, gdy rozumie ten świat.

Mówię na nią belferka, chociaż nie ma koka ani surowych zmarszczek wokół ust (podczas gdy aktor rozbija się po dzielni autem z przyciemnianymi szybami, nauczycielka pokonuje tyle samo kilometrów dziennie swoją škodą fabią, na własną szkodę), chociaż kto wie, może już jej się zrobiły zmarszczki, tyle że nie widzę ich z balkonu. Dżinsy ma Diesla, to wiem na pewno. Buty funkiel nówka, sweter, jak na moje oko, Marlboro, tegoroczna kolekcja wiosenna. Typ krótko ostrzyżonej babki, której chyba się zdaje, że kogoś może jeszcze dzisiaj pociągać jakaś chłopięcość u kobiety, czy co. W stylu „przyjdź i zobacz, co się we mnie kryje”, a ja, specjalnie dla ciebie, po kilku tygodniach penetracji, wyjmę z kapelusza nie królika, a tygrysa, tygrysicę raczej, i będzie ci z nią tak, jak jeszcze z nikim na świecie. W dupie mam takie łamigłówki. Między *femme fatale* a wyrachowanym babskiem nie

ma znaku równości, podobnie jak nie ma go między niebieskim swetrem belferki a dobrym gustem, za to między jej swetrem a wyrachowaniem już znak równości jest, bo nosi do niego niebieską apaszkę i niebieskie sznurówki, a na to i ja, i mężczyźni odwracamy z niesmakiem głowy.

Jarda zawsze to wiedział. Znam się na kobietach. Potrafię przejrzeć je jak skaner i fakt, gdyby szła ulicą z workiem substancji psychoaktywnych w odbyticy, może by mi to umknęło, ale na obłudę jestem wyczulona jak żeglarz na świat-ło latarni morskiej i natychmiast szaleję jak czujnik w bramce na lotnisku, gdy podróżny zapomina o pasku ze sprzączką, jeżeli taka babka, przysypując warstwą świeżych truskawek zgnilaki w koszyczku, próbuje mi wcisnąć, że jest kimś, kim nie jest. Nietoperz rozpoznaje ultradźwięki niesłyszalne dla ludzkiego ucha, ja natomiast mam specjalny radar, który wyje we mnie niczym kogut karetki wiozącej przez miasto ciężki przypadek, choć kobieta obok myśli, że zauważyłam jedynie jej rozmazaną na zębach szminkę, była to bowiem jedyna rzecz, o której jej w swej kurtuazji wspomniałam.

Wy też nie mówicie głośno, co naprawdę uważacie o drugiej osobie? Mówią na to dorosłość, ale nie mają racji, bo mój Jarda to chłop jak dąb, a zawsze rozmawia ze mną bez ogródek. Co w sercu, to na języku. Będziemy razem żyć, kocham cię. Tylko czy to możliwe? Mówi do mnie kochana i zawsze naprawia w mieszkaniu wszystko, co się popsuje. Rozumie na tym świecie dokładnie wszystkie rzeczy, których ja nigdy nie rozumiałam. Skąd się bierze internet i dlaczego jest dmuchany. Dlaczego prąd płynie w drucie, ale nie da się go schować na później w wiaderku czy czymś. Dlaczego samolot nie spada, a nikt jeszcze nie wymyślił latającego roweru. Dlaczego w moim komputerze wyskakują okna, a te prawdziwe okna, w mieszkaniu, tylko bez przerwy bardzo powoli spływają, choć nigdy nie spłyną do końca. Nie uda im się, nie zdążą, nawet w ciągu całego życia człowieka. Takie jest krótkie. To wasze też. Że nawet szkło szyby nie zdąży spłynąć. I jak niby człowiek ma zdążyć osiągnąć coś sensownego przy tak morderczym *deadline*?

Wszystko oczywiście zależy od punktu widzenia, i macie rację, nie mogłam chyba strzelić większego banału, ale niektórzy, o dziwo, nawet tego nie zdołali pojąć. Wałą głową w mur, wciąż tkwiąc w tym samym miejscu, jakby myśleli, że do wydrążenia tunelu – wszystko jedno, czy chodzi o tunel

w masywie skalnym, rodzinnym czy masywie zwykłych ludzkich przyzwyczajęń – wystarczy zwykła łyżeczka, którą w sobotę zajadają tort Sachera, gdy przecież do wyrżnięcia tunelu czasami nie wystarcza nawet dynamit, i trzeba z niewzruszoną miną powtarzać eksplozję trzy czy cztery razy.

To wyłącznie kwestia siły. Sprawy duchowe kulą się w kącie i czekają, a kiedy będzie po wszystkim, wyskoczą i spiją śmietankę, ale zasadnicza jest tu energia i (muszę przyznać) męska siła. Trzeba walić, po prostu walić, najlepiej młotem pneumatycznym, a jeśli znajdzie się idiota, co wydrąży tunel, ale potem zmieni zdanie i postanowi nigdzie się nim nie wybierać, niech skoczy na lekcję do Szwajcarii. Tam każdy tunel musi być zarazem wytrzymały i łatwy do zburzenia, na wypadek gdyby trzeba było stawić czoło wrogowi, i nie wciskajcie mi kitu, że nie macie wrogów. Szwajcarscy partyzanci z krzesiwkiem w dłoniach wysadzą tunele i ukryją się w sercu ziemi. Nie, moi drodzy, rycerze z góry Blaník nie nadejdą, by pomóc narodowi w trudnej chwili. Nie. Wszystko jest wyłącznie w naszych rękach.

Świadomość to także dorosłość i, tak samo jak z ciągłym niewyrabianiem się w naszym życiu, krótszym niż życie szyby (której życie też jest bardzo krótkie w kontekście wieczności), nie no, stop, bo zaraz mi łeb pęknie i padnę jak długa na szafkę kuchenną, punkty widzenia bywają różne, tak samo jak podejścia, przejścia i wyjścia. W naszych hiperrelatywnych czasach bez przerwy ktoś wyciera sobie gębę tego rodzaju stwierdzeniami, osobiście nazywam takich ludzi chachmęty, bo sensowny sposób rozumowania jest jak nogawka, a powiedzcie, czy ktoś normalny zgubił się kiedyś nogą we własnych spodniach?

A skoro porównujemy myślenie do nogawki, stąd już bardzo blisko do kreskówek, w których myszy chodzą w fartuszkach, grzyby mają oczka, a lisy jedzą łyżką, że już nie wspomnę o ekstremalnym przypadku ciężarówek z mrożonkami, na których ktoś wymalował kurę z apetytem wymachującą chochlą, roześmianą, jakby wprost nie mogła się doczekać rosołu z własnych flaków. Nie. Ludzie od dawna nie są naturalni, mimo że, albo raczej właśnie dlatego że tak bardzo chcieliby być, przynajmniej niektórzy (tych kilku naturalnych, którzy pozostali, naturalnie nie interesuje bycie naturalnym). Poza tym właściwa interpretacja tezy – uwaga, bo teraz spod niezliczonych warstw mojej słownej cebuli wyłoni się jądro – właściwa interpretacja tezy, że rycerze z góry Blaník nie nadejdą i wszystko jest

wyłącznie w naszych rękach, nie polega na masowym położeniu na wszystkim lachy, zdaniu się na grzechu laskę i nielaskę, by odtąd już tylko kłąć i oszukiwać, zresztą, miłośnicy lach i lasek też wyjdą na swoje, bo czemuż by sobie żałować, skoro Bóg umarł, rycerze nie przyjadą, a my jesteśmy tylko pyłkiem wśród burz? Otóż, powyższa interpretacja jest dobra wyłącznie dla nogi, która zamiast wyjść ze spodni przez nogawkę, wygramoliła się przez dziurę na kolanie albo kieszeń rozdartą przez telefon komórkowy.

Lecz jeśli komuś nie brak piątej kleпки (to tylko wytarty frazes, niemający, rzecz jasna, jako argument w dyskusji grama sensu), słowa, że wszystko jest wyłącznie w naszych rękach, go nie zmiażdżą, przeciwnie, napędzą, jak klacz smagnięcie batem, jak *a idźże do diabła!* usłyszane od złego ojczyma, jak refren ulubionej piosenki, a ten, kto przy ulubionej piosence pomyślał o naszym hymnie narodowym, może sobie wpisać plusa, zresztą ja też zasługuję na nagrodę i niniejszym udzielam jej sobie w postaci kielonka rumu kubańskiego. Właśnie idę sobie nalać, zasłużyłam, za te wszystkie mądre słowa, zwieńczone jedną tylko porażką, mianowicie faktem, że oto łamię postanowienie o popołudniowym zakazie picia. Smutna to prawda, lecz nie każdy piątek świątek, więc zrobmy sobie świątek. I być może kogoś to zdziwi, ale zaschnąć w ustach może nie tylko od gadania, także od rozmyślenia, tak tylko mówię, na własne usprawiedliwienie, ciesząc się, że barek z alkoholem nie stoi w kuchni, gdzie teraz unosi się smród spalonej pomidorówki, ale tutaj, pod ręką, tuż obok przeszklonego kredensu z rodzinną porcelaną stołową.

Jarda bywał świadkiem moich odjazdów, do których często dochodziło właśnie tu, po prawej od przeszklonego kredensu, i mówił wtedy, spokojnie, spokojnie, bo jeszcze *po ciebie przyjadą*. Znacie to uczucie, kiedy słowa, które mają uspokoić, działają jak płachta na byka? Jakby obryzgać stos niewinnego męczennika benzyną, unieść pokrywkę garnka i podlać sosem własnym nieszczęsnego kurczaka, który przyjechał do rzeźni ciężarówką z obrazkiem, na którym uśmiechał się radośnie w czapeczce kuchcika, z chochlą pod skrzydełkiem. Uspokajanie w rodzaju pokrywy na studzienkę kanałową, przykryjmy te śmierdzące ścieki, byle ich nie widzieć, nie czuć. A potem młodzież z liceum plastycznego bierze taką pokrywę, obciąża

papierem pakowym, zamazuje węglem rysunkowym – i proszę, pokrywa na studzienkę nagle zmienia się w sztukę. „Patrz, dotknąłem samego dna!”, wydziera się potem taki ulubieniec muz, wymachując komuś przed nosem swoim dziełem.

I tyle samo, co od węgla kreślarskiego do normalnego kopalnego (czyli mały kawałeczek), a od węgla kopalnego do zagłębia, czyli dziury, a od dziury do kobiety, jest od kobiety do ukochanego mężczyzny, kiedy dopadnie ich Amor (a z T.K. mieliśmy do siebie naprawdę bardzo bliziotko). Pierdoliliśmy się w miejscach publicznych (żona T.K. po wielu przepłakanych nocach wybrała strategię „dam ci się wyszaleć, i tak wrócisz, gdzie twoje miejsce”), i jak wiosna objawia się pąkami kwiatów, u mnie miłość zwykle objawia się żylakami, podobnymi do hemoroidów, z tą różnicą, że ból i tęsknota zwykle gniotą mnie nie w tyłek, lecz w splot słoneczny.

I możecie drwić, lecz wiedzcie, że drwicie tylko z własnego zadęcia, jeśli wam się zdaje, że do prawdziwej miłości bardziej pasuje elegancka restauracja czy pełna śpiewających ptaków i pokryta kwieciami majowa czereśnia niż kiczowata odpustowa ozdóbka z napisem *Kocham cię*. Bo ostatecznie tylko o jedno tu chodzi, wcale nie o to jedno, przed którym, o ile jesteś kobietą, ostrzegała cię mama, kiedy miałaś piętnaście lat. I uprzedzam, że o tamto jedno tak naprawdę nie chodzi ani trochę, jeśli miłość jest prawdziwa, druga sprawa, że szewc bez butów chodzi, a kto nam te wszystkie buty szyje, to pytanie godne zakładu dla inteligentnych inaczej, uważam bowiem, że im oraz jebiącym bez pomysłu mongołom też należy się prawo głosu, mimo że zdrowa część społeczeństwa wówczas zostanie bez butów.

„Spokojnie, spokojnie, bo jeszcze *po ciebie przyjadą*”, mawia Jarda, albo: „Naprawdę chcesz tak żyć?”, na co ja odpowiadam: „Chcieć plus nie chcieć to chcieć czy nie chcieć?”. I nikt nie musi przyjeżdżać, sama sobie poradzę. Całe życie gdzieś się wożę. Wożę się po różnych dziurach, nogi na ziemi, a głowa w chmurach. Wożenie, odwożenie, odwaga, można być odważnym albo nie, ten, co nigdy nie zesrał się ze strachu, prawdopodobnie odkłada to uczucie na wspomnianą wcześ-niej złotą jesień życia, a kiedy mknie kolejką w labiryncie duchów, cały czas zasłania oczy i wmawia sobie, że przerażające odgłosy zombie to kwestia nagłośnienia, nie chcąc dopuścić

myśli, że meluzyna od czasu do czasu wije się w nim samym, i zamiast po takiej przejażdżce wysiąść z wagonika i przewartościować swoje życie, przestać wzruszać na wszystko ramionami i histerycznie powtarzać *dajcie mi wszyscy święty spokój*, facet idzie sobie spokojnie na kielbasę z rusztu i wydaje mu się, że sprawę miłości załatwił nieudaną próbą wygrania na strzelnicy kilku róż z bibułki dla swojej lubej, bo przecież prawie się dziewczyna rozplakała ze wzruszenia.

Jak kto we mnie kamieniem, to ja w niego chlebem, myślę wsparta o kredens w salonie, nalewając sobie trzeci kielonek dla kurazu. Tylko czy tu w ogóle chodzi o kuraz, czy raczej o wyłączenie hamulców bezpieczeństwa w windzie mojej głowy, by jak wystrzelona z Bajkonuru poszybowała w górę i wyrwana z kajdan szarej codzienności zaczęła mylić bezczelność z wolnością, a odlot z polotem? Srał pies rymy. Srał pies romantycznie zamglony obraz świata roztaczający się przed krótkowidzem, który na moment zdjął okulary, by je przetrzeć, i nagle zamiast wysypiska pełnego śmierdzących odpadków widzi płótno van Gogha, pole w pobliżu Arles, co z tego, skoro dzieje się to tylko w krótkiej chwili polerowania szkieł.

Nic z tego nie wynika. Po co te wszystkie rymowanki, liryka, którą się pryka, zresztą, to także Ty, Boże, nauczyłeś mnie z góry zakładać krytykę innych, olewać ją już na dzień dobry, nim dzień dobry przestanie mi mówić Blažková z naszego piętra, i to wyłącznie dlatego, że nie podoba jej się moje popołudniowe picie. Stara krowa!

Wszystko zaczęło się od castingu

Pędzę na własnej głowie niczym na saniach po śniegu zdarzeń, zwykle bardzo osobistych, lecz kiedy robi się zbyt autystycznie, ściskam lejce, popędzam konia, a mój zaprzęg wznosi się wysoko i szybuje nad miastem jak ptak wędrowny. Drapieżny ptak, którego jedynym celem jest schwytywanie myszy na drugim końcu kontynentu.

Pytanie, kto jest ptakiem, a kto myszą, bywam tym i tym na zmianę albo tym i tym naraz, na przykład kiedy Jarda raz poprosił: „No, napij się porządnie i opowiedz mi w końcu coś o swoim życiu”. A ja na to: zanim dziadek, martwym fiutem, przyznał się do starych grzechów, ojciec i matka wozili mnie co lato na obóz. A dokładniej: odwozili na autokar, nie samochodem, tylko tramwajem, o, sami widzicie, jaka ze mnie wiarygodna narratorka, kiedy tylko palnę jakieś głupstwo, zaraz się poprawiam. Zawsze miałam najcięższy plecak ze wszystkich dzieci. Mur z kłopotów, niczym mur ochronny przed grupą, i nie chodzi o ochronę, którą nawleka się na członek, raczej coś w rodzaju muru wokół członka, którym byłam ja. Zawsze wystawał i zwykle spóźniał się na zbiórki, nie potrafił ot tak sflaczeć i zwisać sobie w rozporku, pisał za to przejmujące pocztówki do domu i umiał najdłużej z drużyny wisieć na drążku. Wisiał tam tak długo, aż zastępowy przychodził, żeby go zdjąć. Zastępowy, podobny do oszusta, udającego w korytarzu naszej kamienicy, że przeprowadza casting do filmu z Sagvanem Tofim, który sprawdzał osobiście, czy nadają się do jednej z ról drugoplanowych. Dziecko stojące sztywno jak kukła, które wszystko znosi, bo wie, od zawsze wie, że dorośli są dziwni. Niby dlaczego ręka obcego mężczyzny w miejscu, gdzie jej być nie powinno, miałaby się wydać dziecku dziwniejsza od niezrozumiałych, prowadzonych podniesionym głosem, rozmów dorosłych?

Krzyczę ze swojego balkonu, że te biedne małe dziewczynki o niczym nie mają pojęcia, i mam gdzieś, czy *po mnie przyjadą*, Jardy nie ma, nikt mnie więc nie uciszy i nie położy do łóżka delikatnie jak lalki z liści kukurydzy.

Dziękuję, postaw mi jeszcze wodę obok łóżka, powiedziała bym ja, lalka z kukurydzy, a moja spódnica szeleściłaby jak liście, które Blažková grabi przed domem. Ale tamta uniesiona w górę spódnica, wtedy, w korytarzu, nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

„Ile wtedy miałaś lat?“, zapytał Jarda, wzruszony, że nareszcie się przed nim otwieram, a ja poczułam, że znów wrze we mnie lawa, gotowana w zbyt małym rondlu konfitura z malin, czerwonych jak krocza małych dziewczynek.

Małe dziewczynki nie mają tam jeszcze krwi, a ja, na tym niby-castingu w korytarzu, zbladłam tak, że cała krew odpłynęła mi z twarzy. Potem, kiedy pędziłam po schodach na górę, do domu, krew, która wcześniej odpłynęła, nagle zgromadziła się na moich płonących policzkach, i facet, gdyby to ujrzał, być może pomyślałby, że zaczerwieniłam się z emocji, że zagram w filmie, ale zdążył już się ulotnić przez bramę wprost na ulicę, widać, ktoś mu przeszkodził. Ktoś *nam* przeszkodził, na tę myśl moje policzki płoną jeszcze bardziej, bo tam, w korytarzu, stała kukła, to nie mogłam być ja, ale teraz otrzeźwiałam, pojęłam wszystko, i na tę kukłę się wściekłam. Jakby to była jej wina, po co załatwiała się z uniesioną do góry sukienką, wiadomo przecież, że nie wolno nigdzie chodzić z obcym, nawet za cukierka. Zresztą, może gdyby ten facet faktycznie wyjął cukierka, całej sytuacji by nie było, bo dziecku na widok obcego faceta z cukierkiem natychmiast zapala się czerwona lampka i dziecko zbywa go: idź pan stąd, nie można rozmawiać z obcymi. Ciekawe, czy tamten facet o tym wiedział, czy raczej po prostu skończyły mu się cukierki, bo rozdał je innym dzieciom w innych korytarzach innych kamienic z niezamkniętą bramą, ale nie chcę dłużej o tym myśleć, bo żołądek podchodzi mi do gardła niczym fala, która przybiera na sile powoli, ale kiedy już rozbija się o brzeg, porywa kąpiącego się człowieka, wyrzuca na skałę i ma w nosie, co dalej będzie z jego ludzkim mięsem.

Ale nieważne, czy rzygnę sobie obficie do wiadra, które stoi nieopodal (dziś postanowiłam odpicować na błysk linoleum w salonie), czy będę ronić wymiocinki po małych chrząkach, plując w chusteczkę do nosa z wyszywanymi inicjałami mojego męża, nic to nie zmieni. Wszystko wraca,

jak pory roku, bo zastępowy na obozie był z podobnej gliny co facet z castingu. A skoro już o porównaniach do pór roku mowa, zima chyba odznacza się w pamięci naszego organizmu silniej niż lato, bo kiedy tylko przypomnę sobie zastępowego, natychmiast przejmuję mnie zimny dreszcz, zupełnie jak wtedy, kiedy zjawił się między namiotami na mojej nocnej warcie, zimny dreszcz oblatuje nas więc sam z siebie, a uczucia ciepłe, które ogrzewają serce, trzeba w sobie sztucznie wywoływać. Robię to tak często, jak się da. Stoję na balkonie i zza płomiennie czerwonych pomidorów mojego prywatnego ogniska wygłaszam płomienne mowy w stronę ulicy, pragnąc stać się jednym z ok na tłustej aż strach zupie zwanej społeczeństwem (gadaniem do siebie samej mogę bowiem zgotować najwyżej zupkę z proszku). Bo jak coś nie jest tłuste, znaczy, że nie żyje, szczególnie w przypadku ludzi. Bo o nich chodzi. Chodziło, chodzi i chodzić będzie, choć w dalszym ciągu będę gadać głównie o abstrakcyjnych znojach dnia codziennego, zero sensacji.

Czasami sprawy zachodzą tak daleko, że w ogóle się nie kładę. Kładę się, ale sen nie nadchodzi. Wstaję i nie mam dokąd pójść. Sen mam, że przyjdzie, jeśli wybiorę się na nocny spacer. Wygania mnie z domu, lecz kiedy tylko wracam i zmieniam buty na kapcie, znów ucieka. Jakby stał za ogrodzeniem z drutu kolczastego i podobnie jak ja wyciągał w górę ręce, za które z nieznanых przyczyn nie możemy się złapać.

Dziad mój z martwym fiutem miałby wiele do powiedzenia na temat nieprzespanych nocy. Oraz na temat drutu kolczastego, za którym wydała ostatnie tchnienie cała jego rodzina.

Może i miałby wiele do powiedzenia, ale prawie nigdy nie mówił. W Budapeszcie, w tajnym mieszkanku, wyrabiał swoim współtowarzyszom lewe paszporty, mieli tam maszynę drukarską, tusze, i nie odzywali się, tylko pisali do siebie zaszyfrowane wiadomości.

Raz, kiedy do ich drzwi załomotało gestapo, i było wiadomo, że zaraz włamie się do środka, dziadek i jego kompan wyleźli przez okno, uwiesili się metalowej barierki od zewnątrz i wisieli tak dobre pół godziny. Wyobraźcie to sobie, Budapeszt, piąte piętro, mój dziad, żydokomunistyczna świnią, wisi za urąbane farbą drukarską dłonie, podczas gdy gestapo konfiskuje dokumenty, częstuje kopniakami meble i wreszcie stęka, uginając się pod

ciężarem maszyny drukującej, gdy znosi ją po schodach. Dziad mówi, że najbardziej się bał, że mu kapcie z nóg spadną. Nie myślał o ruchu oporu, o śmierci ani o swojej żonie, którą potem zostawił dla mojej babci, nie, myślał o kapciach, które coraz bardziej zsuwały mu się ze stóp i mogły zlecieć prosto na stojącą na ulicy maszynę drukarską.

Dziadek miał wtedy coś koło dwudziestki, a ten zafajdany dzień w Budapeszcie był chyba dniem największego bohaterstwa w jego życiu. Po wojnie wsiadł do pociągu „szczęśliwe jutro naszej ojczyzny” i zeszmacił się do reszty.

Wśród rozedrganego brzęku szkła w moim domowym barku odstawiam butelkę rumu na miejsce, choć jej miejsce jest raczej w koszu z napisem „szkło”, bo w środku nic już nie zostało, ale okazuje się, że czasem trudniej przedsięwziąć wycieczkę do kuchni niż wycieczkę w przeszłość. Choć i tu, i tu trzeba się nachodzić. Myślenie o katorżniczym marszu kosztuje jednak osobę siedzącą tyle samo kalorii co bujającego się w hamaku myślenie o sjeście, cały salon rozbijał się teraz jak hamak i nie chce wypuścić mnie z sieci wspomnień, bo wciąż myślę o dziadku, o marszach śmierci, w których musieli iść jego bracia, ale nie, nie będę wam truć o marszach śmierci, dość się o tym naopowiadali inni, a jeśli próbuje gadać ktoś, kto sam nie brał w tym udziału, to pewnie pochodzi z miejsca, gdzie nic ciekawego się nie dzieje (słoma mu z butów wystaje, jest z jakiejś pipidówki), więc desperacko wypycha swą narrację tanim wypełniaczem, jak ramiona garsonki w latach osiemdziesiątych.

Blažková dzwoni po opiekę społeczną

Na dole, w podwórzu, koło kubłów na śmieci, Blažková zostawia czasem, prócz znoszonych ubrań, stare numery pisma „Eurydika”, a ja, jeśli całkiem się nie rozlatują, taszczę je z powrotem na to samo piętro, z którego przed chwilą je zniosła. Gazetki podróżują w ten sposób w dół i z powrotem na górę już dobrych dziesięć lat, i nic nie wskazuje na to, by ich podróżom miał nastać kres. Wędrówek prasy kolorowej nie da się wprawdzie porównać do marszów śmierci, lecz prawda jest taka, że ludzie są w stanie naprawdę dużo zrobić dla słowa pisanego, są tacy, co poświęcą mu dosłownie wszystko, lecz są też tacy, co po prostu muszą to wszystko napisać, a do tej grupy należę ja.

Jak baba na straganie rybnym wykrzykuje cenę w koronach (moim głośnikiem jest książkowy market ogłaszający właśnie pierwszą dziesiątkę bestsellerów, którą akurat dumnie zamykam), i wasza sprawa, czy połknięcie haczyk, nie wy, to kto inny. Połknięcie, połknięcie, bo przynęta, na którą łowią, jest pyszna i mięsista, nie dlatego że próbuję wcisnąć wam tandetę, jak twierdzi wielka krytyka literacka, uważająca romanse za tanie i cieniutkie. Zresztą faktycznie są tanie i cieniutkie (ale to przecież lepiej dla was), logiczne, kosztują mało, bo są cieniutkie, i dlatego, że sprzedaje się ich takie mnóstwo, więc wydawca może sobie pozwolić na niższą cenę, i tak mu się opłaci. Zostawiwszy więc piedestał tak zwanym poważnym autorom, zgarniam szmal do kabzy.

Kiedy któraś z czytelniczek grzecznie prosi na ulicy o auto-graf, zawsze spisuję się na szóstkę. Nieraz ocierają przy tym łzy wzruszenia. Mówią, że tylko dzięki moim książkom wierzą w miłość, ja natomiast, po tych budujących słowach, choć przez chwilę wierzę, że aż do samiutkiego jutra nie otworzę ani jednej butelki destylatu.

Każdy robi to, co chce, czy też musi, wspominam o swoim zawodzie, przede wszystkim by wyjaśnić, dlaczego tyle czasu spędzam w domu. Pisanie to rodzaj choroby, i choć autorkom harlekinów zwykle zarzuca się większą pazerność na kasę i mniej oryginalnych pomysłów niż autorkom książek niestrawnych, nie zmienia to faktu, że jak każdą inną autorkę tak i mnie twórczość pochłania bez reszty. Z tą różnicą, że ja zawsze gwarantuję czytelniczkom *happy end*, a co, nie można?

Nieszczęśliwe zakończenia, w przeciwieństwie do szczęśliwych, można łatwo podejrzeć w normalnym życiu, więc na czym niby polega ich oryginalność? Nieszczęśliwe zakończenia są nędznym plagiatem rzeczywistości, wymagającym minimum talentu i fantazji, lecz z niejasnych przyczyn są wyśmiewane rzadziej niż zakończenia szczęśliwe, jak te z moich książek. A przecież to zakończenia, o jakich każdy marzy.

Jeśli jednak się zapędzicie i nazwiecie owe marzenia miłością do literatury, mój były mąż skuje wam gębę. I fakt, zaraz przydrepczę wam z pomocą, dzierżąc chusteczkę nasączoną jodyną, też lubię się czymś nasaczyć, lecz kiedy tylko poczujecie się lepiej (rozcięty łuk brwiowy zszyją wam na pogotowiu), zapytam bez ogródek: po co wam to było?

Było nie było. Stało się, ale już nie stoi. Być może zauważyliście, że członki są moją obsesją, przypominają bowiem bohaterki moich książek. Wyprostowane lub zgarbione, dumne lub skulone, zdobywane lub wykorzystywane. Są jak trampolina, na którą chętnie przychodzą poskakać dzieci z domu obok (posiadanie trampoliny sprzyja zacieśnianiu więzi z sąsiadami), ale po innych ludziach już skakać nie wypada, zajeżdżać też się ich nie powinno, trzeba się szanować, bohaterki moich książek decydują się więc na to bardzo niechętnie.

Mąż również ubolewał nad moim brakiem do niego szacunku. Dawał mi to boleśnie odczuć. W naszym życiu nastał długi okres kłótni, wzajemnego udowadniania sobie tego i owego (nie wyłączając kwestii dzieci), wieczornych klubów dyskusyjnych, kończących się spaniem w innych pokojach i porannym wytrzepywaniem popiołu z przypalonych narzut na kanapę. Wciąż zwracam się jakby do ogółu, bo to właściwie są sprawy ogółu, i choć jestem osobą dość samolubną (co mąż wytykał mi od samego początku), potrafię sobie wyobrazić, że inni są w podobnej sytuacji, inni,

którzy albo ostatecznie rozstają się w gniewie, albo w gniewie ze sobą zostają. Ślubowali przecież, w urzędzie stanu czy w kościele, że na dobre i na złe, więc niech pokażą, na co ich stać.

Pokaż mi się, odmawiam modlitwy w najciemniejszą noc, łatwo ją sobie wyobrazić nawet w słoneczny dzień, wystarczy, że jest się bez życia. Albo gdy, wręcz przeciwnie, życia ma się po dziurki, ale tak nie wolno, to zakazane. Ślubowaliście, że wszystko, wszyściutko będziecie gotować we wspólnym garnuszku, i nagle okazuje się, że nawarzyliście, jak mówiła moja matka, *dla całego wojska* (ludzie pozostający w stałych związkach zwykle wyraźnie przybierają na wadze), ale i tak gotujecie dalej (bo co tu robić?), jednak jeśli zaczynacie gotować we troje, trzeba uważać, można się sparzyć. Pierwsza żona owijała głowę workiem na śmieci, by zachować fryzurę z czasów młodości, a druga jest nowa, i to wystarczy, a mnie robi się lżej, że nie pracuję na co dzień w poradni małżeńskiej, tylko dorabiam sobie tym gadaniem tu i teraz, zupełnie na czarno.

Rozstaliśmy się, to wszystko. I nie podejrzewajcie o zdradę mojego męża, tylko mnie. Mąż czegoś tam się domyślał, żona nie domyśliła się, że się domyśla, a on tylko utwierdził się we wszystkich przekonaniach na temat kobiet, które nosił w sobie od początku. Od kiedy to właściwie jest *od początku*, nie był w stanie określić, choć nie jest bałaganiarzem, raczej pedantem. Tyle że żona okazała się taka sama jak wszystkie, a przecież zgrywała inną, i kiedy beztriosko umawiali się na randki, jemu też wydawała się super. Wydawała się, kiedy poszli do domu pierwszy raz, ale kiedy zamknęli za sobą drzwi po raz sto pięćdziesiąty, już nie. Nie da się wyciągnąć wozu, który ugrzązł w błocie. Ależ oczywiście, że się da, szanowna pani artystko. Ot, próba ognia. Na razie tyle. Ty stań tu, ty tam, a ty, o tam. Na razie się nie bawimy, zabawa skończona. Na razie dokonujemy oględzin tego, co będzie i co było, istnieją tysiące sposobów, by coś zmienić, ale nikt nie jest w stanie wybrać właściwego, jak idioci gapimy się więc na nasze życie, jak na pracujący silnik auta, które stoi w miejscu. Huczy, ale samochód nie jedzie, a jeśli tak stoi na skrzyżowaniu, Bóg z nim i z nami, bo mógłby uderzyć w nas, przypadkowych przejezdnych, z tej prostej przyczyny, że w końcu trzeba coś zrobić, a ruszenie z miejsca z piskiem opon wydaje się najłatwiejszym rozwiązaniem.

„Jedziemy”, nie mówię tak dlatego, że marzę, by popierdzieć w fotel kierowcy w waszym towarzystwie, mówię do dzieci, które siedzą za mną

w swoich fotelikach. Nie grywały na pianinie i nie nauczyły się czytać w wieku trzech lat, miały za to masę bezwarunkowej miłości, zasypującej je w postaci frytek, porcji XXL, w fast foodzie, do którego z nimi chodziłam, pamiętam nawet, że raz urządziliśmy tam Tomáškowi urodziny. I co się krzywicie? Zwykle zdrowo jadaliśmy. Kurczaka, zanim wyszedł z mody, potem wołowinę, pamiętam też okres kotlecików z jarmużu i pieczonych ziemniaczków. Nikt z głodu nie umierał. Tylko granice bywały burzone, wielka woda porywa czasem domek, i nic to, że miał solidne fundamenty, żywił ma fundamenty gdzieś.

„Naśle na panią opiekę społeczną!”, darła się raz Blažková. Wracalam akurat z dołu, niosąc stos starych pisemek „Eurydika”, wówczas chyba zależało mi głównie na przepisach z ostatniej strony, bo Justýnie zasmakował placek z rabarbarem, Tomášek lubi żeberka, a na okładce leżącej na samej górze stosiku przy kubie na śmieci widniało zdjęcie marynaty curry, idę więc, wrzeszcząc do Blažkovej, że matki jak ja ze świecą szukać. Której innej by się chciało dociekać, czego pragną łakome podniebienia jej diatwy, i zapiekać każdemu z osobna żarełko w naczyniu Maxwell and Williams Oven Chef.

Smarkacze na górze tupią, aż się z sufitu kurzy, i zrzucają przez okno na ulicę woreczki z wodą, mnie też się dostało. Chyba chciały mnie ukarać, może za podszeptem intuicji. Dzieci mają wyczucie, to fakt, ale zwykle w kwestiach, które w ogóle ich nie dotyczą, a tych, które ich dotyczą, zwykle nie pojmują ni w ząb. Tak to już urządziła matka natura, a że jest dość potężną czarownicą, ma prawo mieć w nosie logikę swoich czynów.

Matka nie jest zbyt *zaabsorbowana* dziećmi, orzeka pracownica opieki społecznej. Nie, to raczej latorośle są zbyt zaabsorbowane mną, odpowiadam i popieram powyższe słowa następującym obrazkiem: kiedy mieszkanie jest już do czysta wymiecione, czar zabawek wcześniej tryskający z siłą wulkanu, już nie tryska, ale pryska, a radosne zziajanie od zabawy w berka zmienia się w zadyszkę astmatyka (wszystkie praskie dzieci znają ten stan), dzieciom pozostaje już tylko zająć się matką, którą można wykorzystać na przykład jako stelaż namiotu z koców, które narzuci się na nią wśród dzikiego zgiełku i wrzasku (i tak nic nie robi, leży zwinięta w kłębek i czyta jakąś szmirę), a takie zaabsorbowanie ze strony dzieci i zarzucenie kocami tobołka

o imieniu matka może skutkować wyrzuceniem dzieci przez matkę do ich pokoju, a czyn ten zwie się z kolei wyznaczaniem dzieciom granic. Granice są jednak względne jak podziałka na linijce, każdemu pasuje inna kreska, bywa, że ktoś urodzi się z linijką długą niczym drabina do gwiazd, wspina się na samą górę, skąd prawi kazania, choć tak naprawdę mierzy tyle co tyczka do pomidorów, a to, co rośnie w ziemi, to już sprawa opieki społecznej, po którą tak często zamierzała dzwonić Blažková. Ona także straszyla z wysokości swojej podniebnej drabiny, bo tak już jest, że prawie wszystkie baby wyżej pięćdziesiątki lubią prawić kazania matkom i ich dzieciom, kazania, które w łagodnej formie przejawiają się charakterystycznym uniesieniem brwi na przystanku tramwajowym, kiedy mały łobuziak lata bez czapki i zdaniem baby zaraz dostanie zapalenia zatok albo kiedy brzdąc wpada w histerię akurat przy tabliczce z rozkładem jazdy, kazania bywają też gadką szmatką o niczym, konkretnie o tym, co w dawnych czasach było oczywiste, a teraz już nie jest, jak dobre wychowanie młodzieży na przykład, och, dlaczego nie mówią już: „dzień dobry pani, czy byłaby pani uprzejma powiedzieć mi, która aktualnie jest godzina?”, albo prawo pasażerów do ciszy w środkach komunikacji miejskiej. Bo autobus to nie plac zabaw, zresztą, nawet gdyby nim był, brat i siostra nie powinni uprawiać tam zapasów w stylu klasycznym.

Nie ma sensu się spierać, czyje zasady są najlepsze. Najpopularniejsza opinia bywa zarazem najgłupszą, a od opieki nad dzieckiem znów powracamy do tematu społeczeństwa jako takiego, i dobrze, bo tego rodzaju przeskokii najbardziej mnie kręca. Jak morze i ląd, które przenikają się w językach mokrego piasku, a które cypel spina ze sobą jak zamek błyskawiczny, tak i piekło w domu ma się jakoś do piekła przed domem, piekła, do którego przemawiam z balkonu owego domu, obecnie pyszniącego się już zwiastunami nadchodzących zbiorów pomidora pnącego, tymianku i kolendry. Istnieją nawet ulice, gdzie takie piekielka mają stałą siedzibę niczym firmy, z odpowiednią tabliczką i wycieraczką *welcome*, w Pradze na przykład na Nuslach, Palmovce czy Hloubětínie. Ale piekło można znaleźć też w lepszych dzielnicach, jak Letná, Vinohrady czy Břevnov, lecz jeśli uważacie, że moje refleksje są zbyt dołujące i bezsensownie sceptyczne, pamiętajmy, że żaden uczony z nieba nie spadł, ja też nie, więc będzie mi odpuszczone. Prawda?

Pytasz: „co?”, a ja mówię: przecież wiesz, bo sędzę, że wiesz także o rzeczach, do których nie przyznaję się nawet sama przed sobą, czyli że tym bardziej się o nich nie dowiesz, im bardziej wmówię sobie, że ich nie ma, choć i tak będziesz na mnie zły, bo skrytość też jest fe. Trudno. Wolę oberwać za skrytość, niż wypuścić z siebie ten strumień brudnej wody, rój szerszeni z ula, dzina z butelki czy stado kęsających psów. Obustronne starania zdechną dopiero później, teraz nie mamy jeszcze pojęcia o ich przyszłej agonii. Bo jeśli ma się o czymś pojęcie, znaczy, że to coś już trochę się dzieje, a głośno wypowiedziane słowa zaczynają jak oszalałe ganiać w zabłoconych kaloszach po czystym dywanie, bo złośliwość idzie w parze z prawdą, a czym, jeśli nie złośliwością, jest nabijanie się z tego, że ktoś jest pedantem, lub tym bardziej z tego, że ciężko pracuje. Nasz odkurzacz nigdy nie ciągnął jak trzeba. Aż do chwili, gdy Jarda wyjął z niego wielgaśny kołtun zapieczonego kurzokłacza, ale to było później, w którymś z kolejnych aktów.

Nasz akt, w którym Blažková jak zwykle chce nasłać na mnie opiekę społeczną, gdy wracam do mieszkania z naręczem pisemek i zamiarem wyczarowania marynaty curry, nim mąż wróci z pracy (żeberka od trzech dni leżą w lodówce, a czwartego zwykle zaczynają podśmierdywać), otóż ten akt zaczął się od zwykłych zakupów. Dzieci dostały do łapek odliczone banknoty plus trochę drobnych na jakieś słodczyce w nagrodę. Do sklepu naprzeciwko trzeba wprawdzie przejść przez ulicę, dość ruchliwą, ale dzieci wiedziały co i jak, a czasem, jak się zapomniały, tak na nie mordę darłam z balkonu, aż się skrzynki z kwiatami u Ulrychów z dołu trzęsły (te nasze przywykły już do wrzasku).

„Dzieci są brudne i wysyła je pani po alkohol”, czerwienieje ze złości Blažková.

I tak nigdy nie zadzwoniła. Tylko udawała, że wykreca numer, ale to nic, bo samo już słowo alkohol unosi mi migdałki, a niczym rosnące w piekarniku ciasteczko unoszę się cała ja, wraz z migdałkami, którymi jestem udekorowana, kiedy Blažková dodaje, żebym tylko na siebie spojrzęła („niech no pani tylko spojrzę na siebie”), bo przecież wiem, że z nas dwóch ja właśnie wyglądam o niebo lepiej, i że to ona, nie ja, do jasnej cholery, musi coś sobie w tej chwili udowodnić. I niechby już sobie darowała, duszpasterka jedna bez świniopasa, skoro innym nie może darować tych żałosnych kazań na starość, ale wiadomo, że w młodości nie miała potrzeby

ich prawić, bo wtedy to ją inne strupieszale kaznodziejki nauczały, jak ma sobie radzić z własną gówniarzerią. Jak stare wojsko, które odpląca się kotom za całe zło, którego samo wcześniej doświadczyło podczas fali, tak Blažková teraz wyżywa się na mnie, ech, szkoda, że przejażdżka karuzelą życia jest taka smutna. Że Blažková nie wyniosła żadnej nauki z własnych doświadczeń. Że nie chce wystąpić ze smutnego szeregu wąsatych sekutnic i dołączyć do jakiegoś weselszego towarzystwa.

Człowiek na starość wcale nie robi się mądrzejszy, tylko zużywa się i głupieje, myślę, po czym żegnam ją, machając kokieteryjnie dłonią i dygając zarazem (wkurzyła się), a następnie wchodzę do naszego mieszkania, z którego jak zwykle dobiega wrzask i łomot.

Dzieci pewnie wyładowały już zakupy na stół i teraz skaczą sobie do gardeł w boju o słodycze. Z mieszkania Blažkovej, nim drzwi całkiem się za nią nie zamkną, zionie przez chwilę złowieszczą cisza nory rozwiedzionej emerytki (takie są najgorsze, szczególnie dla siebie samych).

Zamykam oczy i na chwilę kładę się w korytarzu, tuż pod gazomierzem. Odbijam kartę zegarową, mam krótką, a może dłuższą chwilę dla siebie. Jakieś dwie trzy minuty, nim dzieci stłuką coś większego, a Blažková naprawdę zadzwoni na psiarnię czy gdzieś.

Czasem po prostu muszę sobie dodać odwagi przed spotkaniem z własnymi dziećmi (i owszem, czasami dodaję jej sobie z pomocną dłonią alkoholu), a podłoga w przedpokoju, którą, jako że przyszła na mnie kolej, miałam umyć jakieś dwa tygodnie temu, ale nie zdążyłam, bo dniami i nocami ślęcę nad pisaniną, chłodzi prawie tak dobrze jak zimny okład na czoło. Fakt, że prawie robi różnicę, ale zawsze to jakaś ulga dla nóg i pleców.

Wiadomo, że nie wyciągnęłam się jak długa na podłodze. Pogięło was? Chciałam tylko wywołać konkretną reakcję, chciałam, by co poniektórzy raczyli wyrobić sobie określoną o mnie opinię. Żeby pomyśleli, że naprawdę kładę się na ziemi, zamiast kłaść do snu swoje dzieci (robi się ciemno), a ci, co tak pomyśleli, mogą sobie podać rękę z moim mężem, zresztą i ja na zakończenie podałam mu rękę. Na zakończenie, przed którym odbyło się wzajemne tyranizowanie, ale o tym opowiem innym razem, a po którym nastąpiły długie telefony, dybanie przed domem (by sprawdzić, czy kogoś mam, czy tylko wyszłam do non stopu), maile i wrzaski, aż któreś z nas w końcu całkiem nie ochrypło.

Katolicki internat dla dziewcząt

Rytm auto-biuro-auto-dom, od czasu do czasu urozmaicany innym: auto-biuro-auto-modny bar-taksi-dom czy też auto-biuro-auto-siłownia-modny bar-taksi-lulu, wyznacza krok szczurom, których pełne są kanały tego miasta, co z tego, że to elegancko urządzone kanały wysokiej klasy, w których odbywają się zajęcia, jak wdrażanie oprogramowania systemów i modułów ochrony kart płatniczych, audyty audiowizualne fuzji firm czy *motion designing* stron internetowych, które, w przeciwieństwie do was, którzy starzejecie się latami, starzeją się w kilka krótkich tygodni i raz na trzy miesiące potrzebują gruntownego liftingu, a coście myśleli. Podczas gdy szczury mozolnie zajmują się stronami www, ćpuniaki, kręcące się na rogu, ledwo go widzę z balkonu (mieszkam na granicy gorszej dzielnicy, wiadomo, o co chodzi), łapią od siebie nawzajem choroby weneryczne lub nieraz jakiś pieniądz, co im go rzucę z góry. Tylko oni od czasu do czasu podnoszą głowę w stronę mojego balkonu, bo tylko oni mają na to czas.

A ja, niczym przechodzień wzruszony gitarowym solo ulicznego grajaka, cisnę ćpuniakom z balkonu metalowe dwie dyszki, lub wręcz zieloną stówkę, gołąbka pokoju, który nieomylnie trafia do gniazdka uwitego z dłoni tlenionej blondyny z irokezem, Marilyn Monroe całej tej obdartej brygady. A to, że musi sobie zapodać swoją boską dawkę, nie ma nic wspólnego z wolnością – boską, w sensie, że w ten sposób szuka drogi do Pana Boga. Skrótów przez las, gdzie wilki przegryzają gardła wędrowcom. Wypuszcza powietrze psssst, jak w spienionej butelce piwa o czwartej nad ranem na pustej ulicy, tuż przed świtem, kiedy ćpuniaki na pół sekundy stają się panami świata i swojego losu. A los wynika z nefajnego dzieciństwa, tak myślę. Obiecałam sobie, że będę szerokim łukiem omijać temat nefajnego dzieciństwa, ale on wciąż powraca, jak list wysłany do nieznanego adresata.

Wraca drzwiami, kiedy wyrzucam go oknem, wraca drugim uchem, kiedy pierwsze całkiem już ogłuchło od jazgotu, który potrafią urządzić na mojej ulicy ćpuniaki, a powiem wam, że na ich koncertach mam niejednokrotnie dużo większe ciary, niż słuchając VII Symfonii Szostakowicza w Rudolfinum. Mam abonament do filharmonii, wcale nie dlatego, że chcę się czasem poczuć jak kulturalna dama, co wzdycha w wyszywaną chusteczkę, ale dlatego że genialna muzyka potrafi zdziałać cuda dla duszy. A człowiek zrobiłby niejedno, by dostrzec gdzieś tam ziarenko czegoś nieokreślonego, nie, nie złota czy innej błyskotki, wokół tego akurat ziarenka nie zgromadzi się nigdy banda dorobkiewiczów, nie, raczej to oleją i pojada dalej w rytmie auto-biuro--auto-dom, a jeśli od początku podejrzewaliście, że opiekuję się florą balkonową, a poza tym jestem zarozumiałą babą na samozatrudnieniu, niniejszym potwierdzam wasze podejrzenia. Ale czego właściwie ziarenko (żeby droga do niego nie zarosła nam zielskiem słów) mam na myśli?

Gdybym wiedziała, informacja ta znalazłaby się zapewne na okładce tej broszurki, a w środku czekałby was tylko plik białych stron, na których można sobie pouprawiać rysunek automatyczny, to też jedna z dróg. Dróg dokąd? Raczej nie do rajku, a piekłem jest codzienne stanie w korku, piekło mamy przetestowane. Czyli sprawy ważkie są odkładane na później, a czytelnika karmi się mądrościami z second handu.

I jak wam tak nawijam makaron na uszy, onanizuję się ukradkiem. Nie na serio. Z humorem. Zastanawiam się, co by sobie Jarda pomyślał, gdyby odkrył, że kiedy robię sobie dobrze, szepczę te same słowa, które szepcze on, gdy się gżimy. Wypowiadam jego *no dalej, puść sok* własnymi ustami, cicho, pod kołdrą, uśmiechając się przy tym olśniewająco jak kobieta, którą kochacie najbardziej na świecie (no co, od początku wiedzieliście, że piszę szmirę, więc cicho).

Oczy się kleją, świat, niczym późna niedziela w małym mieście, tonie w przyjaznej gnuśności, a moje palce wciąż lśnią od wilgoci. Opalizują w świetle księżycy, które wkrada się do pokoju przez długimi latami spływające szkło w oknach. Palce powoli schną. Wyszły.

Leżę w łóżku jak w trumnie. Wyprostowane, złączone nogi, ręce na kołdrze, wzdłuż ciała. Jak w katolickim internacie dla dziewcząt, gdzieś w Irlandii, w latach siedemdziesiątych. Leżę, jak dziewczę przyłapaną na gorącym uczynku, które musi za karę zawsze trzymać ręce na kołdrze, bo matrona z nocnej zmiany przychodzi kilka razy sprawdzać, czy aby nie broi.

Do mnie też przychodzą różni ludzie. Postaci z mojego życia, które być może było tylko snem. Pewnie tak. Z drugiej strony, gdybym dobrze poszukała, znalazłabym w szufladach dowody, że jednak nie. Akty urodzenia, ślubu, druczki przelewowe, paragony, kilka wydrukowanych maili. Dowody na miniony świergot tego domu. Dzieci i mąż defilują mi przed oczami jak na filmie w zwolnionym tempie, nagranie raczej cyfrowe, bo nie śnieży, ale od czasu do czasu się zacina, wszyscy robimy wielkie oczy i całkiem dębiejemy. Co myśmy narobili, na litość boską?

Też jestem człowiekiem, nie myślcie sobie. Choć na nogach bywam raczej wtedy, gdy już śpicie, i wciąż mocno chrapię, kiedy zaczynacie dzień.

No tak, mój styl życia może pozostawiać wiele do życzenia. Choć trzeba przyznać, że styl mam szalowy. Kiedy stoję na balkonie (latem bywa, że całymi dniami), a poły mego szlafroka powiewają jak w scenie miłosnej z *Titanica*. Przydałby się jeszcze kawałek mierzwionego przez swawolny wiatr futerka (gdyby nie chciało zostać zmierzwione, zmusimy je), ale w sumie i tego mi nie brak, bo mam laczki z króliczej głąskutki (czyli ogólnie rzecz biorąc, jestem ucieleśnieniem wyobrażeń o autorce romansideł).

Zupełnie jak politycy, którzy dla hecy ładują się na wózki inwalidzkie, by się przekonać, jak mało przystosowana dla osób niepełnosprawnych jest praska komunikacja miejska, tak i ja czasem przywdziewam fatałaszki moich bohaterek. Kiedy już naprawdę nie wiem, co ze sobą zrobić, a do biurka nie chce mi się siadać, bo w ogóle nic mi się nie chce, a już najmniej tworzyć (dzieci to nie dotyczy, te akurat chciałam tworzyć, potem wam powiem czemu). No więc w takich chwilach zawsze mogę rzucić się w wir nieodzownych obowiązków dotyczących konstruowania moich postaci. I kiedy chcę na przykład wczuć się w sytuację romantycznej bohaterki, której teściowa po złości podaje kawę bez mleka i cukru, muszę zaserwować także sobie ze dwa litry takiej lury, całkiem jak na planie filmowym muszę oddać grymas jej serca tak dobrze, jak dobrze oddaje się znienawidzoną lekturę do szkolnej biblioteki. Bohaterkę stawia potem na nogi sama już tylko moja empatia (nienawidzę tego słowa), za to ja często padam na pysk. Na przykład kiedy dziewczę mówi, że tkwi w odrętwieniu i czuje się jak własny pluszowy miś, któremu z rozbijającą szczerością zwierza się przed snem, a w odpowiedzi otrzymuje wciąż ten sam przyszyty pluszowy uśmiech (uśmiech wciąż na nowo przyszywa misiowi jej matka, co też trochę zaburza intymną atmosferę pączkującej kobiecości).

Kiedy wystarczająco długo leżę nocą w moim irlandzkim internacie praskiego M4 bez windy, nadchodzi brzask, a z nim, prócz ptasiego larum, obraz sufitu nagle pełnego rozedrganych pęknięć i plam, które ma na sumieniu zalanie z łazienki sąsiadów piętro wyżej.

„Proszę mówić trochę ciszej, są państwo w galerii”, słyszę w głowie głos Jarde, chociaż jego, w przeciwieństwie do mojego męża, nikt by na wystawę żadną siłą nie zaciągnął, on nie z tych. Jest za to bratnią duszą, o tak, dlatego schlebia mi, mówiąc rzeczy, które normalnie nie przeszłyby mu przez gardło, bylebym w końcu przestała bajdurzyć i, jak mawia, *puściła farbę*.

Kiedy Jarde miał już klucze do mojego mieszkania (na początku się wahałam, ale ostatecznie sama mu je wcisnęłam), to kilka razy coś na mnie puścił, i to nie farbę. Wylał na mnie pół wiadra lodowatej wody, a raz nawet zaniósł mnie pod lodowaty prysznic. Bierze mnie na rękę, słyszę, jak drży, jestem ciężka, przyciskam głowę do kołnierzyka jego koszulki. Jest przepełniona zdrowym potem pracy fizycznej, nie przygnębienia, jak moje drożdżówki pod pachami, jego oddech to gulasz, mój sto procent destylatu.

Niektórzy ludzie mają po prostu takie skłonności, jeśli do takiego wpadnięcia bez zapowiedzi, będzie się właśnie trząsał jak galareta, gdzieś na łóżku, w kącie, lub błędził po omacku po mieszkaniu, obmacując ściany jak ślepiec. Jakby szukał wyjścia z lub wejścia do jakiegoś innego wnętrza niż jego własne lepkie od brudu, i wcale niekoniecznie taki ktoś musi być fleją, po prostu jak się którydyś bez przerwy chodzi w tę i z powrotem, zawsze się trochę nabłoci przy okazji. Bo rękawy wytartych ze starości marynarek zaczynają lśnić, ale dusze, robiące za hangary, w których bez przerwy trzaskają drzwi, po prostu prędzej czy później strasznie się uświnia, a taki stan bywa określany taplaniem się we własnym gównie, czasem zresztą faktycznie ktoś wówczas popuszcza, i to więcej niż jedną dziurką.

Nim Jarde chwiejnym krokiem w końcu dotelepał się ze mną do łazienki, jego gryząca robocizną i męskością koszulka była na karku cała mokra od wylanych przeze mnie łez.

Moje małżeństwo było, jak to się mówi, funkcjonalne, obukarierowe, plus dzieci, dwa cudeńka, dwa słodkie gołąbeczki, których nigdy byśmy się nie wyrzekli, tak jak i one nas. I ja, i mąż musieliśmy się jednak czegoś wyrzec, a spora część kłótni kręciła się wokół tego, kto musiał się wyrzec większej

liczby rzeczy, i tak kłóciliśmy się, podczas gdy owoce naszego żywota się tłukły. Dwa wysięki miłości, co jak to z tą prawdziwą bywa, nigdy nie umiera, tylko się chowa niczym dyplom w tekturowej tubie czy ręcznik w szufladzie. Jak młodsze dziecko, które mieściło się w szufladzie na styk, i gdybym wówczas dosunęła ją do końca, zasnęłoby w niej na wieki wieków, śniąc sny słodkie jak wata cukrowa.

Znów miałam lekko w czubie, może stąd te dziwne pomysły. Mokre pranie gniło sobie w misce, ale było wyprane, a brudne ciuchy starsze dziecko porozrzucało po domu i posypało mąką, nasz salon wyglądał, jakby spadł w nim pierwszy śnieg, zresztą, temperatura też by na to wskazywała, bo drzwi balkonowe były wtedy – podobno – otwarte na oścież. Tomášek wlaźł na jedną z donic i solił ziemią przechodniów. I nikt by pewnie nic nie zauważył, ale mąż oczywiście musiał zrobić scenę, kiedy znalazł mnie śpiącą przy otwartych na oścież drzwiach balkonowych, chociaż tylko się zdrzemnęłam, przysięgam na wszystkie świętości, jak jemu, tak wam.

„Moja matka nigdy by nie dopuściła, żeby...” „Żeby co? Żeby pranie zdążyło zatechnąć w drodze z pralki na sznurek?”, pytam. „Żeby spieprzyć sobie w taki sposób życie? Żeby jej syn posypywał głowy przechodniów nawozem ogrodniczym niczym grzeszników popiołem? Potem tylko powiedział: „Jak mogłaś?”.

Tak naprawdę, nigdy nic się nie wydarzyło, ale słowo *gdyby* zagościło na dobre w naszym domu, by stać się ostatecznie jednym z najczęściej używanych, zaraz po *dlaczego*, ale to akurat sprawa dzieci – jako maluchy nie były w stanie nic zrozumieć. Nie były w stanie pojąć, czy jestem w stanie wskazującym, czy nie, zresztą, niezależnie od procentów w sobie, zawsze wyrabiałam taki sam procent normy, a Justyna skręciła kostkę wcale nie ze mną, tylko z mężem, kiedy zabrał ją na wycieczkę do Třebonia i łąził z nią po przydrożnych belkach (musieli jechać na pogotowie, nim zdążył jej pokazać tamtejsze karpie). Kiedy była ze mną, zwykle kończyło się na zdartych kolanach, przecież nie zabronię dzieciakom jeździć na rowerze, a na pogotowie musieliśmy jechać tylko raz, kiedy Justyna miała trzy lata i zaczęła się dusić przy ostrym zapaleniu krtani. Fakt, że pani doktor wcześniej zalecała wieszać na kaloryferach mokre ręczniki, ale lekarz na pogotowiu powiedział, że to i tak by nie pomogło.

„Nie pomogłoby, słyszysz?!”, wrzeszczałam do męża, a on cicho, przez zęby wycedził, a raczej syknął: „ty szmato”. I nagle miałam ochotę z całej siły dać mu w pysk, pamiętam własny szok, bo wcześniej nie potrafiłabym sobie tego wyobrazić. Teraz potrafię. I znów nie potrafię. Tu, w irlandzkim internacie z sufitem pełnym plam, a raczej obrazów, ludzie najczęściej dostrzegają w plamach zwierzęta, nawet Jarda, choć jest technikiem chłodnictwa i klimatyzacji, nie zobaczył tam ramion wiatraka czy kratki wentylacyjnej, tylko ptaki, pająki i słonia, i myślę sobie, że ten słoń to ty, i nie oprze ci się żadna porcelana, a kiedy twoje ręce zadrżą na moim ciele, bez sprzeciwu poddam się i rozpuszczę niczym lody pod ciepłym twoich palców.

A potem idę otworzyć okno, a ty patrzysz na moją pupę i biodra i mówisz: „Wcale nie wyglądasz, jakbyś rodziła”, i śmiejesz się, ale nie nabijasz, natychmiast idę więc na balkon zaklinać wieczorną zorzę i pokrzyzczyć sobie na mojej scenie bez widzów.

„Mąż też miał swoje uzależnienia”, mówię, trochę do barierki, a trochę w tył, do ciebie, a kiedy rzuca się słowa na wiatr, a zarazem komuś pod nogi, można zacząć trząść się jak w febrze, to myśląc, sfruwam na balkon sąsiadów piętro niżej, by skubnąć sobie ich kolendry.

Musi być dziwna. Wręcz bardzo dziwna, skoro tak długo z tobą wytrzymała, mówię w myślach do męża o sobie samej, i wiedz, że butelka stoi grzecznie zakorkowana w kredensie, nie wypięłam z niej dziś ani kropli.

Nigdy nie pytałeś o sprawy naprawdę ważne, myślałam, że chciałeś mnie chronić, a inni myśleli, że jesteśmy razem tak bardzo bardzo, że pytasz, a ja odpowiadam, choć nie słyszałam pytania. Ale ja nic nie zauważyłam. A potem nagle dowiadujesz się o wszystkim i sprawa zamknięta, jak odżydzony sklepik ciotki mojego dziada w miasteczku, które czasami odwiedzam.

Jestem styrana, rozumiesz? Nigdy nie dotrzymam ci kroku, i wszystko jedno, że mamy dzieci. Za takie *wszystko jedno* przyłożyłeś mi po raz drugi tamtego wieczora, a po raz trzeci za dziecko, co gdyby nie ty, na pewno spadłoby z balkonu. Według ciebie. Lecz po co to wyciągam, skoro

właściwie chcę tylko powiedzieć, że pisanie też jest nałogiem, i że wszystkie bohaterki, które tworzę, niepoprawne romantyczki, rodzą się z moich wyrzutów sumienia, zawsze tak było. Nie puszczałam bidulek na dwór, dokąd miałyby iść? Miały siedzieć jak kornik w starej szafie, która rozsypie się w proch, kiedy ktoś wreszcie sobie o niej przypomni i po trzydziestu latach otworzy, by wyjąć tort weselny? Potem pokroimy go, ułożymy w koszyku niby „darmowy chlebek czosnkowy” i rozdamy gościom? Żeby se nie pomyśleli? Jebać to.

Adieu, młodości, a wszystko to Twoja sprawka, Boże. Nawet jeśli ktoś inny coś wymyślił, musiał wpieryć Ci do akceptu. A może Ty też grasz na dwa fronty? Mężowi mówiłam: „Co ci w ogóle przychodzi do głowy?”, i podchodziłam go nieśmiało uśmiechami, z których wszystkie, prócz dwóch, były fałszywe, a świętemu mężowi, gdyby akurat do nas wpadł, powiedziałabym: „No, siadaj pan w końcu na tyłku, co się pan tak wiercisz, jakbyś pan miał owsiki?”, a takie słowa to wcale nie brak szacunku, winna byłaby moja bezceremonialność, która też nie potrafi usiedzieć i skacze niczym najlepsze konie Wielkiej Pardubickiej, kto wie, może faktycznie jest skoczkiem Żeleznikiem, a ja jej dżokejem Vańą, ale co nam z tych podskoków, skoro zaraz wysiadzie z taksówki dziwna baba, która uśmiechnie się do nas jak kostucha, a będzie to kobitka z opieki społecznej, co przyszła sprawdzić biurka i obuwie zimowe naszych dzieci.

Tej kobiety nie interesuje, czy dzieci mają ludzkie dusze, czy dręczą w szkole inne dzieci, nie, obchodzi ją wyłącznie ich ciała, czy rosną jak na drożdżach piekarskich prasowanych lub na fermie kur brojlerów.

Sprawdza też, czy jest czysto. A przecież w naszym domu dzieci w pewnym sensie ćpały, bo wdychały. Głównie miłość. Ofiarami takiego spa są wprawdzie rodzice, oboje, ale ludzie i tak uważali mojego męża za biedaka, który dał się złapać tak zwanej *interesującej* kobiecie, a mnie za wyrodną matkę.

Czasem myślę, że gdyby Jarda był tu wcześniej, wszystkim by się zajął. A Ty, Boże, zajmowałaś się przez resztę czasu. Jak cudownie powierzyć Ci swoje zmartwienia i po prostu biernie czekać, aż wszystko runie. Zupełnie inaczej niż na imprezie integracyjnej. Tam się buduje. *Team building* (też zauważyliście, że trochę ostatnio wyszedł z mody?). Latami unikałam pracy

w biurze, między innymi ze strachu przed zgranym zespołem.

Liczba odpowiednio wykwalifikowanych kandydatów aplikujących na to miejsce jest dużo większa niż liczba miejsc, które jesteśmy w stanie na chwilę obecną zaoferować, takie oto słowa przeczytałam w liście, na środku kartki widniało duże brązowe kółko (przeglądając poranną pocztę, dodaję sobie energii kawusią z kubka *I love Paris*). To było moje pierwsze i ostatnie podanie o pracę.

Mówiąc między nami, jak można w ten sposób zaznać szczęścia? Między nami, bo o takich rzeczach można rozmawiać wyłącznie z ludźmi, którzy od początku się rozumieją. Twoimi ludźmi, Boże. Twoimi mieszkańcami Ostrawy, Brna, Ołomuńca, Pilzna, w każdym z tych miast musi być ich co najmniej dziesięcioro, inaczej zmiótłbyś je z mapy. A tak to sterczą sobie dalej w naszym kraju, niczym wystawione środkowe palce, a my, niczym Lot i jego córki, odwracamy się do nich plecami, żeby nie zmienić się w kamień, i dajemy dyla do Pragi, lecz to bardzo trudne – ani razu się po drodze nie odwrócić, chyba tak samo trudne, jak pogodzić się z przegraną w konkursie, kiedy do zgarnięcia są naprawdę supernagrody, o, takie auto hybrydowe na ten przykład.

Nie mogli po prostu postąpić *fair* i napisać mi w liście, że nie nadaję się do pracy w zespole? Że nie jestem tak zwanym graczem zespołowym? Bali się wysokich kosztów sądowych? To fakt, w Sztrasburgu mogłoby im się dostać za taki argument. Bo czym jest zespół? O mnie jako o graczu ktoś powiedziałby pewnie: „Gra wszystkim na nerwach, i to na ukulele, chyba wystarczy, żeby nie chcieć jej w teamie, nie?”. A w Hadze od razu by mnie wysłali za kratki. Za zbrodnie wojenne dokonane na terenie stu metrów kwadratowych pokrytych wykładziną dywanową. Robię z igły widły, wylewam dziecko z kąpielą. Moja nadwrażliwość. Jest wszystkiemu winna i wiecznie dostaje za swoje.

Parujące półmiski

Stoję boso na perskim dywanie, i śmiało, niech ktoś pyta, czy wiem, która jest aktualnie godzina roku, a odgryzę się pytaniem, czy wie, że właśnie stoi na tym ziemskim padole głową w dół, a nawet jeśli sam tak akurat nie stoi, to nowozelandzki producent jego swetra z owczej wełny już na pewno. Ale u nas klimat jest umiarkowany, ludzkie charaktery nieokreślone, lasy mieszane, z fauny zaś przeważają kurczęta z monstrualnie rozrośniętymi udkami. Planecie Ziemi coraz trudniej dopiąć się w pasie, myślę, kręcąc głową ze zdziwienia, a przecież mam jeszcze całkiem szczupłe uda, a co do pasów, w dzudo żółty nazywa się *gokyu*, a pomarańczowy *yonkyu*, a ja już któryś dzień z rzędu chodzę w szlafroku, ale czemu właściwie, skoro nie uprawiam dzudo?

Moje dzieci powinny z miejsca dostać czarne pasy *shodan*, *nidan*, *sandan*, *yodan* i *godan*, tyle że aż pięciorga nie mam. Chociaż moich dwoje wymagało uwagi przynajmniej jak pięcioro, nieważne zresztą, muszę teraz bowiem zdecydować, którymi z tych pięciu obdaruję moją parkę, a zdobyte w pocie czoła pasy i tak wyglądają, jakby urwały się od jakiegoś szkaradnego szlafroka. Najcenniejsze rzeczy zwykle przybierają szarą formę bylejakości. Jakby nie były zupełnie nic warte, choć są warte właśnie wszystko, a kto je ma, nie odda, a kto nie ma, szuka. A potem znów szuka, czegoś innego, lepszego, albo i niczego już nie szuka i baczność spocz-nij pierdnij odpocznij.

Nalewam sobie, nawet nie na dwa palce, na paznokietek, odrobinę, dla odwagi, kwiczę ze śmiechu, aż mi się połędwiczka trzęsie.

Nie wiem, czy to ja zamknęłam dzieci w pokoju na klucz, czy same to zrobiły. Przetrzęsłam kieszenie szlafroka, klucza nie ma, być może jest w dziurce, ale chyba się, skubany, ukrył, bo kiedy przykładam do niej oko,

widzę wszystko, w pokoju dzieci jest ciemno i cicho. Na łózkach dwa nieruchome wyrzuszenia, pewnie pochowały głowy pod kołdry. We mnie się wdały, może czytają z latarką, chociaż jest już po bajce, ale nie, przez kołdrę nie przebija światło. Spryciarze mali, jak to zrobili? Kolejny raz szarpnię za kłamekę, po czym ruszam na rewizję szafy, w której tak lubią się chować. Justyna wślizgiwała się nawet do kosza na bieliznę, a Tomášek uwielbiał przesiadywać w spizarce na małym taborecie, gdzie godzinami wgapiał się w rządęk słoików. Jakby czekał, aż dzemy ożyją i przemówią do niego słodkim słoikowym głosem. Pytam, przed czym tak się chowa w tej spizarce, i nawet przez drzwi czuję, jak się trzęsie.

Raz, po burzy, znalazłam w kałuży rannego ptaka. Kiedy niosłam go pod kurtką do domu, dzwoniąc na pogotowie ornitologiczne, a dyżurny rozpoznał z opisu, że to jerzyk (miał lotki dłuższe niż ogon i krótki zakrzywiony dziób), jego serce nagle ożyło przy moim sercu. Kilka godzin później przyjechała po niego ciężarówka pełna ptasiego trelu, pracownicy pogotowia wcisnęli go do pudełka, nabazgrali flamastrem nazwę naszej ulicy i pojechali, mówiąc, że muszą jeszcze dziś odebrać wronę z Pragi-Kbely i dzięciolicę z Pragi-Háje.

A co ty sobie złamałeś, synu, skoro tylko ja w naszym domu miałam skrzydła, na których w dodatku dźwigałam was, hę? Słyszysz, co do ciebie mówię? Jak rozmawiasz z własną matką? Ale słowa płyną jak przez spróchniały kabel puszczony pod morzem, a ty wciąż powtarzasz lepiej nie mówić co, jakby szacunek do matki był tylko na rozkaz, którego nikt nie wydał, zresztą już wtedy, przy spizarce, nie mogłam się na ów szacunek doczekać.

Zeżarłyście mi pół mózgu, kochaneczki, i to całkiem na darmo. Na darmo, za darmo, za wszystko na świecie, zżerałyście, i to od samych narodzin. Jak gąsienice, które nim owiną się w kokon, bezlitośnie wcinają wszystko co zielone, długo słyhać głośne chrupanie, po czym nagle zapada straszliwa cisza. Na znak dyrygenta orkiestra zamiera, i tylko gdzieś na gałęzi, niczym dwa worki bokserskie, huśtają się na wietrze dwa tłuściutkie zawiniątka. Wyleciały z gniazda, zostawiając matkę na pastwę losu.

Nie, przemoc nigdy mnie nie pociągała. I przysięgam na śmierć własnej dziatwy, że kilka razy się w naszym domu oberwało, ale wcale nie moim dzieciom, tylko mnie.

Podnoszę zapłakane oczy na męża, pytają, czy to wystarczy. Na ścianie, za Jarda, wisi krzyż, a ja mówię, że teraz już naprawdę, kochanie. Naprawdę się

otwieram, powtarzam już do was obu i śpiewam ojczenasz wraz z ćpunką Marilyn Monroe, która stoi pod balkonem w oczekiwaniu na kilka miedziaków i zwraca się do mnie Julie. Pani Julie. A ty jesteś Romeo, zamiast gitary trubadura masz na szyi krzyż, i pobijcie się o mnie, proszę bardzo. Jej chodzi o pieniądze, a tobie, Jardo? Chyba nie o to, by mnie uratować?

Z pary unoszącej się nad naczyniami pełnymi jedzenia wróży się najlepiej. Kiedyś do mojego mieszkania przychodziło więcej gości, nie tylko ci nocni, których przyjmuję, leżąc na plecach z rękoma na kołdrze i oczyma wlepionymi w wilgotne zwierzokształtne plamy na suficie. Teraz też zdarza mi się nagotować i poustawiać na stole tyle buchających gorącą parą półmisków, że całkiem jak w bylinie rosyjskiej, nie ma już gdzie szpilki wcisnąć. Nie wstydzę się swojego wschodniego pochodzenia, lubię ikony i świece. Kadzidło i drżący płomień, gorący wosk, co spływa niczym łyż, specyficzne echo kroków i kasę, kasę, kasę.

„Wiesz, ile trzeba kasy, żeby wybudować jedną cerkiew?”, pytam syna, a on w odpowiedzi rzuca całkiem prawdopodobną liczbę, po czym wyrывa mi z ręki banknot, o który prosił, drzwi mieszkania trzaskają, a on zbiega po schodach, głośno i szybko, jak stado muflonów. Nie dotknął nawet buchających parą półmisków, a ja zaczynam się zastanawiać, czy to faktycznie jego zaprosiłam na obiad, czy może tamta osoba jeszcze się nie zjawiała i wciąż na nią czekamy. My, ja i wy, nagle upajam się poczuciem władzy, a punkty, które tracę z powodu podłego charakteru, wetuję sobie punktami za szczerłość, a będzie ich coraz więcej, póki nie urwie się wypełniona punktami siatka na zakupy i mleko z woreczka nie rozleje się na chodnik (zapłaczymy nad nim przy innej okazji). Kara za bycie sługusem mamony. Ale żądza może być przecież nie tylko pieniądza, ale i dobrych chęci, którymi jest wybrukowana droga wiecie dokąd, a tego przysłowia używają ludzie, którzy mają w nosie dobro lub w nie nie wierzą. Jestem tym drugim przypadkiem, bo jak to się mówi, swoje przeszłam.

Podczas gdy para buchająca z półmisków na stole powoli zanika, z kuchni zaczynają dolatywać ogromne chmurzyska innej pary, z gara, na którym podskakuje pokrywka, obowiązki znów mnie wzywają, pomiatają mną niczym gówniarze na fawelach szmacianą piłką. No tak, dziś robię za

gospodynię, w planie mam więc przyjmowanie gości, choćby mieli wpaść tylko na chwilę lub gdyby, nieco spóźnieni, mieli ochotę przybyć z poprzednich żyć, nie szkodzi, bo zawsze ładnie przepraszają za wszystko, ze spóźnieniem włącznie. Nachyliłam się nad garem, w środku kipi piana (moja córka Justyna sprezentowała mi kurs robienia mydła z gotowanych kości), i od razu myślę o morzu.

Do Chorwacji pojechaliśmy zaraz po wojnie w Jugosławii, tamtejsi znają Czechów, wiedzą, kto zacz. Że nic ich nie powstrzyma przed urlopem, biorą kosz konserw, reklamówkę kanapek i jadą robić sobie zdjęcia z dziurami po kulach, żałobę pal sześć. Zresztą, jak długo należy być w żałobie? Jak długo się zadrećzać, choć niektórzy zupełnie nie czują żalu? Na tyle długo, by dać sobie szansę na prawdziwe męstwo, czyli na łyzy. Ból miewa opóźnienie. Jest jak fala, jak paczka, która musi najpierw dotelepać się do miejsca docelowego pociągiem, jak listonosz, który ma już wasz list w dłoni, ale mieszkacie na górce i biedak musi po drodze trzy razy odpocząć. I ja tak czekam. Że syn Tomáš wróci, może kiedy już wyda banknot na uciechy (życie na pełnych obrotach to jego specjalność), bo przecież nie przyszedł po ten banknot, przyszedł na zupę, a moje robocze imię to zupa właśnie.

Ty stara zupo, mamroczę pod wąsem, jak każda kobieta z temperamentem mam nad górną wargą ślad ciemnego meszku, ty stara zupo kalafiorowa, choć kalafiora jak na razie na głowie nie noszę, ale kto wie, może coś mnie skusi na ten wystrzałowy fryz, przecież Tomáš zawsze lubił zupy, nie jakieś tam zmiksowane kremy, tylko z dużymi kawałkami mięsa i warzyw. I wtedy to się dzieje. To, czego nie potrafił wywołać we mnie ani martwy fiut dziada, ani casting do filmu z Sagvanem Tofim, ani słowa męża: wyjdę przez te drzwi i już nigdy nie wrócę, zresztą, tak naprawdę zaczął to zdanie od *jeśli*, a w środku wcale nie było *i*, a potem długo stał za drzwiami, a po dwóch dniach wrócił, smutny i zarośnięty.

„Boi się zostawiać je z panią same”, oświadczyła gładko kobitka, tak dumna ze swojego dyplomu z psychologii, że najchętniej wymalowałaby go sobie na cyckach, a jej słowa zrobiły wtedy ze mną to samo co teraz zupa, mianowicie sprawiły, że zaczęłam dławić się życiem. W gardle urosła mi wielka klucha, której nie da się połknąć ani wypluć. Ktoś, pewnie Twoja ręka, Boże, odwrócił klepsydrę. Żeby zacząć na nowo, przecież nic takiego

się nie stało.

Ale tamto *nic* rozciąga się jak gumka w spodniach, po której zdyszani próbujemy przejść w ciemnościach, to chyba jaskinia, bo czuję krople na twarzy, pewnie spływały z okropnych mokrych skalnych ścian. Moja twarz jest wilgotna, bo trzymam ją nad garnkiem pełnym mydlin, i choć mydła na razie nie widać, pojawi się, to pewne. Tak pewne, jak słowa tamtej mądralińskiej z dyplomem: „mógłby zakazać pani kontaktów z nimi”, odpływ, do którego to wszystko zmierzało, jak dziarsko posuwająca się naprzód ekipa kajakarzy, zapora huczy i pieni się niczym ten nieszczęsny mydlany półprodukt.

Grzbietem dłoni ocieram z twarzy mokry smród, dłoń wycieram w fartuch. Fartuch wrzucam do brudów, brudy do pralki, mokre gnieceuchy na suszarkę, suche do szafy.

Kołowrót życia. Co byśmy bez niego zrobili? A guma, po której zdyszani próbowaliśmy przejść przez obrzydliwą jaskinię, nagle strzela, niosąc za sobą cały znój przeszłości, kilka osób też, trzepoczą na gumie niczym przywiązane do niej świecące w ciemności serpentyny. Dzięki nim w jaskini zrobiło się trochę jaśniej.

Bo przecież chodzi przede wszystkim o ludzi, i już nie wiem, kto teraz mówi, ja czy pani psycholog, bo ona żyje z obróbki ludzkich dusz, ale ja też robię w ludziach, bo dla nich piszę. Wstrzykuję im pod skórę czerwony dym, zupełnie jak na koncercie rockowym (dymiarka jest w mojej głowie), by zaraz potem zadudnić głucho niczym pusta beczka.

Wciąż jesteśmy w mojej zadymionej kuchni, przy ścianie, którą od rozbryzgów tłuszczu chroni specjalny pas, i nie, nie chodzi mi tym razem ani o żółty pas *gokyu*, ani pomarańczowy *yonkyu* (zapisałam syna na dzudo, to fakt, ale nie jestem aż taką chwalipiętą, żeby wszystkich bez przerwy tym zanudzać), tylko o pas czarnych kafelków, które Jarda przywiózł kiedyś z wyprzedaży w zakładzie pogrzebowym (pierwotnie służyły chyba do wysadzania nagrobków). Tak więc czarne kafle ronią czarne łzy, a mydlana tkanka z kości w miarę ubywania pary gęstnieje i powoli barwi się na żółto, a ja, choć mam na głowie chustkę jak menadżerka toalety publicznej, jestem przewodniczką ducha. Uchachuchachucha. I zaraz was oprowadzę po tym bajzlu. Złapię za rękę, mocarza mocno, a czulego czule, i zaciągnę na

wycieczkę po ogrodzie zoologicznym, po pierwsze: waszego życia, po drugie: własnego życia, i po trzecie: życia innych ludzi, chociaż nie, w tym trzecim przypadku lepiej przeczytać którąś z moich książek, wszystko jedno którą, właściwie jedna od drugiej się nie różni. Wszystkie są o miłości i dobrze się kończą.

Jak stary dyrektor cyrku, co dobrze wie, że publiczność wyda z siebie aaaaach, gdy na scenę wyjdzie lew, i trochę niższe aaaaach, kiedy piękna akrobatka wypadnie na trapezie z samej góry namiotu, tak i ja wiem, jak lubicie opluwać serduszkową literaturę, czyli to, co piszę. Że niby niewiarygodna, choć niewiarygodna jest mniej więcej w takim samym stopniu co odcisk pieczętki z ziemniaka (robiłam z dziećmi te pieczętki, więc co za głupie gadanie, że poświęcałam im za mało czasu?!), jak aniołek odciśnięty w śniegu przez machające rękami i nogami dziecko, czy też, jeśli uderzyć w ostrzejsze tony, maska pośmiertna (Jana Palacha na przykład) albo gipsowi mieszkańcy Pompejów. Fakt, produkuję harlekiny taśmowo (tworzę, dla tych, co się produkcją brzydzą), co wcale nie znaczy, że robię to bez odpowiedniego nakładu pracy czy starań, przeciwnie, bez przerwy się staram, dzięki czemu mam stałą pozycję na rynku (chyba czas wybrać się na rynek, dawno nigdzie nie byłam) i niemałą wprawę. Bo chodzi o negatyw. Nie w sensie negacji zła poprzez dobro, tylko odwrócenia kolorów.

To, co w życiu zielone, w moich powieściach jest czerwone, niebieskie zmienia się w żółte, a tego, co czarne, nie ma wcale, zupełnie jak na negatywie, co oznacza, że nie zamierzam zawracać sobie tym dupy, lub że jest to tak mdłe i nieciekawe jak mydlane cappuccino w milutkiej restauracyjce specjalizującej się w zupie krem z rzeżuchy. W takiej restauracji zadbaną kobietę z miejsca obskoczyłby wianuszek przemilych kelnerów, kobiety, nawet te z harlekinów, są teraz mocno wyemancypowane. Nie siedzą jak mysz pod miotłą w oczekiwaniu na księcia, tylko na tę miotłą wsiadają i same po niego lecą, nierzadko wbrew jego woli. Wiedzą, czego chcą, i wcale nie chodzi tylko o pierścionek zaręczynowy, bukiet róż i wyrozumiałość.

W romansidłach też można zaobserwować pewne tendencje i trendy, mimo że są jak mało który gatunek przywiązane do modeli tradycyjnych. Ci, co chcą i potrafią słuchać, usłyszą. A reszta będzie wiecznie wytykać klisze, kicz i ogłupianie. Powtarzam więc: chodzi o negatyw, idioci.

Tego rodzaju słownej emfazy używam często, gdy chcę podkreślić, że ja

i moje bohaterki to dwa odrębne światy, między którymi tkwi, bynajmniej nie zakopany, topór wojenny. Topór wbity między mnie a grupkę książkowych ślicznotek, stworzonych w pakiecie z całą masą książąt zatrudnionych w branży prawniczej tudzież w bankowości. Podczas gdy moje książkowe ludki bawią się na *garden party*, ja żongluję nimi tu, w mieszkaniu, które zdążyliście już doskonale poznać. I czasem ich kocham, czasem nienawidzę, ciekawostka, że tak silne emocje mogą szarpać osobą garbiącą się nad biurkiem, wszystkie te tańce, oświadczyńy na kolanach, *mojito* o północy w barze w Las Vegas, wyczesywanie grzyw koniom, które dostały w prezencie od nich, niesamowite, że wszystko to rozgrywa się z pozycji niemal embrionalnej (kulę się nad niskim biurkiem).

Emocje są najwyraźniej czymś tak pierwotnym, że sprzyja im skulona pozycja z łona matki. Nie znam żadnego autora czy autorki, którzy piszą na stojąco, chodząco albo leżąc. I nie doszukujmy się w tym utrudnień technicznych, w naszych czasach wszystko się da. Może po prostu nikt nie wpadł jeszcze na tę prostą, acz genialną myśl. Wiecie, jak to jest: „coś bym sobie porobiła, ale nie wiem co”, być może ruchomy stół to patent, który z pomrukiem aprobaty zaakceptowałyby nawet Naczelna Izba Lekarska, a potem sprzedawano by taki wynalazek w pudle z naklejką „zalecane przez NIL”, a gdyby klienci w dodatku sami mogli go zmontować, produkt miałby niezwykle przystępną cenę.

Mam głowę pełną przeróżnych wynalazków, w mojej ostatniej książce wynalazłam płatnego pomagiera złotą rączkę. Coś pomiędzy mężem na godziny a sekretarką, można sobie na niego wykupić abonament miesięczny, wyręcza nas w sprawach banalnych, jak zakupy, wymiana opon czy załatwianie nudnych formalności po urzędach, potrafi też zreperować wszystko w domu, odrobić z dziećmi lekcje i przeprowadzić kurs asertywności. Jeden telefon – i już pędzi na skuterze, pędzi osobiście lub wyznacza w tym celu któregoś z kolegów, i chyba sam nie jest zbyt asertywny, lecz w tym zawodzie to akurat dobrze, bo płatny pomagier już na rozmowie kwalifikacyjnej uczy się zapewne, że słowo *nie* jest zakazane. Zaprogramowany jak robot, posłusznie umiera, kiedy kliknę odpowiedni przycisk menu.

Mniej więcej tak się pisze za pieniądze. Na podstawie wyników badań fokusowych lepi się figurkę z ciasta, a potem, jak na tresurze agresywnego psa, co raz po raz wgryza się w rękę owinięta pianką, czeka się na różne

sytuacje z życia wzięte i tworzy fabułę z tych bardziej przekonujących. To, czy rzeczywiście są przekonujące, testuje się na pierwszych czytelnikach, testerach, nim książka pójdzie do druku. Jeśli są, czytelnik ociera łzy lub wybucha śmiechem, a najlepiej, kiedy śmieje się przez łzy.

Może nie powinnam była zawracać tym głowy Tomášowi i Justýnie, ale przecież oni naprawdę interesowali się moimi książkami, myślę, znów stojąc na trybunie mojego balkonu, choć rozmowa w sześcioro oczu (dwoje moich kontra czworo oczu moich dzieci) byłaby bardziej na miejscu, Tomáš ma niebieskie po mnie, Justýna brązowe po mężu, są młodymi ludźmi, którym coś w życiu wyszło, i nie za dużo o nich wiem. Przynajmniej o ich obecnym życiu, lecz obecne życie jest przecież tylko przedłużeniem tego, kim są, kim się stali w odległym dzieciństwie, mogę więc domyślić się na ich temat tego czy owego.

„Kiedy ja byłam w jej wieku...”, lubią mawiać stare matrony o swoich córkach, a ja pamiętam siebie jako dziewczynę, która wszystkiego się bała. Byłam chodzącym strachem. Strachem w opakowaniu baterii paluszka, płaską chudziną, która nim odważy się powiedzieć coś na głos, dwa razy musi to sobie przećwiczyć w głowie. Im byłam starsza, tym mój głos bardziej mnie wyprzedzał, a moja głowa trajkotała przeróżne rzeczy, nim zdążyłam je przemyśleć. Kiedy zamierzamy porządnie sobie chlapnąć dla kurazu, należy wcześniej zjeść coś tłustego (o tym też młodzi ludzie nie mają pojęcia), tłuszcz konserwuje tak samo dobrze jak cukier. Dlatego chwile, które najchętniej wymazalibyśmy z pamięci, trzymają się tłustej kory mózgowej kurczowo jak kleszcze, i w taki właśnie sposób zaczyna się pisać. Zawsze najpierw coś musi się spieprzyć. A im więcej znoju, tym lepiej, bo to się później nazywa mieć temat, ciekawe, że inni twórcy też dostali za młodu w dupę od życia, a to się z kolei nazywa mieć wzory literackie i być pewnym swojej drogi, potem przychodzą słowa: „gdybym wiedziała, nie zrobiłabym tego i tamtego...”, bo że jest się pewnym swojej drogi, nie znaczy, że droga będzie usłana różami, ale teraz to już sama zaczynam ziewać nad tymi nudziarstwami, które wam tu serwuję. Kolejny frazes to mieć marzenia. Ile z nich zostało, się pytam, bo marzenie jest jak noga, każdy chociaż jedną ma, co z tego, skoro rzecz w tym, kto więcej zniesie.

Moja droga usłana różami nie była, ale wylądowałam jako autorka książek, na okładkach których często goszczą róże, no tak, przecież piszę gnioty, już mnie znacie, i ja siebie znam, i nie czuję w związku z tym ani grama wstydu. Bo samopoznanie lubi iść ręką w rękę z umiejętnością naginania rzeczy, które wiemy o sobie, na własną korzyść. Tak oto można osiągnąć mistrzostwo w autorefleksji i zarazem w samookłamywaniu się, bo im więcej się dowiadujemy, tym mniej jesteśmy pewni swego. I dobrze, bo w ogóle nie powinniśmy być pewni. Niczego. Lecz nawet w tak niesprzyjających okolicznościach można w życiu daleko zajść, bo ważne jest też, kogo się na wspomnianej swojej drodze spotka. A kiedy powiem, że *chodziłam z pewnym znanym czeskim pisarzem*, ci, którzy interesują się moją twórczością, od razu pojmą, do czego piję. Że to zdanie rozpoczynające moją pierwszą książkę *Metropolia*, książkę, która, jak to się mówi, zrobiła ze mnie pisarkę, a romansidłem była tylko jedną nogą, drugą miała za cel dręczyć i przygnębiać, a to się nazywa wartościowa proza.

Autor dręczy siebie i czytelnika, autora z kolei zdręcza udręczony krytyk, który ma już dość całej tej udreki, a to się z kolei nazywa czekanie na wielką czeską powieść.

„Kiedy ja byłam w jej wieku...” Czasem, żeby dogrzebać się do zakończenia, muszę wrócić do początku, zrobmy więc może jakieś podsumowanie, mówię o swojej młodości, lecz chodzi mi o dzieciństwo Justyny, bo artyści kują przenośnie niczym podkowy, które brzęczą dzyń dzyń dzyń, kiedy tekst się klei, a my obie, jak matka, tak córka, dostałyśmy z piąchy od życia. A piącha od życia w wieku mizernym uszlachetnia ducha, bo możecie snuć poważne refleksje, jeszcze nim się dobrze nauczycie czytać, i zagłębiać w najgłębsze głębie swojego ja, na co może wcale nie macie ochoty, ale musicie, a to się nazywa los, a potem wyciągacie to wszystko jak ze studni, w wiaderku na łańcuchu, a wiaderko jest dużo, bardzo dużo.

Teraz tworzę z dłoni literkę T, przerwa na żądanie, jak trener, który chce właśnie objechać Berdycha, żeby trochę zluzował z bekhendem, bo metaforyczne wiaderko, którym wyciąga się na wierzch nasze brudy, skojarzyło mi się z innym, prawdziwym wiaderkiem.

Jeździło ze zgrzytem w górę i w dół na amatorskim wyciągu przymocowanym do barierki mojego balkonu, a wówczas zbierał się tu pachnący kwiat inteligencji, tak zwanej dobrze rokującej, z potencjałem. Po moim mieszkaniu pętały się potencjalne pary, które przyszły pojedynczo,

a wychodziły razem („to” też się tu działo), w przerwach pomiędzy dekonstrukcją literacko-społeczną obściskiwano się na leżących pod ścianami poduchach, a ludzie, którzy chcieli coś w życiu znaczyć, mieli okazję spotkać tu takich, którym już się to udało.

Normalnie salon literacki w latach dziewięćdziesiątych... Zdziwieni? A znany pisarz T.K. (nie zdradzam pełnego imienia i nazwiska, bo jego córka i syn mogliby się wpieniść) przyprowadzał tu znajomych, a jego znajomi stawali się moimi, a to się nazywa wejść w pewne środowisko, uwiesiłam się więc ich jak atleta drążka, a oni, podobnie jak sportowcy ogień olimpijski, nieśli swoje przesłanie. Przesłanie prawdy i miłości, rzecz jasna, dziewczyny z rozpierdolonych rodzin je lubią, bo łudzą się, że piękne havlowskie słowa mogą być punktem zaczepienia w życiu, i mogą, ale nie są, szczególnie po przebudzeniu na kacu mordercy, kiedy człowiek dużo bardziej niż wartości moralnych potrzebuje prochu na ból głowy.

Recytujemy z balkonu poezję, zgromadzonej na dole publiczności spuszczaemy w wiaderku piwo, wino i fajki, na górę wraca brudne szkło i drobniaki. Podczas gdy na dole rozbrzmiewa aplauz, na górze do występu szykuje się kolejna osoba, czerwona jak burak raczej od wina niż z tremy, bo przecież znajomy nigdy nie będzie się zbyt brutalnie nabijać ze znajomego znajomych. Były popisy, gwiazdorzenie i pozer-stwo, a ja rywalizowałam z T.K., ale był lepszy, zresztą wiele innych początkujących prozaiczek chciało się dopchać do tego odkrywcy młodych talentów i młodych cipek, zabierał mnie w *tournée* po kraju, na promocje swoich tłumaczonych na wiele języków książek, potem mówił, że się rozwiedzie, a ja miałam nadzieję, że jednak tego nie zrobi. Jesteś dla mnie tylko bramą, mam w nosie port, a on chyba to wyczuł, ale i tak wciąż włączyliśmy się po barach i jakichś jego koleśiach z redakcji.

Pewnie, że do świata kultury da się wleźć przez łóżko, wręcz tamtędy najłatwiej, bo gdzie jeśli nie tam właśnie kompetencje miękkie są ważniejsze od twardych, które da się ująć w liczby. Sztuki się nie da, mawiają, lecz tym twardsza jest konkurencja, bo właściwie każdy z nas jest trochę twórcą, ale nie każdy potrafi obliczać pierwiastki, co, w odróżnieniu od wartości prozy eksperymentalnej, można natychmiast udowodnić. Więc kiedy za oknem była psia pogoda, nikomu nie chciało się stać pod balkonem, a hałastra w dużym

pokoju ciągle gadała półgłosem, nie dopuszczając do słowa autora, który próbował wyrecytować swój wiersz, i dając mu w ten sposób do zrozumienia, że jego wycieczki i tak są niewiele warte, robili coś, co nazywa się ucieraniem nosa, bo w miękkich dyscyplinach jest o wiele więcej zawiści i syfu, dowodów brak, ludzie ratują się więc efekciarstwem i paradują na przykład w jakichś cudacznych sukienkach, żeby kreować wizerunek, tak więc gdy nadchodził taki wieczór, wszyscy trajkotali jak opętani, nie zważając na bezliczbowy charakter literatury, a ze słów wyłaniały się pierwsze, drugie i trzecie miejsca na podium. A wokół podskakiwała gromadka groupies, z której T.K. i jego dupowłazy, fani bitników, od czasu do czasu wyławiali sobie jakąś dziewczuszkę, której natychmiast wyrastały od tego skrzydła sowy – śmietanka literacka kładzie się spać o świcie. Im T.K. nie mówił *cicho siedź i idź spać*, jak młodziutkim wierszokletom, którzy burczeli mu jak maszynka tatuażysty nad cipką, którą T.K. sobie napoczął.

Mieszkanie było moje, lecz tamtymi nocami należało do wszystkich i do nikogo zarazem, a że wszyscy dobrze jeszcze pamiętaliśmy komunę, gdy nie kraść było ujmą dla rodziny, mnie też znikwały szklanki i łyżeczki, których już raczej w życiu nie ujrzę, chyba że na wystawie *Ślepe tendencje w kulturze czeskiej lat dziewięćdziesiątych*, gdzie moja zastawa będzie dumnie leżeć w gablotce z regulowaną temperaturą i wilgotnością, a kiedy wystawa się skończy, odwiozą moje sztuce i szklanki wozem pancernym z obstawą i na sygnale do całodobowo pilnowanego magazynu. Cóż.

Kiedy do cna wyczerpie się pierwotny *underground* (czyli niebawem) i ludzie zaczną szukać nowych legend podziemia, ktoś być może wygrzebie skądś kilka fotek z szalonej imprezy u mnie, a można tam znaleźć naprawdę niemało pacholących twarzy, które dziś coś znaczą, a ja zupełnie nago siedzę tam T.K. na kolanach, to też dobre. Bo był już wtedy żonaty, i fakt, że tego typu ekscesy to niezła promocja i ludzie często sami je inscenizują, ale tamto zdjęcie jest prawdziwe, zresztą bywały i większe obsceny.

Kto wie, może sama wygrzebie kilka zdjęć, żeby (nie przez kaprys, ale kiedy mi na przykład zabraknie na czynsz) zwiększyć sprzedaż moich książek. Na odpowiedni moment warto czekać, choćby całe lata, bo drugi z dwóch pedałów, którzy zawsze przychodzili punktualnie, może w międzyczasie objąć wysoką pozycję w administracji państwowej, a pierwszego od lat znacie z telewizji.

Wszystko to są tak zwane pewne kręgi, w których albo się obracacie, albo

nie, i czasem wystarczy być dziewczątkiem z Pragi z przyzwoitą figurą (T.K. nigdy nie kręciły kobiety przy kości) i dużym mieszkaniem, by nawet moja wrodzona płochłość nie zepsuła wrażenia ogólnego.

Właśnie tu leżeliśmy z T.K. Na łóżku, na którym teraz siedzę i powoli się podnoszę, żeby wyjść na balkon, na barierce jest jeszcze blizna po wyciągu na wiaderko, głaszczę ją, jakby to była twoja twarz. Przeszłość jest ślepa, trzyma się za rękę ze ślepą przyszłością, a gdzieś w splotach ich palców jest tu i teraz, a w tej ciszy ja i brzęk szkła...

Nalewam sobie od razu dwa kieliszki rumu i wznoszę toast za wydajność.

W gości przyszła dziś ostatecznie cała galeria typów z mojego salonu literackiego, choć półmiski z jedzeniem wciąż stoją nietknięte (tylko ja skubnęłam tego i owego).

Mogłabym zapukać do Blažkovej i zaskoczyć ją sąsiedzkim poczęstunkiem. Zwykle jednak nie pielęgnuję znajomości. Właśnie dlatego całkiem wypadłam z obiegu, z kręgów, o których wspomniałam wcześniej, ale to także przez to, co robię. Przez moje pisanie, tak bardzo różniące się od ówczesnego, pisanie, które nie cieszy się renomą, pieniądze, owszem, przynosi, choć nie tak duże, jak by się mogło wydawać. Zresztą, to nieprawda z tą renomą. Bo ile osób w trudnej sytuacji życiowej, jak pobyt w szpitalu przed operacją czy urlop z rodziną, zabiera ze sobą współczesną literaturę czeską, a ile romansidła? To pytanie retoryczne, rzecz jasna, bo karty dawno rozdane, zostawmy więc zimne piedestały gigantom z ambicjami i nie trapmy ich smutnymi statystykami sprzedaży. Ani Blažková, ani Jarda, ani nawet mój mąż w życiu nie przeczytali żadnej z książek, które krążyły po tym mieszkaniu w czasach wspomnianych szalonych imprez, i co, są przez to w mniejszym stopniu *Homo sapiens*? Może są tylko trochę mniej rozjebani, ale to chyba mała strata. Bo mąż był cholerykiem, to fakt, ale cholerykiem radosnym, jak szczypiorek na wiosnę. Gniew spływał po nim jak po tym szczypiorku rosa, a on mówił: „wszystko się ułoży”.

Tylko ja i dzieci czasem ponosiliśmy konsekwencje. Mąż, w przeciwieństwie do mnie, nosił ciemne okulary wyłącznie od słońca (testosteron łzom nie sprzyja), a kiedy latem nagle wchodził do ciemnego pomieszczenia, doznawał szoku i musiał dość długo przyzwyczajać oczy.

Chaotycznie poruszał rękami. Takie tam drobnostki. Gazetnik, który postawił w toalecie, krojenie połówki chleba od piętki, wrzucanie kluczyków od auta do wnęki, w której wisi krzyż, nienawidziłam tego.

„Nieba bym ci przychylił, a ty?”

„A co to znaczy przychylić nieba, tatusiu?”, spytała Justyna, o której życiu chciałam z początku mówić, lecz ostatecznie skończyłam na własnym w czasach imprez, a wtedy mąż, czyli jej ojciec, zaczął wyjaśniać, co to znaczy przychylić, zamiast wyjaśnić, w jakiż to niby sposób przychylił *mi* nieba, co zresztą i mnie ciekawiło, a on, że ciągle tylko chcę brać, ale dawać już nie, obowiązków małżeńskich nie wyjąwszy, a taka gadka nazywa się zdarta płyta. Kiedy w małżeństwie w kółko gra ta sama płyta, a obowiązki małżeńskie się rozgrywają, lecz o miłości nie śpiewają, prędzej czy później przegrana jest nie tylko żona (ta odegra swoje i ma z bani), ale i mąż, bo pączusia, który miał uchylać płatków na delikatne muśnięcie, trzeba otwierać siłą, jak mały chuligan otwiera szczechuję na plaży, przy czym mąż, w przeciwieństwie do chuligana, opieprza pączusia (szczechują kwili tak cicho i cieniusieńko, że chuligan jej nie słyszy, poza tym i tak mówi po chińsku), i mąż zbiera własny plon. Pamiętajcie: nigdy nie chodzi o to, kto ma wynieść śmieci, to wszystko pierdoły. O podział prac domowych niech się kłócą rodzinki w osiedlach willowych na peryferiach. Tu chodzi o sprawy zasadnicze.

„Nie użalaj się wiecznie nad sobą”, mówił mąż, jakbym nic tylko wypłakiwała sobie oczęta, a przecież wylewanie łez to ich marginalne zajęcie, głównym jest liczenie znaków ze spacjami.

I ten wieczny rejwach, ciągła gotowość do działania, dzieci przekrzykują się nawzajem, a mąż nawija o aktualnej sytuacji politycznej, nieważne, co akurat robimy i czy kogoś to w ogóle obchodzi, a nie obchodzi.

„I po co tyle gadać – mówię mu w dobrej wierze – to już piąty kryzys rządowy w ciągu ostatnich trzech miesięcy”, i wiem, że gejzer zaraz wybuchnie, i biegnę gdzieś się ukryć. Jarda mówi: „Bałaś się, moja – ekhm – duszko”, moje serce tańczy, a on klepie mnie po pupie, ale inaczej niż mąż, który był brutalny, ale się wstydził, co jest chyba najgorszą z możliwych kombinacji, i nagle, wraz z Justyną, ukrywam się w szafie na ubrania, a ona mówi: „Mamo, co jak zabraknie tlenu?”, chyba usłyszała to w jakimś filmie akcji, pewnie u teściowej, stara zasnęła, a dzieciaki oglądały głupoty. Też kiedyś zasnę nad tym tekstem. Zasnę nad otwartym laptopem, a moje czoło

pokryje całą stronę literkami ghjghjghjghjghjghjghj, bo właśnie one są na środku klawiatury.

Marilyn Monroe

Mamoooo!, dobiega mnie krzyk jakby z pokoju obok, z początku myślę, że to córka, Justyna woła w mojej głowie.

„Zaniedbana córka!”, krzyczy mąż (też w mojej głowie). Cicho siedź!

Lecz zaraz biegnę na balkon, bo krzyk wcale nie dobiega z mojej głowy, tylko z dworu, po drodze przewracam butelkę rumu, ciecz złocistym rumieńcem zalewa stół, moje policzki też są rumiane, nie, nie będę wycierać, tylko lekko przejadę szlafrokiem, o. Raz-dwa jestem na balkonie, okazuje się, że to tylko jakaś dziewczynka po drugiej stronie ulicy, zerwały jej się koraliki. Woła matkę, lecz matki nie widać. Czemu się oddala i szwenda? Wiem, że dopóki nie zgłosi się jakaś rodzicielka, powinnam przypilnować dziewczynki, ale kiedy moim oczom ukazuje się matka, nie wierzę im już po raz kolejny tego dnia, bo matką okazuje się Marilyn Monroe z bandy ćpuniaków, która teraz wcale nie wygląda aż tak rynsztokowo, macham do niej z balkonu i wołam: „Wejdźcie, mam schabowe, zupę i sałatkę z pomidorów!”. Na ulicę wjeżdża ciężarówka, nie widzę i nie słyszę już nic.

Ciężarówka przejeżdża i odsłania dwie zachwycone buźki. Dziewczynka wygląda na ciekawską, chce iść, a Marilyn raczej wie, że skorzystają, choć trochę się waha, może krępuje, ale i tak przechodzi na drugą stronę, przed mój dom.

„Nie chcemy przeszkadzać – mówi, zadzierając głowę, po czym zwraca się do córki: – Pani Julie jest pisarką, wiesz?”, a ja czekam, czy rzuci okiem w moją stronę, co by oznaczało, że to wcale nie była informacja dla córki, a raczej pochlebstwo dla mnie, ale Marilyn tylko przygląda małej kosmyk włosów i zaczyna z nią zbierać rozsypane koraliki, jakby całkiem zapomniały o mojej propozycji.

„Kawa czy herbata?”, dodaję dla pewności, Marilyn krzyczy, że kawa,

córka herbata, a Marilyn mówi: „To jest Věrka”. Jaka tam Věrka, myślę sobie, w mojej książce nazywałyby się raczej Stázka albo Janička, ale tylko potakuję i lecę do kuchni wstawić wodę, chyba już pozbierały koraliki, brzęk dzwonek domofonu, otwieram.

Robię miejsce na stole, przesuwam trochę półmiski, słyszę ich kroki na klatce schodowej i jak zwykle zaczynam się denerwować. Strasznie mnie zawsze stresuje moment, kiedy słyszę, że idą goście, jeszcze nie weszli, ale już trzeba przybrać minę pod tytułem gościnną pani domu, by ją zaprezentować w chwili otwierania drzwi.

To nic, że wcześniej widziałyśmy się z balkonu, teraz wszystko zaczyna się od początku, na serio. Być może także dlatego opuściłam wszelkie kręgi i środowiska, a teraz sprawy zaszły tak daleko, że nawet kiedy nagotuję jak głupia – i tak prawie nikt nie zagląda.

Po prostu bez sensu zamartwiam się sprawami, które innym przychodzą naturalnie, i okrutnie mnie to wykańcza, choć obiektywnie nie robię nic wymagającego wysiłku, a potem, wieczorem, leżę w irlandzkim internacie zalana poczuciem winy i wyrzutami sumienia, nic nie napisałaś, nic nie zrobiłaś i nawet dziś nie wypoczęłaś, stare pudło jedno.

Ale kiedy obie stają w drzwiach, okazuje się, że moje obawy były jak zwykle bez sensu, Věrka, w ogóle na mnie nie patrząc, pakuje się do środka, a Marilyn jest ćpunką i nie bawi się w teatrzyki powitalne, nie muszę więc zakładać maski pani gościnniej i nagle czuję niezwykłą ulgę.

„Z cukrem?”, pytam, a Marilyn, że tak, i z mlekiem, Věrka pyta, czy mam cytrynę i miód do herbaty, a mnie zalewa coś na kształt euforii, bo najgorsi są goście, którzy na wszystko odpowiadają: „nie, dziękuję”, w cholernie mylnym przeświadczeniu, że to zachowanie właściwe i uprzejme.

„O czym pani teraz pisze?”, pyta Marilyn i wcina ryż w sosie czosnkowym, aż jej się uszy trzęsą, Věrka opycha się sałatką i świdruje oczkami naokoło, a ja zastanawiam się, czy też będę kiedyś babcią, i że chyba poradziłabym sobie z tym lepiej niż z macierzyństwem, bo w takiej relacji osoba bliska przychodzi czasem się najeść, napić, porozmawiać i wychodzi, co wymaga ode mnie tylko gotowania i mycia naczyń, nie zszarganych nerwów.

I nagle w pokoju zjawia się Justýna, jak żywa. Już nie krąży wokół mnie, czy raczej ja nie krążę wokół niej, gadając *de facto* o sobie, teraz spada niczym mały zabawkowy spadochron, wprost na krzesło obok Věrki, gdzie natychmiast zaczynają się przepychać tyłkami, jak dzieci w tramwaju,

w którym jest tylko jedno wolne miejsce. Przez chwilę mam wrażenie, że dziewczyny grają na cztery ręce na sałatce z pomidorów jak na pianinie, dłonie Věrki przenikają się z dłońmi Justýny, aż w końcu Justýna, zupełnie jak kombinezon, wkłada na siebie Věrkę, co nakazuje mi zerknąć w stronę butelki, ale nie, rozlałam resztkę rumu, halucynacje to nie jego sprawka. Rumieniec rumu tylko trochę zalatuje na stole, ale Marilyn chyba to nie przeszkadza, opycha się, jakby nie jadła od tygodnia, zresztą, nos ma pewnie przeżarty od wachania, nie wiadomo, czy w ogóle cokolwiek czuje.

Potem podnosi głowę, w oczach ma pytajniki, a ja nagle przypominam sobie, że chwilę temu pytała, o czym teraz piszę, odpowiadam więc: „Szczерze mówiąc, to o pani, Marilyn”, a ją wyraźnie wbija w ziemię ksywka, jaką dla niej wymyśliłam, ale niczego nie komentuje, najwyraźniej zaciekawiona, co powiem dalej, ba, może nawet połechtana moimi słowami.

„Jeśli chce pani kiedykolwiek wyjść na prostą, musi pani zerwać z tym towarzystwem. – Marilyn spuszcza oczy, czuje się winna, ja też, choć pewnie mniej niż ona, wiem bowiem, że wysłuchuje takich rad od rana do nocy, dodaję więc: – Choćby dla niej”, i wskazuję głową Věrkę, ale Věrka znów jest moją Justýną i nawleka na nic, którą przyniosłam jej z przybornika, korale, które rozsypały się Věrce na dworze.

„Gdyby nie ona, dawno by mnie tu nie było”, szepcze Marilyn, a ja czuję, jak jakaś siła chwyta mnie i unosi w górę.

Ludzie czasem mówią to, co wcześniej powiedzieli w moich książkach. Po prostu wiem, co zaraz się wydarzy, kto co powie, i gdyby był tu Jarda, pewnie podałyby mi tylko szklankę wody ze stolika i lekko znudzonym głosem stwierdził: „Zbieg okoliczności i tyle”. Ale ja wiem, że nie, bo jak na zbieg okoliczności, zdarza się zbyt często.

„Właściwie to piszę o Věrce, nie o pani”, ciągnę i mam ochotę dodać: pani występuje tam tylko jako tło, złe środowisko, w którym wyrosła córka i z którego udało jej się wyrwać, wcale nie dzięki pani, tylko pani na przekór, i patrzę na Věrkę, lecz widzę Justýnę, a w mojej głowie jak echo wybrzmiewają słowa *pani na przekór*. Słowa te w formie *per pani* odbijały się w oczach pracownicy opieki społecznej, w formie *per ty* lawinowo wypływały z ust mojego męża, który twierdził, że dzieci *bohatersko* to wszystko przełknęły, ale nie wiem, co miały łykać, no, może czasem łyż, kiedy stały z szeroko otwartymi oczami czy nosami przyklejonymi do matowej szyby w drzwiach mojego gabinetu, wystukując na niej paluszkami

długie sonaty. Nigdy nie otworzyłam (tak bardzo, bardzo chciałam im wtedy wlać, nie zrobiłam tego). Życie poświęcone twórczości.

I wiem, że zaraz znów ogarnie mnie to uczucie, jak tabuny wilgotnego chłodnego powietrza są zwiastunem metra, które wnet pojawi się na stacji, zresztą, kto by chciał zapędzać się w taki tunel. Justyna wciąż siedzi na krześle i nie chce tam wpuścić Věrki, i gdyby nie moja arcywysoka samokontrola, wybuchłabym i opierniczyłam Justynę, bo tak się nie traktuje gości. Ale ona wiecznie wszystko wymuszała.

„O dziewczynie, która nie ma łatwego życia, lecz jest uparta i konsekwentna, dzięki czemu wychodzi na ludzi”, ciągnę i widzę, że oczy Marilyn wilgotnieją, odkłada widelec, ociera łzę. Chyba ma brudne ręce, bo cały policzek jest teraz ubabrany, zerkam, rzeczywiście, czarne, musiała je utyłać wcześ-niej, niemożliwe, żeby aż tak się usmolić, zbierając koraliki pod moim balkonem.

„Kończy szkołę, zostaje technikiem dentystycznym, specjalistką od protez zębowych, i wszyscy emeryci z sąsiedztwa robią sobie u niej odlewy swoich bezzębnych dziąseł – opowiadam dalej. – Bardzo lubi swoją pracę i co dzień jeździ do niej na rowerze, bo dba nie tylko o zdrowie i zadowolenie pacjentów, lecz także o środowisko”. Justyna patrzy na mnie z otwartą buzią, chociaż kiedy jeszcze mieszkała w domu, dawałam jej swoje książki do oceny, kiedy którąś skończyłam, natychmiast musiała ją przeczytać, i to w jeden wieczór (nie są grube), i powiedzieć, co sądzi. Nie zmuszałam jej. Musiała, bo sama chciała, i choć widziałam, jak bardzo ją wciągają, zawsze miała masę krytycznych uwag.

Córki nie oszczędzają matek. Tylko matki oszczędzają córki, a Justynę być może oszczędzały także moje romansidła. Wszystkie te historyjki nie mają nic wspólnego z prawdziwym życiem, mawiał mój mąż, z nadzieją, że mi dopiecze. Tak naprawdę, był zazdrosny o mój sukces. Choćby nie wiem jak się wyteżał, nie potrafiłby wymienić tytułów moich książek. Muszę jednak sprawiedliwie przyznać, że wołał się wyteżać w innych dziedzinach. Gdybym miała wymienić jego pozytywne cechy, byłyby to: pracowitość, prawdomówność i optymizm. Kolejność nie jest przypadkowa.

„A co z miłością?”, pyta cicho Marilyn.

Jezusickunazareński.

„Co z miłością?”, powtarza, mając chyba na myśli historię o Věrce, bo faktycznie, bohaterka jak na razie przejawia wyłącznie miłość do staruszków,

a raczej współczucie dla ich zębów. Marilyn jest w gorącej wodzie kąpana, jak to już z ćpunkami bywa. Lecz jeśli tli się w niej iskra zainteresowania miłością, ma jeszcze szansę wylądować na cztery łapy, jak przeróżne upadłe kobiety z moich książek (szczególnie Lenka z *Ulicy Porzeczkowej* i Jarka ze *Szczęśliwego trafu*).

Odpowiadam więc: „Żona dentysty z gabinetu, w którym pracuje Věrka, ginie w wypadku samochodowym. Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem – mówię cicho, ze względu na Věrkę (nie wszystkie gnioty nadają się dla nieletnich, zwłaszcza te wyjątkowo przygnębiające). – Věrka czuje, że powinna się nim zaopiekować”.

„I odtąd ona będzie sensem jego życia!”, nie wytrzymuje Marilyn, oczy jej płoną. A ja wiem, że gdybym teraz opowiadała jej prawdziwą, nie zmyśloną historię, jej entuzjazm nie byłby ani odrobinę mniejszy, a to się nazywa magiczna moc literatury.

„A co jest sensem pani życia? Nie licząc Věrki”, dodaję, a słowa *nie licząc Věrki* to z mojej strony czysta podłość, wszystko popsulałam. Marilyn robi minę dziecka, któremu zły pan zdeptał zabawkę, blednie i cichnie. Moje mieszkanie zmienia się w rękę trzymającą ją w garści, a ona myśli tylko o tym, by się z niej wyśliznąć i jak najszybciej załatwić sobie działkę.

Mąż miał rację, jest we mnie jakaś podłość. Coś, co dręczy innych, choć przede wszystkim mnie, i co być może wiąże się z faktem, że bliźni jest dla mnie tylko materiałem do dalszej obróbki, półproduktem, w który muszę dopiero tchnąć drugie, prawdziwe życie, o, już słyszę, jak Jarda mówi w mojej głowie: „wracaj do siebie!”, właściwie woła, coraz głośniej i bardziej zawzięcie, bo jest za pięć dwunasta.

Bum

Późno już. Po pokoju, niczym szara mgła, polatują cienie, półmiski jedzenia, którego nagotowałam *jak dla całego wojska*, stoją niemal puste. Kałuża rumu w międzyczasie wsiąkła w stół, a może zlizął ją jakiś kot i teraz zatacza się gdzieś pod meblami. Może sama jestem tym kotem?

Normalnie byłabym jedyną podejrzaną, ale Marilyn też na pewno lubi chlapnąć, założę się poza tym, że miała w kieszeni jakieś prochy na czarną godzinę, które musiała przecież czymś popić. Věrka śpi spokojnie na kanapie, jej klatka piersiowa, mała jak u pieska, unosi się i opada. Wyjmuję z szafy koc i przykrywam to ludzkie młode, uśmiecha się i trochę wierci przez sen. Marilyn siedzi na krześle w pozycji drzemiący telewidz, ręce na podołku, głowa zwieszona na bok. Jedno oko niedomknięte, bulgotki z ust. Justýna, jak można się było spodziewać, wyparowała.

Patrzę na nie, podejrzewając, że ktoś tu chyba wyłączył dźwięk, a obraz się zaciął, kiedy moje refleksje przerywa drugi już tego dnia dzwonek do drzwi.

Pierwsza myśl: biegiem do lustra (mam na sobie fartuch obłany niezidentyfikowanym czymś, dziarskim krokiem podchodzę do kosza na brudy, ściągam fartuch i rzucam go na kupę brudnych skarpet, bielizny i jakichś porwanych kiecek, których nie znam nawet z widzenia).

Druga myśl: Blažková przyszła w gości, a wszystko już zjedzone.

A przecież chciałam ją poczęstować.

Nie moja wina, że nic nie zostało. Kolejny nieuzasadniony atak paniki.

Pewnie ściągnęłam Blažkovą myślami, kiedy zamierzałam zanieść jej coś do jedzenia. Wiecie, tak bywa, cały dzień myślicie o ukochanym, a potem nagle go spotykacie, albo Věrka nagle zamienia się w Justýnę i bębnią etiudę na cztery ręce na sałatkowym pianinie. Myśli są jak miód, a ludzie to pszczoły, które do niego lecą, a teraz Blažková przyfrunęła na fartuchowych skrzydłach jak pszczoła do miodu, a ja nie mam czym jej poczęstować.

Wpadam na szalony pomysł, żeby zrobić szybkie *purée* ziemniaczane z proszku, i już, już lecę do kuchni, kiedy nagle chustka spada mi z oczu, wkoło robi się jasno i dochodzę do wniosku, że zachowuję się jak idiotka, próbuję odnaleźć w głowie punkt, od którego zaczął się ten potok myśli, który fachowo nazywa się prawdopodobnie realizmem pizańskim, bo ucieka w bok niczym krzywa wieża w Pizie, tylko co było przed nim? Obiektywność faszystowska?

Zawsze byłam i będę antifa, w tym sensie także, lecz chodzi o to, by nie zapędzić się za daleko w wątki poboczne i nie zamęczyć innych. Zadanie na pozór błahe, a dla niektórych tęga mordęga.

Dzwonek brzęczy po raz drugi, ale zasłaniam uszy, bo muszę dokończyć tę myśl, odkrywam bowiem, że tak zwana rzeczywistość ma konsystencję lepką i mokrą jak wypłuty cukierek, do którego klei się co bądź, lecz przy odrobinie chęci można go umyć i dużo wyraźniej zobaczyć świat, z tym że większość z nas woli pod żadnym pozorem nie opłukiwać cukierka. Lepkość chroni niczym tłusta osłonka niemytego ciała przed bakteriami niechcianych wątpliwości. Wstyd i hańba. Cóż.

Mogę już odetkać uszy i wolnym krokiem ruszyć w stronę wolnego świata, konkretnie w stronę domofonu, by spytać, kto się uparł, by o tak późnej porze stawiać mnie na nogi.

Ale wtedy słyszę klucz w drzwiach i atak paniki powraca.

Mam przecież gości, o których osoba, która zaraz wejdzie, nie ma pojęcia, moi goście z kolei nie mają pojęcia o osobie, która zaraz wejdzie, a jak ten, co wlezie, narobi hałasu i obudzi moich gości? Nagle dostaję szajby, żeby ogarnąć mieszkanie, i zaraz myślę: zachowujesz się jak baba z twoich durnych książek, niesympatyczna bohaterka, która zawsze myśli tylko o rzeczach przyziemnych, typu usunięcie plam z pościeli, by się nie wydało, że ma kochanka... Gościem okazał się Jarda, natychmiast prowadzę go w stronę kanapy (drugiej, na której nie śpi Věrka), plamy jego spermy są na niej widoczne jak chmury na podkolorowanym w fotoszopie zdjęciu, ale nie dam obicia do czyszczenia, nie i kropka.

„Kochana”, mruczy mi do ucha, i nagle oboje lecimy w dół. Przez bezwietrzny bezkres, i chyba wodę, bo huczy mi w uszach, opadamy swobodnie, mijając nie gwiazdy, lecz liście, które powiewają wkoło, a ja od razu przypominam sobie idiotyczne określenie jesień życia, choć w naszym wypadku trwa lato, fakt, że się kończy i powoli skłania ku jesieni, aż nagle

lampa stojąca przewala się na podłogę, bum, prask, i oboje leżymy jak dwa worki ziemniaków.

„Musisz wstać, ogarnąć się i tam wrócić”, mówi Jarda, mówi nawet, kiedy się całujemy, jak kowboj z cygarem w ustach, być może mówi tylko w mojej głowie, a wspomniane *tam* to pewnie moje głębokie głębie, gdzie wiaderko z brudami jeździ w górę i w dół, lecz ja nie mam teraz ani siły, ani ochoty na takie kopalniane wycieczki. Pytam więc Jardy, gdzie dokładnie instalował dziś klimatyzację i jak ludzie mieli urządzone mieszkania, bo sama od niepamiętnych czasów nie byłam w gościach, a już przed laty, kiedy do Justyny i Tomáša przychodzili znajomi, zawsze mówili, że nasz dom to istne muzeum, więc teraz najpewniej jest już co najmniej skansenem (albo na odwrót).

Nigdy nie szłam z duchem czasu, myślę, po czym zadaję ukochanemu pytanie godne prezenterki prowadzącej program telewizyjny lotów nie najniższych: „Co o tym wszystkim sądzisz, Jardo?”.

Ale worek, który leżał obok, nagle zniknął, pewnie poszedł do toalety, wyteżam więc słuch, by dosłyszeć, jak kropelki moczu odbijają się od muszli klozetowej, etiudę, którą ubóstwiają tylko zakochani, a mnie od razu robi się mokro na dole.

Przepraszam. Przepraszam, że nic nie rozumiem, odpowiadam, bo gość wyszedł, a prezenterka, czyli ja, została sama w studiu, ale kamery i lampy nie zgasły, a przed telewizorami wciąż siedzą straszliwi widzowie w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

„Kiedy tylko zdążymy przystosować się do jednych zmian, natychmiast pojawiają się kolejne, zabawne, że nowe zmiany tak naprawdę często po prostu przenoszą nas o dwie czy trzy zmiany wstecz, w tak zwane czasy retro. I być może to faktycznie zabawne, jeśli chodzi o modę i fatałaszki, lecz chwila, w której trzeba wyrzec się siebie z przeszłości, to już mała śmierć. Wyznać, że byłem wtedy innym człowiekiem. Bo nie wiedziałem. Nie rozumiałem. Bałem się”.

Telewidzowie, którzy przeżyli komunizm, doskonale wiedzą, co się święci, i zaczynają wzdrygać się w fotelach, co nie wpłynie pewnie najlepiej na oglądalność programu, nie szkodzi, bo to i tak ostatni odcinek, podkreśmy więc głos, bo oto do studia, zamiast Jardy, wmaszerowuje osnuty siwym kłakiem fiut mojego dziada (znowu on) i wygodnie sadowi się w fotelu dla gości.

Nigdy nikogo nie przeprosiłeś. Nigdy się nie tłumaczyłeś, żydzie jeden zdradliwy, a słownik rosyjsko-czeski, prezent na dwunaste urodziny, wciąż tkwi w mojej biblioteczkę, bo nawet mnie brak odwagi, by go wyrzucić. Brak odwagi. Mam go po tobie. Twoje geny śmierdzą we mnie jak zgniły rybi łeb, jak ryby trzepoczą płetwami i zmuszają, bym zawsze postępowała zgodnie z nieczystym sumieniem i według swojej najgorszej wiedzy. Ludzi o słabym kręgosłupie moralnym powinno się kastrować. Cóż.

Uśmiechając się przepraszająco, gaszę światła w studiu, znaczy przewróconą przez upadek mój i Jardy lampę stojącą, i najchętniej poszłabym się położyć, ale idę poszukać Jardy, bo to nie w jego stylu tak wyjść bez pożegnania.

Wtedy je dostrzegam. Dwa słupki soli z szeroko otwartymi oczami, słupki soli, które noszą imiona po moich dzieciach i które zapewne stoją tam od dawna, bo wyglądają na mocno już uspozierane, czyli widzieli Jardę przebranego za leżący na mnie worek ziemniaków i mnie pod nim, jak syrenę, bo mniej więcej tak właśnie się poruszam unieruchomiona przez jego ciało, jak syrena w wodzie, a wszystko we mnie bulgocze, Jarda przyczynił się nie tylko do chmurzystych plam na kanapie, ale też na dywanie, i kiedy chcę przypomnieć sobie coś miłego, wypatruję ich wśród perskiego splotu.

Kucam więc i otwieram ramiona niczym pomnik radzieckiej matki (gdyby teraz koło mnie klapnął facet z dłutem i młoteczką, byłaby z naszej trójki rzeźba w sam raz przed komunistyczny dom kultury) w oczekiwaniu, że dzieci przybiegną, by się w nich skulić. Liczę do dziesięciu, skoro inaczej się nie da, czekam na dwa zszokowane słupki soli, które właśnie zobaczyły coś, czego nazwy nie znają. Dopiero kiedy zapomną, co widziały, poznają to słowo, a to się nazywa trauma z dzieciństwa. Gęsta plwocina w odpływie duszy, która całe lata zatyka drożność, i co nas nie zabije, to nas wzmocni, a moje dzieci też pewnie będą artystami, w spadku po matce, która czyni drugiemu, co jej było niemiłe (choć stara się właśnie tego nie robić i przyznaje do porażki tylko w chwilach słabości), ale trzeba przecież w końcu otrzeźwieć i dać spokój wszystkim tym obciążeniom dziedzicznym, bo nie chcemy przez pradziada dziada dojsć do prapoczątku, byle tylko mieć alibi, nie, dzięki, nie chcemy. Słów *nie chcemy* nie wypowiadam już ja, tylko moje dzieci, zakłete w słupki soli świadectwa grzechu, choć nawet nie otwierają ust.

„Nie chcą, żeby ich pani dotykała, czy to pani nie wystarczy?” Barbie po

psychologii udaje mądrą, choć nie wie, o czym mówi, bo sama nie ma dzieci, wybrała karierę. Ale innym to daje dobre rady, absurd, Paragraf 22, tyle że na odwrót. Kiedy możliwe staje się coś, co jest niemożliwe, bo w typowym Paragrafie 22 niemożliwe jest to, co możliwe. Oj nie, wychowywanie dzieci nie ma nic wspólnego z wiedzą czy mądrością. W tym się jeszcze zgodzę z psycholożką, ale już powracam do mieszkania, by zlać na kwaśne jabłko te dwa wybałuszaki, bo zdążyłam już dwa razy policzyć do dziesięciu, a dzieci, zamiast przybiec i skulić się w moich ramionach, ostrożnie się cofają, aż w końcu, łups, wpadają tyłkami na ścianę.

Ładnie to tak podglądać?

Drzewka trzeba przycinać, póki młode, a czego się Jaś nie nauczy, tego Jan... i już idę w ich stronę, podobna chyba do samicy jastrzębia, bo mocno się skuliły, a ich tyłeczki drżą, jakby szczękały zębami o ścianę, bo tak, zagościł w nas strach, zły władca, lecz dobry doradca, strach, który mówi: „jesteście już duzi, może więc czas w końcu zrozumieć”, drzwi do mojego gabinetu są otwarte na oścież, w przeciągu fruwią kartki mojej *Lucie na skrzydłach żądz*, co jeszcze bardziej podnosi mi ciśnienie, bo właśnie przez nich musiałam wyjść i otworzyć. Bo dziecielątka ostukiwały paluszkami *moje* drzwi *mojego* gabinetu, i naprawdę rzygać mi się chce, że muszę teraz uderzyć w te stare spróchniałe struny, ale dlaczego to zupełnie oczywiste, że kiedy pracuje mężczyzna, wszyscy szanują jego prawo do świętego spokoju?

Bum!

Coś się z czymś zderzyło, nie wiem, czy głowy dzieci ze ścianą, czy ze sobą nawzajem, ale ściana na pewno miała z tym coś wspólnego, bo widzę, że spływa po niej kilka czerwonych kropelek, lecę więc natychmiast do łazienki, po środek do dezynfekcji. Nagle stoję w łazience i balansuję, jakby każda z moich nóg tkwiła w innej z wysuniętych szufladek. Motam się, motam, tylko dlaczego? Dlaczego na podłodze jest tyle gratów, mydeł, zapasowych szczoteczek do zębów, kremów do twarzy i szamponów, podczas gdy w mojej głowie nie ma zupełnie nic? Żadnego kierunku ani śladu głosu wewnętrznego.

Odkurzone do czysta.

Wnosi się skargę

Bywało, że mąż zastawał mnie w takim stanie. Mówił na to trupie oczy, ponoć takie wtedy miałam, i ruchy lunatyka, choć przecież robiłam w tym stanie masę rzeczy, w ciągu jednego tylko popołudnia potrafiłam powyjmować rzeczy z szafek, poskładać i powkładać je tam z powrotem, w międzyczasie wycierając kurz z półek i gotując góry jedzenia. Niejasny pozostawał tylko sens wszystkich tych czynności, a mieszkanie zmieniało się w labirynt, zaczarowany zamek, z którego każde wyjście prowadzi w to samo miejsce, miejsce, w którym stoję i trupimi oczami przyglądam się tej klęsce.

I obojętne, czy dzieci były w domu, czy nie. Dzieci nigdy nie potrafiły pomóc, doradzić. Inne może by umiały, ale moje nie, i fakt, że to raczej matka powinna pomagać potomstwu, nie na odwrót, ale mogłyby chyba jednak radzić sobie z pytaniami tak trywialnymi, jak gdzie jest kuchnia czy toaleta, powinny sobie z nimi radzić i wskazywać mi rączką właściwy kierunek. Ale i syn, i córka wyglądali raczej na przerażonych, kiedy zadawałam im takie pytania, a przecież, jeśli bali się tak prostych pytań, to poczęstowanie ich słowem *boidupy* nie jest przesadzone, przeciwnie, raczej trafne.

Gdybyście tylko widzieli tę bezwzględność. Potrząsanie, ciągnięcie po ziemi, kuksańce, najgorsze wolę zostawić dla siebie, bo cokolwiek by się wydarzyło między mną a mężem, nie chcę i nie będę go oczerniać, bo jak już wspomniałam, był człowiekiem szczerym, honorowym i odpowiedzialnym, i wykonywał swoją pracę z takim samym oddaniem jak ja. Polityczne pismactwo, które wyżarło mu mózg. Musiał zapodziać go gdzieś wśród najnowszych wiadomości, i gdybyście spytali męża o czwartego prezydenta Stanów Zjednoczonych, flagę państwa Belize czy stanowisko, jakie zajmował Kalousek w czasach prywatyzacji kuponowej, udzieliłby wyczerpujących

odpowiedzi. Tak, muszę przyznać, że lubił sobie pogadać. On mówił, ja i dzieci słuchaliśmy, a duża wskazówka zegara ściennego robiła co najmniej pół kółka, nim którekolwiek z nas odważyło się drgnąć.

Co pół godziny lecą wiadomości w radiu, dlaczego więc cały świat wtedy nie milknie, przecież tylko z nich można się dowiedzieć, o co w nim w ogóle chodzi. Żadna powieść czy inna wymyślona historyjka nigdy nie obaliła rządów dyktatora. Nie wpłynęła na kursy walut, nie obniżyła cen ropy, rozpętując burzę w kularach Kremla, nie wywołała kolejnego konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Tym bardziej powieść gniot, jak wszystkie moje. Ale to naprawdę niesprawiedliwe, że ludzie nie postrzegają gniota jako negatywu, gdzie jasne perspektywy spuszczaają łomot nieszczęśliwym zakończeniom, które przecież spotykają nas na co dzień, więc kto by chciał jeszcze o nich czytać, nie, dla nich gniot to zło, gniot literacki kmiot, a myślą tak nawet ludzie, którzy sami je czytają, wicie, jak ich rozpoznają? Tacy mówią na gnioty literatura lekka.

Moje gnioty były tarczą, do której mąż strzelał z procy, przyznam, że celnie. Celnie, choć czasem bezczelnie, bo fakt, że miewał trafne spostrzeżenia, na przykład że wiek bohaterki różni się na stronach trzynastej i czterdziestej trzeciej o dwa lata, albo dlaczego bohaterka nagle zdejmuje w przedpokoju z wieszaka czapkę uszatkę, skoro trzy strony wcześniej, ubrana w mini, siedziała z przyjaciółkami na ławce i opalała nogi, takie uwagi ceniłam, lecz poza tym uważał całą moją pisaninę za absurd i stratę czasu, z której można czerpać zyski wyłącznie, żerując na zupełnie dla niego niezrozumiałej ludzkiej naiwności, i że to właściwie straszny obciach, i dla czytelnika, i dla mnie. Dlatego w naszym domu potrzęsało się mną (nie wypełniasz należycie swoich obowiązków, żono) i natrzęsało ze słowa pisanego moich fikcyjnych światów. Ze słowa pisanego komentarzy politycznych – nie daj Bóg, mąż siedział w okopach z pudeł pełnych literatury polityczno-historycznej (niezbite fakty, kochana, żadne tam sranie w banie), skąd strzelał do mnie jak z procy. A dzieci oczywiście widziały i słyszały to całe złośliwe szkalowanie mojej pracy.

I mój mąż ma mi mówić, co powinnam była, a czego nie? Przecież wszystko zaczyna się i kończy na wzajemnym szacunku. I na jego braku się skończyło. Mówiąc językiem moich bohaterek: „Zaczęliśmy się okropnie drażnić, skarbie”.

Odejście Marilyn i załamanie czasoprzestrzeni

Jeśli czasem nie jesteście pewni, do kogo właściwie się zwracam, już wyjaśniam, otóż czasem do was, czasem do niego przez małe n (Jarda ma małego, ale nie o to chodzi), najczęściej jednak do Ciebie przez duże C. Zresztą Ty masz wszystko duże. Klęczę właśnie ze złożonymi rękoma, obok kanapy pełnej Věrki, a z każdym długim wdechem i wydechem jej dziecięcego ciała czuję, że wszystko wypływa. Mówię do rozkołysanego oddechu dziecka, bo oddech dziecka, zupełnie jak śpiewające gospel i wpadające przy tym w trans Murzynki (widziałam to w Stanach na własne oczy, ale kogo teraz obchodzą pamiętniki z podróży), chwyta za serce i unosi wysoko. Wysoko do Ciebie, do Ciebie teraz mówię, i do tej małej śpiącej głowy, którą masz w swojej opiece. Kiedy Věrka bierze oddech, wszystko zapada się i ściska mnie za gardło, kiedy wypuszcza powietrze, wszystko wylatuje i oczyszczam się jak w saunie, gdy z ciała wraz z potem wypływa cały szajs, a teraz, klęcząc tu, przyznaję słusność słowom *nigdy nie mów nigdy*, bo przysięgałam sobie, że o tym, co powiem Ci zaraz, nikt nigdy się nie dowie.

Chciałam moich dzieci, ale to był błąd. Nie, nie chodzi mi o to, że mąż chlusnął do środka, choć celował w prześcieradło, a pragnienie rodzicielstwa zostało wymuszone jak odpowiedź ucznia przy tablicy, patrz, co narobiłeś, przez ciebie będzie nas więcej, a to grzech zabijać. Błąd, jeśli się zastanowić, jak kapryśne były powody tego chcenia. Dlaczego chciałam, by z mego łona dziecina wzeszła wyśniona, niczym kwiat z mych matczynych korzeni wzniesiona, z matką, co dała jej życie, złączona, z matczynym statkiem kosmicznym, hm, idąc tym tropem, wychodzi, że dziecko poczęte *in vitro* to coś w stylu *Star Treka*, i dziękuję Ci, że nie musieliśmy się do tych metod uciekać, ale przy tym skojarzeniu nasuwa się zaraz inny film, *Obcy*, coś

małego rośnie w twoim wnętrzu i je to co ty (jak mawiają z obrzydzeniem przemądrzałe młode kobiety). A z czasem zje też ciebie.

Mimo całej niechęci myślałam o *przyszłości*, i to w dwójnasób. Biorę głęboki oddech, a Věrka robi to w międzyczasie trzy razy, oddech dzieci jest krótszy. Czy nam z nimi lepiej na świecie? Zależy od okoliczności. Gdy u kogoś szron na głowie, i życie praktycznie z głowy, to i problem ma z głowy, bo może sobie siedzieć na głowie latorośli, tak też rozumowała moja (jeszcze nie siwa, lecz umiejąca przewidzieć przyszłe osiwienie) głowa, kiedy rozważałam wszystkie za i przeciw, a taki wybór jest tak zwanym wyborem Zofii, bo z drugiej strony stoi kariera, i choć kariera maklerki giełdowej czy specjalistki od stawonogów wymaga być może więcej twardych kwalifikacji, o których była mowa w związku z imprezami wyznawców tych miękkich (dobrze wam się wydaje, nie tylko kwalifikacji, ale też narkotyków), praca twórcza wymaga ogromu osobistego zaangażowania (które w badaniach nad rozmnażaniem stawonogów czy w pracy w biurze maklerskim raczej hibernuje, sorry, nie jestem nadęta, mówię tylko, jak jest), a właśnie osobiste zaangażowanie jest ulubioną strawą potomstwa, musi bez przerwy się nim opychać, a podobnie jak kornik zmienia drzewo w pył, a pszczoły leśne sok mszycy w miód, tak i matka, po której przebiegną się w tę i we w tę jej dzieci (głowa i dusza rodzicielski zostają skonsumowane przez ich głowy i dusze), zmienia się w kogoś innego.

I obojętne, jak to nazwiemy: transformacją, przebudzeniem kobiecych instynktów czy odnalezieniem samej siebie, prawda jest taka, że kawał naszej głowy i duszy tkwi w szczękach, a potem w żołądkach dzieci, co dla pracy twórczej oznacza coś na kształt życia z jedną nerką. Jasne, że się da, i to nawet zdarniej, bo człowiek, który ma pod górkę, jest lepiej zorganizowany, potrafi efektywniej zarządzać czasem, a z czasem, z czasem uczy się też nadmuchiwać własną głowę do wcześniejszej wielkości, względnie odkładać ją na poprzednie miejsce, ale to straszna męka, bo głowie się nie chce. Ma teraz w głowie i na głowie dużo ważniejsze obowiązki i myśli i wciąż, jak jojo, powraca do swojej nowej postaci, dajmy jej więc spokój i pozwólmy tam zostać, nic na siłę.

Da się żyć z jedną nerką, ale prawdopodobieństwo, że wydajność człowieka będzie wtedy większa niż tego, który ma dwie, jest niższe niż na odwrót, a jak komu nie pasuje porównywanie posiadania dzieci do braku nerki, to fora ze dwóra. Bo taki ktoś pewnie zakłada, że wszystko mi się

pokićkało, jakie tam ograniczenia czy poświęcenie, dzieci to sama radość i spełnienie, i być może ten sam ktoś, podobnie jak mój mąż, uważa, że się nad sobą użalam.

Należy dodać, że dzieci nie powstają w wyniku uprawiania sportu, słuchania muzyki czy rozmowy, ale w wyniku tarcia dwóch ciał płci odmiennej, tak samo jak u myszy, wiewiórek czy delfinów, akt czysto biologiczny, a biologiczny jest też zegar, który bije (przede wszystkim dla kobiet), a jeśli dzieci brak, zaczyna bić na alarm. Trzeba na gwałt kogoś złapać i wypędzić nowe życie ze swoich dróg rodnych, a myśl ta potrafi naprawdę opętać. Kiedy się tego bowiem dokona, nasz ciałodusz znajduje się wprawdzie we wspomnianych szczękach nowego życia, ale z drugiej strony, mamy odhaczony punkt na liście zadań, zegar przestaje bić na alarm, a nas ogarnia spokój, w którym pracuje się o wiele lepiej niż w irytującym huku tego nieszczęsnego walącego na alarm bębna (błogosławionego bębna, bo gdyby nie on, to i nas by nie było, co wprawdzie byłoby bardzo na rękę wielu gatunkom roślin i zwierząt, które wymierają wskutek naszej działalności, ale nam już nie). Plus słodka świadomość, że ktoś się nami zaopiekuje na starość. Być może.

„Tobą na pewno nie”, cytuję męża, okrywając Věrce ramiona. Gwałtownymi ruchami skopała koc, może ją gryzie (jak to możliwe, że wciąż trafia się w sklepach na gryzące rzeczy? Który my mamy rok? 1984?).

Odkąd Věrka i Marilyn ucięły sobie u mnie drzemkę, słońce zdążyło już zająć i wzejść, udzieliłam im azylu, szlachetna rzecz, ale łaski nie robię, bo ich obecność bardzo mi pomaga. Zupełnie inaczej mówi się o dzieciach przy dziecku niż w samotności, ze wzrokiem wbitym w blat kuchenny. Věrka mnie poskramia. Widok niewinności ściera ostre zęby. Dlatego właśnie młodzi rodzice mają w sobie tyle pobłażania, wślizguje się do nich wraz z zakupem pierwszego opakowania pieluch.

Gdyby człowiek, zamiast na niewinne dziecko, patrzył na blat kuchenny, jego myśli byłyby zupełnie inne. Noże kojarzą się z odwetem, garnki, że baba bez brzucha jak garnek bez ucha, i że dzieci bezustannie się opychają, nawet kiedy nie ma co do gara włożyć. I żal. Nie przejeżdżonych pieniędzy, które można było zainwestować w książki czy nieruchomości zamiast w budowę kości, żal nad prewencją żalu, czyli decyzją o posiadaniu potomstwa, chociaż

nie ma się na nie specjalnej ochoty, wymuszoną strachem, że ta ochota mogłaby nadejść w przyszłości, kiedy jajniki wypadną z gry i przyjdzie nam się uciekać do ponizających metod laboratoryjnych, a potem, po przekroczeniu lat czterdziestu pięciu, nie pozostanie nam już nic prócz wycia, alkoholu i goryczy.

Na wszelki wypadek gramy więc *va banque*, i często zadრęczam się ponurą myślą, że to, co (chyba) nie spotka mnie, spotka kiedyś Justynę. W tym koszmarze moja córka jest człapiącą ciężkim krokiem emerytką, odzianą w fartuchopodomkę, z podartą torebką i opuchniętymi kostkami, stoi zagubiona wśród huku trąbiących aut. Wybrała się na zakupy, ale w międzyczasie zapomniała, co konkretnie ma kupić. Koszmar trwa. Próbuje wsiąść do tramwaju, ale dwa stopnie są dla niej niczym wspinaczka na Matterhorn, a rozgryźć rozkład jazdy jest jak rozwiązać sudoku, obowiązki domowe też piętrzą się wkoło niczym niezdobyte góry, bo jak tu wstać z łóżka, kiedy nogom gracji brak, zresztą, ochoty też brak, nie wstaje więc, choć słyszy dzwonek telefonu (ankieter lub operator telefonii komórkowej), nie ma siły podnieść słuchawki, i wszystko ciągnie się jak piszcząca pozioma kreska na EKG serca, które przestało bić, chociaż życie może trwać dalej pięć albo nawet dziesięć lat. Smutna codzienność samotnego członka wspólnoty pierwotnej. Justyna, która wybrała życie bezdzietnej kobiety niezależnej, po czym odwała kitę i nikt tego nie zauważa, dopóki niemogący już znieść smrodu sąsiedzi nie wyważą drzwi. Cóż.

Przyszłość to żądło, przed którym usiłuje uciec wiecznie rozedrgane życie, a jak wiadomo, każdy swego szczęścia sprawcą, konduktorem, zawiadowcą, każdy swego sprawcy szczęściem, zawiadowcą, konduktorem. A jeśli wiecie, którego znanego czeskiego autora właśnie zacytowałam, znaczy, że tak jak ja, byliście w młodości wyznawcami *undergroundu*, o, słyszę dziwny dźwięk, jakby czyjeś ciężkie kroki, myślę sobie, że może to stara Justyna z mojego koszmaru, ale nie, czas nie płynie aż tak szybko, odwracam głowę od śpiącej Věrki i zerkam w stronę biblioteczki, gdzie stoi rozczochrana Marilyn, z przechyloną głową, w pozycji charakterystycznej dla osób próbujących rozszyfrować nazwy książek, o których nigdy nie słyszały, z rozciągających się przed nimi rzędów pionowo ustawionych grzbietów. Z wypiętym tyłkiem beczelnie gapi się na moje literackie skarby. I mam

ochotę warknąć jak zły pies, po czym wypchać reklamówkę książkowymi perełkami, a potem i ją wypchać, za drzwi, z reklamówką, idź się doksztuć. Ale przecież taka jak ona natychmiast wszystko sprzeda, i to za bezcen, a potem przyjdzie pod balkon i będzie palić głupa, że była u mnie tylko chwilę, a jedynymi rzeczami, jakie wyniosła z mojego domu, były pełny żołądek i lekki kac.

Lekki?

Kiedy mimo wszystko (delikatnie) warknęłam na Marilyn, odwróciła do mnie swoją czerwoną niczym kiełbaska z grilla buzię i powiedziała: „Dzień dobry. To wszystko pani książki?”, wskazując dolne półki, gdzie faktycznie stoją wyłącznie moje tytuły, i to po dziesięć egzemplarzy z każdego (dla gości, którzy zasłużą), i jak tak się na nie popatrzy, można odnieść wrażenie, że napisałam w życiu jeszcze więcej, niż faktycznie napisałam, co, sadząc po wyrazie twarzy, zrobiło na Marilyn niemałe wrażenie, dodaję więc: „Wybierz sobie coś”, a ona wyjmując z regału *Lucie na skrzydłach żądy*, chociaż jestem pewna, że przeczyta parę stron i odłoży, bo nawet lektura harlekinów wymaga od czytelnika pewnej cierpliwości, a ćpunkci są cholernie choleryczne, patrzę też, czy przypadkiem nie ładuje sobie kolejnej książki pod bluzę, ale nie.

Potem słyszę szelest od strony kanapy i nagle podnosi się z niej potargana głowa z warkoczykami w nieładzie.

„Ja też mogę?”

A kiedy uśmiecham się i kiwam głową, Věrka podchodzi do biblioteczki, dosyć chwiejnym krokiem, jakby też wczoraj piła (z dziećmi ćpunek nigdy nic nie wiadomo), i niczym obdarzona szóstym zmysłem, z miejsca sięga po *Denisę za milion dolców*, mój bestseller dla młodzieży, a ja lecę po długopis, żeby skrobnąć dedykację.

„Dla Věrki”, bazgrzę, ale kiedy zerkam na nią i chcę dać z siebie coś więcej niż „miłej lektury” i podpis, znów staje koło mnie Justýna, po czym zaczyna wchodzić w ciało Věrki i znów z niego wychodzić, i tak kilka razy, jak bachor, co się bawi ruchomymi drzwiami, a ja prawdopodobnie dębieję z głupią miną, bo Věrka mówi niepewnie: „Przecież opowiadała mi pani o tej książce wczoraj wieczorem”, lecz dla mnie słowa *książka*, *wczoraj* i *wieczór* nie składają się w żadną logiczną całość. Jakby jedno wykluczało drugie, i chyba stoję taka skołowana dłuższą chwilę, bo Věrka znika, nawet jej już nie słyszę, a Justýna patrzy mi prosto w oczy i mówi: „Myślisz, że zrobisz na

kimś wrażenie, ty załgana pizdo?”, a ja naprawdę wolałabym, żeby zwróciła się do mnie *ty stara zupo kalafiorowa*, może nawet odważyć się powiedzieć o tym głośno, bo widzę, że Marilyn też jest w szoku, i w ogóle skąd u Justyny takie słownictwo? Przecież pochodzi z dobrego domu, pełnego książek, odebrała najlepsze wychowanie, a my zwykle mówiliśmy do siebie poprawnie, co najwyżej potocznie, ale przecież nie tak, nie tak, i chyba zaczynam krzyczeć: „nie tak!”, bo Marilyn upuszcza na podłogę *Lucie na skrzydłach żądz* i zaczyna wypychać moją Justynę w stronę przedpokoju.

Napiera na nią i poszturchuje, dziewczynę, której w życiu nie widziała na oczy i która w ogóle nie powinna jej obchodzić, i gdyby nie to, że obie widzą się dziś po raz pierwszy, nabrałabym chyba przekonania, że Justyna podsłuchiwała tę pizdę od Marilyn. W ciągu długich lat włączenia się po nocach na złość rodzicom, w czasach, kiedy przestałam mieć pojęcie, co się z nią dzieje, w czasach, które dawno powinny być za nami.

Ale Justyna kłamie, znowu przybiera twarz i postać dziecka, a przecież od lat ich nie nosi, zapytuję więc was, rodzice, czy wiecie, co się działo z waszą córką między czternastym a siedem-nastym rokiem życia, a kto odpowiedział twierdząco, raczej się przecenia. No, chyba że związał swoją latorośl i zamknął na te lata w pokoju. *Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć*, słowa Cezara, które w czeskiej wersji brzmią *pragnienie ojcem idei*. A dlaczego nie matka? Nigdy nie dawałam Justynie odczuć, by czuła się gorsza, bo jest dziewczynką. Dlaczego więc teraz, we własnym domu rodzinnym, daje się szarpać i popychać zupełnie obcej osobie? Lecę więc do przedpokoju, gdzie te dwie właśnie wkładają buty, i wrzeszczę: „Ty zostajesz ze mną! – do Justyny. – A ty wypierdalaj!” – do Marilyn, lecz nagle zamieram, bo widzę, że przy szafce na buty leży skulona Věrka z buzią ukrytą w dłoniach.

Mniej więcej taką pozycję podobno powinien przyjąć człowiek podczas wybuchu bomby atomowej. Głową w stronę grzyba nuklearnego, którym teraz jestem ja (i okej, mogę być także zupą grzybową, niekoniecznie kalafiorową, ale pizda to przegiecie), i kiedy się odwracam, by zobaczyć, co z Justyną, chyba się zagapiam, bo nagle dobiega mnie kłapanięcie drzwi do mieszkania i szybki tupot nóg zbiegających ze schodów, biegnę więc za nimi z kluczem, żeby im otworzyć na dole. Kiedy przelatuję obok mieszkania Blažkovej, widzę jej oko w szparze drzwi. Stoi na straży, a nuż coś, wołam więc tylko „dzień dobry, pani Blažková”, że niby pogadamy przy innej okazji. Lecz bardzo możliwe, że to krótkie zdanie zatrzymało mnie na dłużej,

niż sądziłam, gadanie zawsze trochę człowieka spowalnia, bo kiedy dobiegam na dół, nie ma tam już ani Marilyn, ani Věrki, ani Justyny. W mroku korytarza lśni tylko mosiężna klamka, nic poza tym. Ktoś musiał wychodzić z klatki i nie zamknąć za sobą. Łachudra. Ale skoro już zesłam, to czemu by nie zaryzykować.

Opieram się ze wszystkich sił o wejściowe wrota (w dawnych czasach ludzie byli podobno niżsi i słabsi, dlaczego więc wszystko, co stare, jest tak niewiarygodnie ciężkie?), zastanawiam się, czy przypadkiem nie opadłam z sił od czasu, kiedy ostatnio pchałam te drzwi, by wydostać się z kamienicy (starość nie radość, śmierć nie wesele), i za skarby świata nie mogę sobie przypomnieć, kiedy to właściwie było. Gdy chcę się przewietrzyć, idę na balkon, który jest pod nosem, a zakupy zwykle zamawiam z dostawą do domu.

Nagle czuję się, jakbym miała oczy zarośnięte błoną, którą ktoś nagle przeciął i przyłożył dwieście dwadzieścia woltów. Wcisnął w oczodoły po halogenie. Albo jakby beczelnie świecił latarką w głąb mojej czaszki, jak przewodnik odsłaniający przed podekscytowanymi turystami trzewia Przepaści Macochy. Być może podczas awantury w domu uroniłam kilka łez, a załzawione oczy zawsze pogarszają widoczność. Tak czy siak, jasne światło oślepia mnie boleśnie i całkowicie, nie widzę zupełnie nic, a ulica, którą znam co do najmniejszej wyrwy w asfalcie, wygląda nagle jak tło w studiu fotograficznym, białe jak zęby w reklamie. Jak gardło, które zaraz mnie pożre.

Chyba dawno nie byłam na dworze, nawet na balkonie. Jak dawno właściwie? Nie chciałam, by najistotniejszy rytm, czyli mój wewnętrzny, był zakłócany przez błahy rytm dnia i nocy, w związku z czym zasłony w moim mieszkaniu są zaciągnięte mniej więcej od tygodnia, myślę, aż mi mózg paruje (wszystko może być ważne), podczas gdy z oślepiającej bieli studia fotograficznego zaczynają się wyłaniać zarysy ludzi, samochodów i tablic reklamowych. Nagle następuje coś w rodzaju cięcia, cały obraz robi się czarny, a kiedy znów się pojawia, pokazuje już zupełnie inną scenę, nadal widzę naszą ulicę, ale coś z nią nie tak. Bo niby nie powinno się oceniać ludzi po wyglądzie czy ubiorze, sama nie jestem specjalnie trendy i mam w nosie modę, ale zwykle ludzie przecież wcale jej tam nie mają, czemu więc

dziś paradyją po mieście w jakichś łachach z zamierzchłej epoki?

Patrzę i oczom nie wierzę, bo wygląda na to, że Wielki Brat kazał wszystkim wyszperać z szaf pradawną konfekcję, i wszyscy go posłuchali, mało tego, w miejscu wietnamskiego non stopu stoi teraz sklep żelazny Śrubka, śmieszny sklepik, który zawsze obserwowaliśmy z mojego balkonu podczas imprez, bo bywało, że przeciągały się do południa dnia następnego, a my na bani śmialiśmy się z facetów, którzy wychodzili ze Śrubki pod ciężarem worków z przeróżnym żelastwem czy zwojów taśmy nośnej.

Teraz są inne czasy, zwykło się mawiać, kiedy czas daje niespodzianego susa naprzód, jak rzucająca się na ofiarę puma. Ofiarą jesteśmy my, tkwiący w pułapce czasów, walimy w kraty, bo wcześniejsze czasy rozumieliśmy (tych jeszcze starszych też nie), a to się nazywa być przedstawicielem innego pokolenia. A teraz, z tego, co widzę, zostałam przeniesiona w czasy, kiedy miałam lat dwadzieścia, kochanie, a ty, Jardo, już byłeś na swoim i naprawiałeś klimatyzację, a ja wciąż byłam panienką, choć już nie dziewczyną, i kształtowanie mej fizyczności miało się ku końcowi. Charakter został ukształtowany dużo wcześniej (niestały i miejscami zły, choć nigdy nie umyślnie), a kwestie jak ta, czym jest dla mnie świat, jakie książki czy jaka muzyka go definiują (lubię, gdy pokazują go takim, jakim jest), też były w stadium końcowym. Po trzydziestym, ba! po dwudziestym piątym, roku życia mało co się zmienia w tych sprawach. A prawdziwa młodość kończy się nawet kilka lat wcześniej, i wcale nie mówię tak, żeby zmusić dwudziestolatki do panicznego zerwania się z krzesła i pędem do Rossmanna po krem z kolagenem, tylko po to, by wam uświadomić, w którym momencie życia człowiek staje się tym, kim już będzie, a jeśli teraz macie wrażenie, że się wymądrzam, to pewnie dlatego, że dokładnie tak jest.

Czasami trzeba się po prostu wyciszyć i nazwać po imieniu (zdefiniować – jak kto woli) najważniejsze sprawy i moment, kiedy do nich doszło. Nie mam może pamięci do dat, lecz poszczególne ery pamiętam doskonale. W końcu jedna z takich er przecinała niczym południk mieszkanie w budynku, przed którym właśnie stoję. A to, co teraz paradyje mi przed oczami (założmy, że to się dzieje naprawdę), jest właśnie tym wycinkiem życia, które odeszło. I zupełnie jak w kinie na filmie *Powrót syna marnotrawnego*, siedzę tu teraz na innym, *Powrót marnotrawnej córki* (srał pies Justynę, skoro nie wie, jak traktować gości), ale czemu w kinie? Bo nie mogę przedostać się na ulicę do ludzi z tamtych czasów, mogę tylko patrzeć. Z naukowego punktu widzenia

(wyjaśniam dla tych, którym się zdaje, że mam coś z głową) załamanie czasoprzestrzeni chwyciło część lat dziewięćdziesiątych, która od dobrych dwóch dekad dryfowała sobie gdzieś po drogach zapomnienia, i odbiło ją niczym piłeczkę tenisową z powrotem na moją ulicę (w sumie, jakby się zastanowić, to nawet nic dziwnego, przecież astronomia od dawna wie, że patrząc w kosmos, widzimy przeszłość), w dodatku serwując ją dokładnie tam, gdzie znajdowała się wcześniej. No i co, zdarza się, przecież bywa, że rodzą się ośmioraczki, albo ktoś znajduje igłę w stogu siana, a w jedną babę z Wenezueli to nawet dwanaście razy piorun strzelił i przeżyła, co z punktu widzenia statystyki jest tak samo nieprawdopodobne jak kino czasoprzestrzeni, do którego właśnie się przeniosłam, siedząc na obszczanym schodku przed wejściem do naszej kamienicy, a kiedy mówię naszej, od razu myślę, czy nie polecieć po Blažková, żeby też popatrzyła na te cuda i dziwy. Tylko co jeśli w międzyczasie wszystko zniknie, stracę sceny, których jeszcze nie widziałam, a Blažková tylko utwierdzi się w przekonaniu, które dojrzeła w niej od momentu, kiedy się wprowadziła, mianowicie, że jestem *meszuga*. Tyle że nie jestem. Nie jestem. Nie.

Targają mną fale wzruszenia, zalewa cała powódź przeszłości, lecz nagle całkiem mnie zatyka, bo zza rogu wychodzą i zmierzają w moją stronę cztery osoby, które doskonale pamiętam z szalonych imprez lat dziewięćdziesiątych. Idą oczywiście w kierunku mojej kamienicy, gdzieżby indziej. Jest wśród nich też pisarz T.K., a ja czuję, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. Całe lata nie widziałam tego mężczyzny mojego ówczesnego życia, ale już wtedy wydawał mi się stary, a teraz to ja robię tu za starą, boję się, że w ogóle mnie nie pozna, boję się, że mnie pozna i że mnie nie pozna, przy czym pierwsza osoba z grupki już unosi stopę, by za chwilę postawić ją na schodku, na którym siedzę, w ostatniej chwili gwałtownie odsuwam się w bok, boleśnie uderzając tyłkiem w ścianę. Przepuszczam ich, wchodzą do kamienicy (dziś drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz, ale to wyjątek, podczas gdy w latach dziewięćdziesiątych zawsze stały otworem). A potem – muszę przyznać, że to działanie raczej instynktowne, jak wtedy gdy zabiera się palce od gorącego pieca – pędzę za nimi, przemykam obok, przeskakując po cztery stopnie, lecę na górę, na swoje piętro. Rozedrganymi palcami szybko przekręcam klucz, po czym – scena zupełnie jak z filmu – łup, opieram się plecami o drzwi w przedpokoju i, niczym Valerie z mojej książki *Miłość od pierwszego pocałunku*, kiedy dowiaduje się, że jest w ciąży z mężczyzną,

którego nie kocha, zsuwam się po drzwiach w dół, jak spływający śluz, myśląc: „wiadomo, że wszystko jest możliwe, ale jeśli teraz rozlegnie się dzwonek do drzwi, oszaleję do reszty”.

Siedzę w kucki, przyklejona plecami do drzwi, teraz już niczym Denisa z *Denisy za milion dolców*, która zawsze w takiej właśnie pozycji wiązała sznurówki, przyczajona jak kameleon czyhający, aż jakaś muszka siądzie na jego wysuniętym jęzorze. Jestem teraz i kameleonem, i muchą, staram się jak ona zachować czujność, a zarazem po kameleńsku zlewam się własną barwą z otoczeniem, bo drzwi są zielonkawe, a mnie właśnie zrobiło się niedobrze od tych wszystkich zwrotów akcji. Siedzę więc, ze zmęczenia i ciągłego stresu głowa opada mi na piersi, po czym wtulam się w bezpieczne ramiona mojego przedpokoju.

Jarda wybawiciel

I, jak to mówią, pewnie sterczałabym tam w kucki do dziś, gdyby po chwili znów nie dobiegły mnie jakieś dźwięki. Znowu hałasy, myślę znużona, kto znowu? Za kurtyną moich powiek grali właśnie przedstawienie pod tytułem święty spokój, jednak teraz słyszę wyraźne stuk-puk, gwałtownie otwieram oczy, przedstawienie się kończy i słyszę, że pukanie wcale nie dochodzi zza drzwi, tylko z mojego mieszkania. Czuję się zupełnie jak postać z kreskówki, wiecie, włosy stają dęba, na twarzy szok, a nad głową w komiksowej chmurce znak zapytania i wykrzyknik. Zaczynam się skradać, jak Kobieta Pająk, jak Indianka w skarpetach, pełnę w kierunku źródła dźwięku, czyli drzwi kuchennych.

Są lekko uchylone, mogę więc zdobyć się na znany z filmów akcji zabieg: biorę zamach z kolanka i z całej siły kopię w drzwi, po czym zwinnie ukrywam się za framugą, przytrzymując przy twarzy spluwę (lufą do góry), pstryk, teraz jest nabita. Paf, paf, paf, paf (we wszystkie cztery strony świata), i powiem wam, że naprawdę bym się zdziwiła, gdyby wówczas nie wyszło szydło tych tajemniczych dźwięków z worka, a ich sprawca nie został złapany na gorącym uczynku.

Tyle że cała ta brawurowa akcja przebiega w mojej głowie, podczas gdy wciąż stoję pod drzwiami kuchni, drżąc jak króliczek, boję się, to chyba nie wstyd, przecież jestem kobietą.

Jeszcze chwila niewytłumaczalnego wręcz napięcia, kiedy odwlekam decyzję, by pchnąć drzwi, gdy nagle otwierają się i wpada na mnie Jarda. Buch, Jarda zmienia się w ciepłe ramiona i deszcz pocałunków, i nim zdążę spytać, co on tu właściwie robi, pyta mnie, gdzie się tak długo szlajałam.

„Odprowadzałam gości”, mówię, na co Jarda tylko lekko unosi brwi, co może oznaczać: opcja a) że Marilyn i Věrka niespecjalnie przypadły mu do

gustu, opcja b) że mogliśmy sobie darować tę scenę z Justyną w przedpokoju (skoro cały czas był za uchylonymi drzwiami, prawdopodobnie wszystko słyszał), opcja c) skoro poszłam tylko odprowadzić gości, znaczy się na dół z kluczem, żeby otworzyć drzwi, i z powrotem na górę, podejrzenie długo mnie nie było. Jarda najwyraźniej przychylił się do opcji c), bo powiedział chuchnij, a ja zawsze robię to, o co Jarda prosi, bo chce dla mnie dobrze, i kiedy tak chucham mu prosto w twarz, czuję nagle, że moja lewa ręka trzyma uchwyt torby, a kiedy kończę chuchać, spuszczam wzrok i nie mogę się nadziwić, bo w mojej dłoni tkwi reklamówka z zaskakującą zawartością, mianowicie butelką bourbona.

A Jarda mówi: „Serduszko, tak dalej być nie może”, popycha mnie w stronę krzesła, przysuwa sobie drugie, siada naprzeciwko i bierze w swoje ogromne niedźwiedzie łapy moje małe rączki. I znów widzę nas, z perspektywy, z jakiej pewnie zwykle widzisz nas Ty, Boże, mniej więcej sufitu, jak kilka godzin temu przewróciliśmy lampę stojącą, leżeliśmy jedno na drugim, kiedy byłam syrenką, która porusza wyłącznie miednicą i nigdzie ci nie odpłynie, kochanie, a ty byłeś grubą rybą, jak zawsze, jednak z perspektywy sufitu (sakramencko wysokiego sufitu mojego secesyjnego mieszkania) wyglądaliśmy pewnie raczej jak dwa złączone ze sobą zadkami kowale dwupłamki, potocznie zwane tramwajami, a potem, kiedy spocony siedziałeś na mnie, powiedziałeś, że pójdziesz wreszcie dokończyć drzwi do spiżarki, bo pewnie i tak nie zaśniesz, a ja słuchałam cię tylko trochę, a potem całkiem zapomniałam, że istniejesz. A teraz pytasz: „I jak ci się podoba?”, a mnie odejmuje mowę, bo drzwi do spiżarki nie tylko nareszcie się domykają, w związku z czym do środka nie naleci robactwo z balkonu, ale w dodatku klamka lśni jak nowa. „Prześlicznie jest”, mówię, bo zdarłeś nawet stary lakier, odsłaniając naturalne drewno, dokładnie tak, jak chciałam. Teraz mam drzwi jak z designerskiej kolekcji „wieś Prowansji”, a ty, Jardo, jesteś skarbem jakich mało. Reklamówkę z flaszka przezornie chowam za plecami, może przejdzie niezauważona. Ja zapomniałam, że jesteś w domu, więc może ty wypędzisz z pamięci tę butelczynę, myślę sobie. Po prostu wygoń ją wspaniałomyślnie z głowy, jak za pomocą kija czy laski, laskę też ci mogę potem zrobić, zresztą, zrobię ją chętnie, nawet jeśli nie zapomnisz o tej cholernej flaszcze, dobrze wiesz, i dobrze, że wiesz.

Najchętniej nie pozbywałabym się ani kropli z zawartości butelki. Poza tym najdotkliwiej zawadzimy przecież samych siebie, więc kary nie mają

sensu. I już, już biorę oddech, by wyjaśnić to Jardzie, ale on już moich dłoni w swoich nie trzyma, teraz czuję, że je ściska, niemal miażdży, i najpierw zdaje mi się, że robi to przypadkiem, potem, że jest po prostu bardzo silny i nie ma wycucia, ale prawda jest taka, że to najzwyczajniejszy w świecie gniew.

„Serduszko”, mówi, zgrzyta zębami, aż żwacze drgają mu na policzkach, co jest oznaką siły i bezsilności zarazem, bo już trzeci raz w tym tygodniu złamałam obietnicę, a mój ukochany nie ma pojęcia, jak mi przemówić do rozsądku.

„Może zawieziemy tę starą lodówkę na złom, co ty na to?”, świergoczę, żeby zmienić temat.

„Lodówka może poczekać”, Jarda na to. Znowu cisza. Słyszę tylko trzask własnych stawów, próbuję delikatnie wykręcić dłonie z uścisku Jardy, ale ściska coraz mocniej, aż w końcu cały zabieg przypomina średniowieczną torturę zgniatania ludzkich członków w imadle. „Podnieca cię to?”, pytam, podnosząc głowę, patrzymy sobie prosto w oczy. I nie wiem, co Jarda widzi w moich, pewnie zakłamanie, ja w tych jego gromy i błyskawice, ale w ulewie miłości, po czym Jarda mówi: „Koniec z tym, rozumiesz?”, i zaczyna potrząsać moimi małymi dłońmi uwięzionymi w męskich łapach, robi to tak mocno, że wprawia w ruch nawet mój brzuch i piersi, i gdyby kto inny był na jego miejscu, pewnie czułabym się poniżona, ale przy nim nie, czekam tylko, aż skończy.

„Myślisz, że ci wszystko wolno, co?”

Nie, nie myślę, że wszystko mi wolno, ale jedna butelka bourbona to chyba nie takie znowu wszystko. Wszyscy moi faceci mają jedną wspólną cechę, czasem dopada ich gniew, zresztą, gdyby pogadali między sobą, być może doszliby do wniosku, że ich gniew ma coś wspólnego ze mną, ale nie wiem, musiałabym zapytać męża, którego tu nie ma i nie będzie. Poza tym Jarda na pewno nie chciałby, żebym wrzucała go do jednego wora z mężem.

„Czy ty mnie w ogóle słuchasz?”

„Nie”, odpowiadam zgodnie z prawdą, bo Jarda ostatnio wiele razy prosił, żebym go nie okłamywała, więc teraz, szczególnie z dłońmi w imadle jego łap, kłamać nie zamierzam.

„Żeby mi to było ostatni raz”, zagrzemiał, wziął butelkę, którą najwyraźniej, choć nic o tym nie wiem, przed chwilą kupiłam, i wylał do zlewu całą jej zawartość. Cóż.

Przybita, wchodzę do salonu (całe szczęście nie zna wszystkich moich

kryjówek), a za plecami znów rozlega się cichutkie stuk-puk, stuk-puk Jardy. Robi ramkę na plakat holenderskiego mistrza. Martwa natura z półmiskiem winogron, udźcem i do połowy obranym jabłkiem. Plakat od lat wisiał w spiżarni, ot tak, i wiecznie się odklejał, więc Jarda podjął wyzwanie. Już nawet nie konsultuje ze mną takich spraw. Sam wyznacza sobie w moim domu kolejne zadania i sam je wykonuje. Ja w międzyczasie piszę, a on stara się głośno nie stukać.

Zasada numer jeden: nie przeszkadzać mi w pracy. Mój mąż nigdy nie potrafił się jej trzymać. Nie rozumiał, że bez tego po prostu nie możemy być razem. Uważał, że to jakieś moje fasy-pląsy.

„Daj spokój”, mawiał. A ja wrzeszczałam: „Przecież to *ja* cię prosiłam, żebyś *dał mi spokój* i nie pokazywał się w domu do południa!”, bo miałam akurat problem z postacią, zakałapućkała się i za skarby świata nie mogłam sprawić, by poczuła miętę do drugiej postaci, do której tę miętę z założenia poczuć miała. Fakt, że już samo zamówienie z wydawnictwa było dość trudne: starsza babka, młodszy facet, on jest początkującym specjalistą IT, ona dyrektorem personalnym. Ale to tak na marginesie. Nie zawracałam mężowi głowy takimi sprawami.

Piszę za zamkniętymi drzwiami i dokąd nie wyjdę – nie ma mnie dla nikogo. Jarda to rozumie i potrafi tak koegzystować. Kiedy sam pracuje, zamyka wszystkie drzwi między swoim warsztatem a moim gabinetem, w międzyczasie nawet robi coś na ząb.

„Będę pisać do czwartej”, mówię na przykład, i kiedy o czwartej opuszczam gabinet, w salonie na stole leżą dwie kanapki ze smalcem i dwa kubki mleka, czasem, kiedy kończę o szóstej (mówiłam, że o czwartej, ale nie mogłam przestać pisać), kromki bywają lekko podeschnięte.

„Mogłeś trochę później zrobić te kanapki”, powiedziałam mu raz przy takiej okazji. Obrzucił mnie wodnistym spojrzeniem, nie powiedział nic. Wziął tę uwagę do serca w absolutnej ciszy. Umiejętność milczenia jest sztuką, z którą, z tego, co wiem, trzeba się urodzić.

Będę więc powtarzać do znudzenia, że chodzi głównie o wzajemny szacunek, który, mimo że bez przerwy dolewaliśmy z mężem czegoś do rodzinnej zupy, po prostu się wygotował, a my w obłokach pary zaciskaliśmy sobie palce na gardłach, podczas gdy rodzinny garnek przypalał się

i śmierdział, by ostatecznie zacząć kopcić na czarno jak lokomotywa. Pytanie, kto miał potem umyć przypalony śmierzący gar, jest właściwie pytaniem retorycznym. Kto niby? Wiadomo, że dzieci. Dzieciaki uzbrojone w zmywaki druciaki.

Zaciągnięte zasłony też świadczą o szacunku. Bo muszą być zaciągnięte, w całym mieszkaniu. Żeby świata wewnętrznego nie rozpraszało nic co zewnętrzne, lecz Jarda potrafi pracować nawet w takich warunkach. Wciska na głowę latarkę czołową i kieruje wąski strumień światła na cyklizowany w mojej sypialni parkiet, zupełnie jak robotnik na całodobowej szychcie, bywało zresztą, że oboje harowaliśmy w takim trybie. Bo tylko praca w trudnych warunkach potrafi wykrzesać iskry z człowieka, i fakt, że dzięki Jardzie wartość rynkowa mojego mieszkania zwiększyła się o połowę, ale dzięki mnie i tak byłoby nas na nie stać, bo ze spoconego przy pracy Jardy spływają kalorie, a spod moich palców wypływa czyste złoto i wiem, że gadam jak samochwała, ale człowiek, który nie szanuje swojej pracy, nawet nie powinien myśleć o zawodzie twórcy, bo jeśli sami siebie nie będziecie szanować, nikt tego za was nie robi. Wyjątek w tym przypadku tylko potwierdza regułę, jak wtedy gdy dzwonił umierający z niecierpliwości wydawca, z pytaniem, kiedy wreszcie skończę *Słodką przystań*, którą pisałam, jak na mnie, dość długo.

Powieść o dziewczynie z domu dziecka, która później została matką zastępczą (dając słodką przystań osieroconym bliźniakom). Trzeba podkreślić, że nie ustaliliśmy w umowie żadnego terminu, więc wydawca był przez telefon słodki jak miód. Bo jaki miałyby być, skoro nie ma na mnie bata, a moje książki to złote jaja (ja, stara, wyliniała kura nioska), podczas gdy facet tylko liczy kasę.

Szacunkiem dla mojej pracy zalatują też odbywające się od czasu do czasu spotkania autorskie. Najpierw dostaję maila, potem ktoś dzwoni, by uzgodnić szczegóły, a jeśli te szczegóły to dokładny czas i miejsce w mieście, którego nazwę słyszę po raz pierwszy w życiu, to chyba logiczne, że jazgot szlifierki Jardy (wolę rozmawiać przez stacjonarny, z tym że nie da się z nim zamknąć w toalecie, kabel sięga do okna) zagłusza część słów rozmówcy, słyszę więc co drugie słowo, a jak się zna tylko połowę nazwy miasta, do którego ma się udać, bywa, że w programie festiwalu literackiego zagości luka (bo pomylił Jindřichův Hradec z Hradcem Králové), czasem muszę więc wrzasnąć, żeby na chwilę przerwał pracę. Aparatura włącza się na nowo, kiedy tylko odłożę

słuchawkę. Jarda przedłużyła zarządzoną przeze mnie przerwę w pracy, tylko kiedy zdarzy mu się zacytować w toalecie, w której, jak wspominałam, stoi gazetnik.

Tworzymy więc z Jardą tak zwaną kreatywną parkę, jesteśmy jak dwa pasujące do siebie puzzle. Bo podobnie jak pierwiastek męski uzupełnia się z żeńskim, niczym magnesy przyciągają się sprawność manualna z intelektualną. Jego zniszczone ciężką pracą łapy z łapkami kury samograjki (co znosi złote jajki), łapkami, które on szanuje i po mozolnym dniu pracy potrafi ucałować tak słodko, że nawet sobie nie wyobrażacie.

Blažková zna Jardę i mówi na niego pan mechanik, choć tak naprawdę montuje głównie tę swoją klimatyzację, a jedna z naszych największych kłótni (która właściwie trwa do dziś) dotyczyła klimatyzacji w moim mieszkaniu. Blažková na pewno chciałaby mieć ją u siebie i chyba pękłaby z zazdrości (kobita łatwo się poci, lato to dla niej istna męczarnia), więc raz, w napadzie złości, wrzasnęłam, żeby Jarda wziął tego potwora i zainstalował go u Blažkovej, skoro tak bardzo mu na tym zależy, bo ja sobie nie życzę żadnych sztucznych podmuchów w domu. W moim mieszkaniu ma prawo wiać jedynie naturalny wiatr dochodzący z zewnątrz przez niedomknięte okno. A nie, wtedy to już nawet on nie miał takiego prawa. Bo Jarda uszczelnił, naprawił i polakierował wszystkie okna, więc przeciąg, który miałam za sprawą tego, które się nie domykało, też znikł (nie żebym była jego wielbicielek, bo w salonie nie dało się zimą wytrzymać bez grubego swetra, ale przywykłam, zresztą, jako stara balkonowa ogrodniczka lubię naturę i naturalną kolej rzeczy). A poza tym, lub może przede wszystkim: nie zamierzam zajmować się takimi pierdołami w czasie wzmożonej aktywności twórczej, która wysysa ze mnie całą energię.

Tak więc fakt, że wrzasnęłam wtedy tamto o Blažkovej akurat w czasie, kiedy dopisywałam ostatnie strony *Idealnej linii bioder*. „Idź sobie do niej”. I chodziło mi oczywiście głównie o to, by wziął zionącą chłodem kolubrynę i zainstalował ją u Blažkovej, skoro tak bardzo mu na tym zależy, ale cała wypowiedź miała też drugie, typowo żeńskie, dno. I wiem, bywam niemiła, czasem nawet ktoś mi to wytyka (i zaznaczam, że nie ma to nic, ale to nic wspólnego z poziomem mojej twórczości), ale jestem chwiejną duszą z huśtawkami nastrojów, a już kilka razy przyłapałam Jardę, jak stał niedbale oparty o poręcz, rozmawiając z Blažkovą o tym, co się ostatnio wydarzyło na zebraniu spółdzielni mieszkaniowej, tyle że to ja tam chodzę, bo mieszkanie

jest moje, więc Jarde interesowały nie tyle plotki z zebrania, co... Lecz kiedy mu o tym wspomniałam, zupełnie zdębiał, po czym wybuchnął najbardziej gromkim śmiechem, jaki jesteście w stanie sobie wyobrazić, było tam wszystko: od plaskania dłońmi w uda, poprzez łzy w oczach i czerwony nos, dokładnie tak, książkowo, zaśmiewał się wtedy Jarda. A potem, wciąż dławiąc się ze śmiechu, otworzył ramiona i powiedział: „Chodź tu, moje serduszko”, przeszerokie ramiona, w których mogę się schować i zupełnie bez przeszkód załamać nerwowo. A muszę przyznać, że załamania byłam wtedy bliska. Brakowało mi bowiem tylko kilku stron do końca *Idealnej linii bioder* (liczba znaków jest określona w umowie z wydawcą), a książka, wiadomo, miała się dobrze skończyć, lecz ja za skarby świata nie byłam w stanie wymyślić żadnego szczęśliwego zakończenia.

Metody pracy twórczej i odwiedziny T.K.

Bywa, że dziewczęta z moich powieści po prostu się buntują. Jak to się mówi, pokazują różki i zaczynają wymykać się w miejsca, gdzie wchodzić nie wolno, zagłębiać się w szczegóły charakteru, czy kto je wie gdzie. Chcą grzebać we wnętrzu innych postaci, ich własny nieskomplikowany profil przestaje im wystarczać, chcą, by był jak rozbabrana drożdżówka, której okruszki rozsypały się wszędzie dookoła.

A potem zbieram okruszki i sklejam je śliną niczym termit swój domek, a jeśli drożdżówka charakteru jest nie do sklejenia, muszę wszystko wrzucić do miksera, wyrobić nowe ciasto i następnym razem postarać się bardziej. Jestem bowiem nie tylko kurą nioską, lecz także kołem garncarskim, moje dziewczęta muszą być odpowiednio ukształtowane, w tym celu chodzą na spinning lub odwiedzają trenera personalnego na siłowni (dla którego z miejsca tracą głowę, tu akurat nigdy się nie buntują), a ja, szybko wciskając pedał napędzający krąg, obracam w dłoniach wazonik charakteru dziewczyny i delikatnie kształtuję go opuszkami palców.

Mam bowiem w sobie (wbrew temu, co twierdzi ta kretynka z opieki społecznej) całą masę czułości i wyczucia, dlatego wiem, że długotrwałe, pełne czułości działanie miewa lepszy efekt niż gwałtowne i brutalne, nic na siłę, bo tworzenie na siłę kończy się wielkim bum! i brzęk! słonia w składzie porcelany, a moja postać, niczym zamek z piasku, na który natarł napakowany prymityw, wali się i leci jak wszechświat w swoją czarną dziurę, a ja, podobnie jak wszechświat, który nie ma nikogo prócz siebie, bez mych postaci jestem niczym. Żyję nimi. Tymi, co ozywają w moich książkach, i tymi, co mych książek nie cierpią (wszyscy moi bliscy, prócz Jardy), zresztą, niejedną z postaci jestem po prostu ja sama, one także żyją, choć, trzeba przyznać, że mają dużo mniej dystansu do świata niż te z książek.

Potocznie zwie się to zmiennością nastrojów, naukowo rozszczepieniem osobowości.

I skoro już o rozszczepieniach mowa, muszę przyznać, że bywa ze mną tak samo mało przyjemnie jak z rozszczepem podniebienia (ta brzydka warga, okropny widok), bywam trudna, powiedziałam zresztą mężowi: „Ty nie masz lekko ze mną, ale i ja nie mam lekko ze swoimi postaciami”, lecz moje słowa nie zrobiły na nim specjalnego wrażenia. Nie zmienił swojego zachowania, ja też nie, a z postaciami walczę do dziś.

Bohaterki buntowniczkę są zwykle uparte jak osioł. Nie wystarcza im ten, kogo dla nich wybieram. Nie mają ochoty się wiązać (zamiast inwestować swój czas w relację z mężczyzną, wolą wybrać się na rok do Stanów), a emancypacja jako taka nie jest zła, ale sprawia, że historia zmierza do nieszczęśliwego zakończenia, to nie ma na nią miejsca w moim gatunku literackim. Bo cały mój harlekinowy szmirowaty świat opiera się na happy endzie, na odrobinie wielkiej miłości i szczęścia (prawdziwego szczęścia, nie głupawych radostek), zresztą, na tym samym opiera się wasz, prawdziwy, świat. Bo każdy pragnie szczęśliwego zakończenia dla siebie, a kto uważa inaczej, kłamie.

No, chyba że wam na was samych nie zależy, co zdarza się też niektórym moim dziewczętom. Nie doceniają własnego szczęścia, kręcą nosem, wołałyby znaleźć się gdzie indziej, w zupełnie innej historii, choćby na padole łez, bo zbyt długo już spryskują grzywkę lakierem, a nuda to najgorsza rzecz na świecie. Chodzą więc z dzbanem po wodę, póki mu ucha nie urwą, choć wszystko zaczyna się niewinnie, od dobrego jointa, a to się nazywa niewdzięczność.

Ugniatam więc i kształtuję bohaterki na kole garncarskim, a ścinki wyrzucam do worka z wilgotną gliną. Później ulepię z nich fundamenty nowych postaci, wykorzystam, jak kilkundniowy rosół z kury (mojego kurzego łba) na nową zupę, tak, kiedyś ich użyję, ale teraz nie mogę wkleić do mojej historii takich nieforemnych nieudałków. Są zbyt efemeryczne lub dużo za dużo myślą.

To fakt, przesadna skłonność do refleksji raczej nie cechuje moich postaci. Za to mnie samą aż nadto. A teraz nadszedł moment, bym podzieliła się z wami swoim *know-how* (skoro zabrnęliście tak daleko w lekturze, zasługujecie na to jak mało kto), tak zwana literatura bowiem (ta, która gardzi moją) obfituje zwykle w całą gamę sposobów na spieprzenie sobie życia,

i wiem, o gustach się nie dyskutuje, ale prawda jest taka, że zwykły człowiek marzy raczej o szczęściu. A zwykły człowiek wcale nie znaczy głupi, panie mądralo. I nie wiem, komu konkretnie teraz dogryzam, ale na świecie zawsze znajdzie się jakiś patologiczny mądralo, zresztą, tak samo jak zawsze znajdzie się tu zwykły „dobry” człowiek, dzięki Bogu. Nie trzeba nawet daleko szukać, Jarda jest tuż za drzwiami mojej graciarni zwanej gabinetem, w której od tyłu już godzin w pocie czoła wysiaduję.

Siedzę za drzwiami z mleczną szybą, przez którą moje zgarbione nad pisaniną plecy wyglądają jak niebieska rozmazana plama (zwykle pracuję w bluzie o kolorze błękitnego nieba), z mojej strony salon wygląda jak stop przypieczonych na różnobraz metali (kolor regałów na książki, szafy, stołu i krzeseł), od czasu do czasu wprawiany w ruch przez Jardę, który właśnie smaruje bułki pastą rybną, kroi w plasterki pomidory, przekłada je do miski i szykuje kubki z mlekiem (czemu się tak na to mleko uparł, nie mam pojęcia), a kiedy drzwi mojego gabinetu otwierają się z hukiem i wychodzę, pierwszą rzeczą, jaka mnie czeka, są jego ramiona, a to się nazywa miłość.

Dopiszę jeszcze kilka zdań, fakt, że minęła już czwarta, o której obiecałam skończyć, ale Jarda potrafi czekać, a pisanie trzeba zawsze przerwać, wiedząc, od czego rozpocznie się nazajutrz: w połowie zdania złożonego lub na słówku *potem*, wiedząc, że potem nastąpi na przykład lekka scena z nietrafionym prezentem, grill, na którym wszyscy będą się świetnie bawić, czy wycieczka łódką, wówczas mogę wypłynąć ze swojego gabinetu nie łódką, a statkiem, niczym królowa mórz.

Okropność, bez przerwy wyobrażać sobie to, co zaraz nastąpi, w dodatku z najdrobniejszymi szczegółami (zauważcie, że wspomniałam o paście *rybnej*, choć mamy w domu produkty także na jajeczną czy z selera, a Jarda nawet woli jajka i seler od szprotek), tak więc okropność coś sobie wyobrażać, a potem się dziwić. Kiedy ktoś, w przeciwieństwie do mnie, nie obmyśla każdego szczegółu spodziewanych wydarzeń, mówi się, że pozwala, by sprawy toczyły się własnym torem. Ale jak właściwie miałyby wyglądać taki tor? Bo wychodzę, a tu ani pasty rybnej, ani pomidorów, ani, co gorsza, śladu Jardy! Tylko jego sweter w paski wisi na oparciu krzesła, a zamiast niego, mej obecnej miłości, siedzi tu całkiem inna miłość, i najpierw myślę sobie, że Jarda pewnie skoczył na chwilę do Błażkowej i zostawił uchylone

drzwi, albo, druga opcja, T.K. zadzwonił domofonem, Jarda wpuścił go do środka, po czym poleciał po napoleonki do cukierni naprzeciwko, skoro już mamy gości.

„Kopę lat, stary byku – mówię, widząc T.K. rozpierającego się na moim krześle. – Co cię sprowadza, łachudro?” Bo fakt, jestem w szoku, lecz i tak cieszę się, że widzę ten diament prozy czeskiej, który wciąż wygląda znośnie (a już na pewno nie na alkoholika po sześćdziesiątce, którym jest).

Już kiedy cięliśmy nasz romansik, mógł być moim ojcem, obecnie ujeżdża kobitki, które uważają kobiety w moim wieku za przejrzałe (podobnie jak uważałam ja w czasach, gdy T.K. zabierał mnie na swoje służbowe literackie wojaże), i mam ochotę zapytać T.K., czy nie spotkał przypadkiem po drodze swojego dwadzieścia lat młodszego *ja*. Ale nie, pewnie pomyślałby, że brutalnie drę łacha z jego wieku (skrzętnie nakłada na siwe pasma jasnobrązowy szampon koloryzujący), w dodatku ten młodszy on prawdopodobnie wciąż błąka się gdzieś po budynku (może siedzi na schodach do piwnicy?), w każdej chwili może zadzwonić do drzwi i zwać wraz z napoleonkami.

W latach dziewięćdziesiątych często wpadało się do ludzi ot tak. Ktoś po prostu był w okolicy, dzwonił do drzwi, po czym siedział do rana. Wtedy to było normalne. Ale dzisiaj? I patrzę na T.K., który jest zajęty oglądaniem własnych dłoni, zamiast rozejrzeć się po mieszkaniu i zauważyć, jak tu ładnie wyremontowane, wówczas powiedziałabym, że to zasługa Jardy, i już mielibyśmy temat do rozmowy.

Bać się milczenia to też nowe uczucie, którego nie znałam wtedy, przed laty. Nie widzieliśmy się bardzo długo, może stąd to oddalenie, *oddalenie* brzmi strasznie, kiedy odnosi się do ukochanej osoby, tak, ukochanej, bo wciąż mam ochotę pogłaskać go po starej twarzy, czy raczej młodej, która jest pod spodem, ale da się jej dotknąć tylko przez starą, jak w tanich restauracjach można poczuć stół tylko przez obrus z ceraty. I już, już zbieram się, by powiedzieć T.K., że nie przeszkadza mi jego stara twarz, kiedy nagle mówi: „Wyglądasz jak własna matka”, a mnie opada szczęka i odpowiadam: „Chyba nie przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć”, na co on, że potrzebuje pomocy. Jest piękna, niedawno skończyła dziewiętnaście lat, i tak, od słowa do słowa, rozsypał mi się tam na małe kawałeczki. A ja próbuję dociec, ile razy już widziałam podobne przedstawienie w jego wykonaniu, i doliczyć się nie mogę. O co tu właściwie chodzi, że niby ja, jako autorka powieści dla

kobiet, powinnam lepiej niż inna rozumieć miłość nie pierwszej młodości mężczyzny do niepełnoletniej niemal dziewczyny? Mężczyzny, który zawsze chełpił się rolą przykładnego ojca i męża, bo żona pasuje do wizerunku faceta z silnym charakterem jak zapalniczka do dobrego cygara, którym lubił się raczyć, ale z umiarem, podobnie jak wrażliwymi studentkami, przynajmniej dotychczas.

Córka T.K. była dokładnie w wieku tej jego nowej, Klóry, studentki antropologii. Miał wykład ze studentami, po czym zaczepiła go na korytarzu przy automacie z kawą, zadając jakieś żalosne pytania.

„Nie pytała o te wszystkie bzdury, jak inni, wiesz”, mówi z oczami zasnutymi mgłą amora, i gdybym prowadziła poradnię złamanych serc, policzyłabym sobie za tych kilka minut jego wywodu minimum dwie stowy, czyli mniej więcej tyle, za ile wypił mojego rumu, zresztą, zacnie dotrzymuję mu kroku, trochę z solidarności, trochę, by poruszyć w sobie jakiegokolwiek pokłady empatii. I zaraz widzę nas, gdy byłam podlotkiem jak Klóra, T.K. miał trzydzieści pięć lat, i robiłam mu loda w kinie Ponrepo, gdzie poszliśmy na filmy sprzed stu lat, bez dźwięku, tylko z pianinem, ciągał mnie po kolacjach i przedstawiał znajomym jako swoją fanaberyjkę, a kiedy się połapał, że równolegle z nim pierdoli mnie zupełny szarak, mój kolega z roku, B., zrobił na swoich urodzinach okrutną scenę, którą później w mediach zwalono na karb narkotyków.

Bo T.K. był dla mnie drogą, mimo swojego miękkiego zabiegu brzucha i zwalistego kroku, które to B. z kolei rekompensował mi posturą atlety i lojalnością upstrzoną doraźnymi skokami w bok na imprezach, na których był sam, a to się nazywa monogamia seryjna. Monogamia parowa z kolei była wtedy, gdy byłam wierna i T.K., i B. naraz, i pewnie „byłabym im wierna aż do śmierci” (jak napisała o swoich uczniach w *Miodowych latach pani Louisy* nauczycielka, pani Louisa), lub raczej do chwili, gdy wszystko się wydało, i to z obu stron, co zresztą stało się natychmiast. A teraz T.K. patrzy na mnie oczami pełnymi łez, a ja myślę: przez ciebie skurwiłam się w latach, kiedy najłatwiej było mnie zranić, byłeś dla mnie tylko oknem na świat, chociaż w swojej arogancji myślałeś, że mi na tobie zależy.

I tę całą Klórę skurwisz tak samo, bardziej nawet, swoim, teraz jeszcze większym, żabim brzuchem, który musisz rekompensować jeszcze większą liczbą drogich restauracji i wystawnych bankietów niż wtedy, w czasach mojej młodości, zastanawiam się, czy ona też będzie cię zdradzać z kolegą

z roku, i mówię do T.K.: „Żadnych radykalnych kroków, żebyś nie żałował”, a on na to, że „jeśli zacznie żałować, wróci na kolanach”, a ja „ale do kogo, hm?”, a on, że do żony albo kochanki, a ja widzę, że tonie w bagnie, i nie wiem, czy podać mu dłoń, czy raczej zepchnąć jeszcze dalej w głąb mokradeł za pomocą specjalnego kijka, jak nauczycielka na kółku pływackim. A toń sobie, toń w gównie, którego nawarzyłeś, jestem zdziwiona, że taka odpowiedź w ogóle przyszła mi do głowy w stosunku do starej miłości, i na głos mówię, rzecz jasna, coś zupełnie innego.

Rzecz jasna, bo im dalej ktoś w życiu zajdzie, tym mniej jestem w stosunku do niego bezczelna, a T.K. wciąż należy do najlepszych czeskich pisarzy ostatnich dwóch dekad, poza tym nigdy nie kręcił nosem na mój wybór (na to dokąd *uciek-łam* ze świata prawdziwej literatury, jak psioczą inni), i nagle olśniewa mnie, że T.K. nie krytykuje moich romansideł nie dlatego, że ma bardziej niż inni otwarty umysł, ale dlatego że wybierając taką branżę, przestałam stanowić dla niego zagrożenie w kręgach *poważnej* prozy. Pozbył się konkurencji. Ta myśl sprawia, że coś w mojej głowie przeskakuje jak szyna zwrotnicy Ostrawa – Brno, po czym mówię schrypniętym głosem barowej suflerki: „Trzeba iść za głosem serca, kochany. Resztę olej”.

A że po takich słowach łatwo się już dokłada do pieca, mówię jeszcze: „Trzeba zacząć wszystko od nowa, rozumiesz? Wsłuchać się w głos nowego życia, które cię woła. Dawno nie przeżyłeś niczego takiego, co, stary byku?”. I chciałam dodać: „od czasu, kiedy chciałeś się ze mną ożenić” albo „nigdy”, ale T.K. nie jest idiotą i nie ma co na niego naciskać, bo nic z tego nie wynika, miewam chwilę, gdy sama sobie wydaję się potworem, było tak także wtedy, owego popołudnia spędzonego z T.K. nad paterą czekoladowych tarteletek, które w międzyczasie przyniósł Jarda (napoleonek nie mieli), wyłożył na stół, po czym usiadł z nami, choć chyba nie miał pojęcia, w czym bierze udział. Może zrozumiał tylko, że T.K. oszalał na punkcie jakiejś dziewczyny, Jarda zresztą nie słuchał zbyt uważnie, bo cały czas zapisywał w notesiku długość karnisa, który wcześniej zmierzył lepkimi od ciastek palcami, po czym opuścił nas, bo musiał zająć się systemem przewodnic żaluzji, na czym T.K. nie tylko się nie zna, ale prawdopodobnie w ogóle nie wie, że istnieje.

Później wychodzę na balkon, niby to zapalić, Jarda na dole włącza już silnik swojego vana (najlepsze systemy przewodnic są w Bauhausie), i nie widzę kierowcy, ale widzę auto wyjeżdżające z miejsca, na którym mnie nie udałoby się zaparkować za skarby świata, i wyobrażam sobie, jak zmienia

bieg i kręci kierownicą, którą zawsze trzyma tylko jedną ręką, poruszając wyłącznie silnym nadgarstkiem, i wyobrażam sobie, że robi mi tą ręką dobrze między nogami, ale to tylko pręty balustrady balkonowej i przemykający między moimi udami wiatr (mam na sobie szlafrok, nic pod spodem), od pierwszego papierosa odpalam kolejnego i wydmuchuję dym, wraz z którym odlatuje coś, co już nigdy, nigdy nie powróci.

Moje zwykle ukochane dzieci

Słońce fiknęło koziołka przez horyzont i nagle zapadła późna przyjemnie ciepła wiosna, która ma tę bezsporną zaletę, że nie zabiera nam jeszcze cennych dni lata, ale grzeje jak ono, z tym że słońce nie jest tak ostre i roślinki balkonowe można podlewać nie tylko rano lub pod wieczór, lecz także po południu, i dobrze, bo tak to człowieka z tym podlewaniem wiecznie wyrzuty sumienia gryzą (Blažková pożyczyła ode mnie wczoraj konewkę, a rano nie otwierała, chociaż dzwoniłam do drzwi), a flora może mieć wieczorem pecha, bo praca nad moim ostatnim dziełem, *Ukradkowe spojrzenia*, przeciąga się, chwytam więc konewkę (Blažková przyszła i oddała ją w południe) i nachylam się nad kolejnymi donicami, jak nad dziećmi, bo to właśnie dzieci, może nie dzieci, ale młode, te małe zielone pomidorki, młode marchewki to dziewczynki, którym trzeba dorzucić trochę kompostu, żeby się dobrze rozwijały, a owoc na drzewku cytrynowym to chłopiec, hm, ciekawe, co teraz porabia ten mój cytrusek, myślę, patrząc na dwóch chłopaków, którzy ganiają za piłką pod balkonem.

Tomáš od małego świetnie grał w nogę. Kiedy kończył podstawówkę, wychowawczyni radziła, by wysłać go do jakiejś szkoły, gdzie będzie mógł wyuczyć się praktycznego zawodu, co było ciosem, głównie dla męża. Że potem Tomášek będzie tłukł się w drelichu komunikacją miejską, podczas gdy jego bardziej obrotni koledzy z rykiem silnika miną tramwaj w drogich autach, a obraz ten jest metaforą życia, któremu nie było po drodze z sukcesem, stojący tramwaj i śmigające obok, choć i tak często stojące w korkach, auta.

Mąż chciał, żeby syn został prawnikiem, ja widziałam go raczej jako filologa chińskiego, Chiny to przyszłość, filologia to nauka o języku, a cóż innego niż język przyszłości może być bliższe pierwotnemu narodzonemu

ze związku dziennikarza z autorką harlekinów, dorastającemu w napiętej, acz bogatej w wysublimowane związki frazeologiczne atmosferze (nawet w chwilach kryzysu bardzo rzadko używaliśmy brzydkich słów w obecności dzieci).

Jednak wychowawczynie gorąco odradzała nam liceum o profilu humanistycznym (powiedziała nawet: „Nie, w żadnym razie”), na co Tomášek wcale nie zareagował złością czy rozczarowaniem, a jeśli już, to na pewno dużo mniejszym, niż gdy przez moją niedotrzymaną obietnicę nie dostał na urodziny swojej wymarzonej konsoli do gier.

Teraz Tomášek pracuje jako agent nieruchomości, a kiedy powiedziałam o tym Blažkovej, natychmiast ożywiła się, bo jakaś jej znajoma chce sprzedać domek z podmokłą piwnicą, i wołałaby, żeby kwestia piwnicy została między nią a agentem, by nie psuć klientowi radości z kupna domku w (jak na obecne warunki) niezwykle przystępnej cenie. Od razu chciała numer do Tomáša, odparłam: „Zapukam do ciebie, jak mnie odwiedzi”, a ona: „A co jak akurat mnie nie będzie?”, na co ja: „Przecież zawsze jesteś”, i zaraz myślę o poranku, kiedy na próżno pukałam do jej drzwi, by odzyskać konewkę, aż w desperacji użyłam nawet dzwonka. Ostry brzęczący dźwięk, który z miejsca czyni z ciebie nieproszonego gościa, najwyraźniej nim byłam, bo niby czemu akurat wtedy jej nie było (była, tylko nie otwierała), akurat wtedy, kiedy Jarda pojechał do jakiegoś klienta, a potem, kiedy tylko wrócił, zaraz przyleciała z konewką?

Inaczej się zazdrości w moim wieku, inaczej, kiedy ktoś ma osiemnaście lat, jak moja Justýna, o, widzę, że chłopców z piłką nie ma już pod balkonem, teraz przechodzą tamtędy dwie młodziutkie ślicznotki. W ich rękach podskakują papierowe torby z logo Calvin Klein, i nieważne, czy mają w środku slipy dla swoich ukochanych, rozmiar L (zawsze kupują trochę większe, na wszelki wypadek), czy po dwie miseczki staników, które jeszcze dziś wieczór doprowadzą owych ukochanych do szału (większość młodzieńców nie przepada za biustonoszami, przydługie, niezręczne rozpinanie tego ustrojstwa sprawia, że natychmiast flaczeją), nieważne, co tam mają, ale to, co sobie udowadniają zakupami, a jeśli nic, bo są skromne i nie zależy im na opinii innych, w nagrodę obsypałabym je z mojego balkonu złotym konfetti. Siebie też, bo ja również chodzę do centrów handlowych z takim nastawieniem, a Justýna tego nienawidzi.

My też chcieliśmy być inni, zmieniać świat. Ale potem wszystko jakoś się rozleciało. Kilku osobom z naszej paczki opublikowano opowiadania czy wiersze w drukowanym na szarym papierze pisemku literackim „Horyzonty”, ktoś tam pisał do almanachu „Textuál” (twierdząc, że „Horyzonty” są *passé*) czy do „Litbunkra” (nie, nie znajdziecie tego w kioskach, i tak, ich strona internetowa jest wiecznie w przebudowie).

I jak mawiał Katon, każdemu, co mu się należy, ale prawda jest taka, że Czech zainteresowany ambitną twórczością literacką rówieśników to zjawisko tak samo rzadkie jak szafran w czeskiej kuchni, a na halawę z szafranem chodziliśmy do cukierni Kriszna, a ten, kto w tamtych czasach wciąż jadł mięso, nie miał o niczym pojęcia. Nasze debaty zawsze pozostawiały nas z niewiadomą, do przerobienia na debacie kolejnej, ludzie zaczęli odpadać, dogmaty się kruszyć (mięsa nie, ale rybę już tak, w sumie czasem można też skubnąć kawałek kurczaka, ale tylko takiego, co swobodnie hasał po wybiegu), także wzajemne dupczenie w konfiguracji każdy z każdym znalazło się w tak zaawansowanym stadium, że pozostawało jedynie szukać pizdeczek nowych (i fakt, czasem szepczę Jardzie to słówko do ucha: „kochanie, mam dla ciebie mokrą...”, ale w ogóle uważam, że jest nadużywane), zaczęto więc polować na nowe cipki poza paczką, co nigdy nie jest dobre dla paczki.

Na imprezach coraz częściej czytałam tylko ja, a jeśli nikt inny, mimo usilnych próśb, się nie zgłaszał, bywało, że czytałam i przed, i po balkonowych przerwach na intoksykację, nie pytajcie czym, tak, właśnie tym, a pytania od publiczności padały wraz z kiepami do doniczek (wówczas obsadzonych rzeżuchą i pelargoniami), zagłuszane śmiechem w stylu śmiejmy się, póki czas. Czytałam też na zakończenie. Czyli na dobranoc, kiedy w przedpokoju tłoczyli się już ostatni goście, szukając w tym bajzlu drugiego buta z pary, ktoś kogoś przytulał, całował w policzek, buziaki jak dzwon śmierci (prawda i miłość przerznąły w tej grze). Każdy chciał zdążyć na ostatnie metro, wcale nie dlatego, że rodzice zrobili się nagle bardziej surowi (większość wyleciała z gniazdka, a ci, co nie, przestawali o rodzicach mówić), ale na ósmą rano trzeba być w biurze, a to się nazywa przebudzenie ze snu wczesnej młodości, etat, rzecz, która potrafi wykończyć, ale wolę zaharować się na śmierć dozgonnym unikaniem etatu, niż choćby raz w życiu nastawić budzik. Kiedy tylko człowiek przyzwyczai się do takiego obrotu spraw, nagle nie wystarcza mu już wiedza, że jest środa czy piątek

wieczorem, a to się nazywa równia pochyła, i będzie gorzej, pomyślałam więc, że warto byłoby zorganizować kurs dezorientacji w czasie, który zaleciłabym tym wiecznie zagonionym służbistom (mógłby być dofinansowany z NFZ-etu, przecież chodzi o poprawę stanu zdrowia). Kursant musiałby przez miesiąc przebywać w moim mieszkaniu w pozycji stojącej *kokon*, owinięty w jedną z moich wiecznie zaciągniętych zasłon (Jarda na moją prośbę wzmocnił karnisze, więc wytrzymają). Na noc kokony stabilizowałoby się specjalnymi podpórkami, a że w moim mieszkaniu jest siedem okien, mogłabym przyjąć na kurs aż czternastu chętnych, i przy założeniu, że kurs kosztuje pięć tysięcy koron (z wyżywieniem, które byłoby podawane w formie płynnej, za pomocą wbitej w zasłonę słomki), zarabiałabym siedemdziesiąt tysięcy koron miesięcznie, co po odliczeniu kosztów daje koło pięćdziesięciu na rękę.

I mogłabyś rzucić w diabły te głupie romansidła, myśli sobie teraz ktoś, kto nie ma pojęcia, na czym polega zapał twórczy, a jest on rzeczą zupełnie nieprzekładalną na pieniądze. Innymi słowy, pięćdziesięcioma tysiącami koron nikt mi gęby nie zatka. Bo gdyby była to wypłata w banknotach po tysiąc koron, nie wiadomo, czy tak gruby plik w ogóle zmieściłby mi się do buzi, gdyby z kolei ktoś wpadł na pomysł, by wypłacić ją w banknotach po pięć tysięcy, to kiedy potem wybrałabym się po mleko i ser do pobliskiego sklepiku, musiałabym spędzić całe przedpołudnie pod sklepem, licząc ludzi, którzy nie sprzątają po swoich suczkach (obecnie jest takich na moim rodzinnym Braníku równo trzydziestu dwóch), podczas gdy sprzedawczyni latałyby jak ta suczka po okolicy w rozpaczliwej potrzebie rozmienienia moich pięciu kół na drobne.

Kiedy ukazał się mój słynny debiut, *Metropolia*, zdarzało mi się wywinąć orła na antenie programu telewizyjnego (półtorej butelki czerwonego wina nie pozostaje bez skutków dla organizmu), jednak w żadnym stopniu nie wpłynęło to na moje (zmienne) powodzenie u płci przeciwnej. Młoda jest. Młodość musi się wyszumieć, mówiono. Powiew szalonej młodości. Teraz mówi się, że byłam wtedy na szczycie, że byłam liderką swojego pokolenia. Na czele grupki moich wielbicieli stali T.K. (mojej pierwszej powieści sprzedało się więcej niż jego czwartej i piątej razem wziętych) i B., który według T.K. był zupełnym szarakiem, znanym co najwyżej we własnej

dzielnicy. I fakt, może nie miał szerokiej strefy wpływów, miał jednak dość duży wpływ na swoją młodszą siostrę (która dostała ode mnie *Metropolię* z dedykacją) i na mnie, na mnie w szczególności.

Cztery lata, dwie (wspólne) próby studiowania czegokolwiek, wieczory przesiedziane przy aparacie telefonicznym (wtedy wyłącznie aparaty stacjonarne), i jak to już bywa z człowiekiem podobnym do ciebie jak dwie krople wody, mknęliśmy w duecie szybowcem i rysowaliśmy wspaniałe obrazy lepszej przyszłości albo włączyliśmy się po mieście i recytowaliśmy wiersze w opuszczonych halach starych fabryk.

Pamiętam ponury wieczór z B., trzema paczkami papierosów i karafką czerwonego wina, kiedy najpierw całowaliśmy się z twarzami naprzeciwko siebie położonymi na blacie stolika (menu pod policzkami, stół zachlapany winem), a potem w toalecie B. sikał mi do ust. Jego mocz kapał z moich na wpół otwartych warg na włoskie buty od T.K., a B. bełkotał mściwie: „ty zasrana dziwko”, bo dobrze wiedział o T.K. (bardzo entuzjastycznie wypowiadałam się o jego twórczości, resztę sobie dośpiewał). Potem były przysięgi i obietnice „tosięwięcejniepowtórzy”, co powtórzyło się w ciągu tych dwóch piekielnych lat chyba ze dwanaście razy, bo mniej więcej tyle razy szydło wychodziło z worka bokiem i rozdzierało go, wór pełen kłamstw pękał i wylatywały z niego załgane wnętrzości całej naszej trójki. Jeden musiał ciągnąć za sobą na sznurku kawałek wątroby, drugi podtrzymywał zmożoną życiem śledzionę (miłość ukazywała nam się w tak właśnie brutalnej postaci), a ja, królowa ich serc i macocha własnego, które z nadmiaru win zmieniło się w twardy kułak z bliznami jak po operacji wyrostka, teraz, na balkonie, pamiętam to wszystko jak dziś. Ja, stara zupa kalafiorowa i załgana pizda (jak twierdzi Justyna), i powiem wam, że rzygać się z tego wszystkiego zachciało kalafiorowej piździe, i najchętniej puściłaby pawia do stojącego u mych stóp wiaderka na narzędzia ogrodnicze, gdyby tylko, na litość boską, miała czym.

Niebo nade mną przybrało ostrożny kolor miejskiej szarości, ale wiem, że to tylko zanieczyszczenie świetlne, bo nocne niebo jest tak naprawdę czarne jak stary bakelitowy telefon (kiedy w końcu przestanę wracać myślami do prehistorii?), a gwiazdy to Twoje oczyska, mrugające wśród gęstego bakelitu niczym kwiatki, które wygrały walkę z asfaltem. Zupełnie zawróciło to

w mojej odrzuconej w tył przez oparcie krzesła głowie (Jarda, z powodu moich scen zazdrości, wyprowadził się na kilka dni do matki), choć jestem już po czterdziestce i mogłabym przestać poddawać się emocjom.

Lecz jak już wspomniałam, każdy swego szczęścia sprawcą, konduktorem, zawiadowcą, każdy swego sprawcy szczęściem, zawiadowcą, konduktorem, i wiem, że są ludzie, którym nie kręci się w głowie, nawet jeśli sobie golną, ale ja zawsze miałam problem z kręceniem i zakręcaniem, i ostatecznie znalazłam się na niezliczonej ilości zakrętów, radość to stara choleryczka, może jesteśmy w stanie docenić ją właśnie przez całe piwnice podmokłe od łez, bo bez nich byłyby warta mniej niż uśmiech na ustach akwizytora pukającego do drzwi, by wcisnąć nam odkurzacz. Lecz przecież także ten gość może być dobrym, kochającym tatą, to, że poza tym jest drętwą piłą, tego nie wyklucza, tak samo jak miłość nie wyklucza się z nienawiścią (B. też pisał, ale nikt nie chciał go wydać), miłość i nienawiść to dwie połówki jednej bułki hamburgera, a plaster mięsa między nimi to moje dwie aborcje, dwie i wystarczy.

Granat rzucony za siebie, zdmuchnięcie pyłu z lufy (do dezertów się strzela) i jakaś tłusta przekąska w azjatyckim bistro, trzeba zrobić podkład pod wódkę, która zdominuje dzisiejszy wieczór. Wszystko już przygotowane.

Na balkonie na małym stoliku między doniczkami leży okrągła tacka z cyny, na niej sześć kieliszków do wódki. Jeden dla mnie, po jednym za każdego członka rodziny i dwa za moje usunięte dzieci. Szykuje się toast za powieść *Ukradkowe spojrzenia*, którą właśnie szczęśliwie kończę, i za wszystkich moich miłych gości. Gdyby obok przechodziła akurat Marilyn ze swoją świtą, przelałabym zawartość kieliszka do plastikowej buteleczki po syropie na kaszel, włożyła ją do włóczkowej rękawicy mojej córki i zrzuciłabym z balkonu. Rękawiczki i inne bałaganostki po dzieciach, w moim mieszkaniu wciąż się od nich roi.

Że niby ja jestem nieczuła, jak zatrąbiła słońca z opieki społecznej, kiedy już złapała słoniowy oddech po wspinaczkę na trzecie piętro (w naszej kamienicy nie ma windy). Mąż wyjechał na dwa tygodnie w delegację, a ja miałam akurat okres twórczy.

„No to już przesada!”, warknęła pracownica słońca z opieki i zaraz ją bazgrać uwagi w notesiku, a ową *przesadą* nazwała sytuację, w której dzieciaki latają z wrzaskiem po domu, a wy jesteście w stanie zrobić wszystko, by uzyskać tak bardzo potrzebną do pracy ciszę, lecz to, czy

w owej sytuacji lepiej wysypać do wiaderka piętnaście opakowań lentilek (wystarczy na jakieś dwie trzy godziny świętego spokoju, sposób sprawdzony), włączyć kanał z bajkami i pozwolić im do nocy siedzieć przed telewizorem, czy po prostu dać tej bandzie po łbie, zależy od tego, czy chcecie, by w efekcie miały popsute zęby, popsute oczy czy może odrobinę szacunku do czyjejś pracy.

Zasadę numer jeden: nie przeszkadzać mi w pracy, może pojąć nawet osoba posiadająca mózg wielkości główki od szpilki, ale jak trzeba coś trzy razy powtarzać, główka musi swoje oberwać. Po główce. I wcale nie mnie, ale tej słońicy z opieki przydałoby się szkolenie z wychowywania dzieci, bo jeśli rodzic mówi liczę do trzech, a przy czterech nie dochodzi do kary, to niebawem będzie w lesie, i to właśnie tam, do lasu, nie do mieszkań konsekwentnych matek, powinno się wywozić takie pracownice słońice. Bo nawet jeśli obecna polityka państwa (mająca na celu wzrost PKB) polega na masowej produkcji zachciankowych bachorów, ja się z tą polityką nie utożsamiam i utożsamiać nie będę, choćby mnie zamknęli w ciupie na cztery spusty, jak groziła wówczas pracownica słońica za to, że dzieci są całe w siniakach.

„Nic dziwnego, skoro dostały lanie”, mówię słońicy z opieki, a ona robi wielkie oczy, po czym nimi przewraca, jakby matka, której mieszkanie nie jest wypucowane na błysk, musiała na zicher oznaczać notoryczną kłamczuchę. „To one robią bałagan, nie ja, ja tylko nie miałam czasu po nich posprzątać”, ciągnę. Trzy razy prosiłam i teraz zechciejcie zadać sobie wraz ze mną pytanie: po co dzieciom właściwie ich rodzona matka? A jeżeli odpowiecie: żeby miały się z czego pośmiać, to znaczy, że jedziecie na jednym wózku z pracownicą opieki, która zajęta wiecznym podlizywaniem się dzieciom, nigdy nie dojdzie szacunku dla rodziców, lecz jeśli zgadzacie się ze mną, że matka powinna przede wszystkim kształtować w dzieciach dobre nawyki, to witam was chlebem i solą na swoim wózku i zapraszam serdecznie, bo dziś podają też fińską wódkę, a kto wie, może nawet kawior.

Jedzenia było akurat pod dostatkiem, leżało na przeróżnych talerzach i talerzykach porozkładanych w całym mieszkaniu, więc dzieci mogły jeść gdziekolwiek i na co tylko im przyszła ochota. Miały też masę miejsca, żeby się wybiegać. Z kuchni do salonu prowadzi długi korytarz, w tę i z powrotem będzie minimum dziesięć metrów, a jakby tak się przebiec dziesięć razy, mamy całe sto metrów, klasyczny bieg sprinterski i królową dyscyplin

olimpijskich. I ktoś ośmiela się twierdzić, że to za mało?

Ale nie będę nikogo uszczęśliwiać na siłę, zastanawiam się, jakie kompleksy ma pani z opieki, być może wiąże się to z ksenofobiczną czeskością, bo wielkość trzeba mieć w sobie, nie mierzy się jej wielkością przestrzeni, na jakiej przebywamy czy na jakiej możemy pobiegać, zresztą zawsze chciałam, żeby z Tomáša i Justýny byli ludzie, a porządny człowiek musi umieć odmówić sobie tego i owego, i rozumiem, dojrzewające ciało potrzebuje świeżego powietrza, ale przecież nikt im go nie żałował, zawsze mogli wyjść na balkon, gdzie zresztą bez przerwy rozrabiali. Wylewali wodę, przerzucali ziemię łopatkami i wydzierali się wniebogłosy.

Krzyki z balkonu odgapili ode mnie, przyznaję. Bywało, że krzyczałam, trzymając za ręce swoje dzieci, po każdej stronie jedno, i choć wrzeszczałam, sam krzyk był niemal bezgłówny, za to w mieszkaniu wydierał się mój mąż, żebym natychmiast zeszła z dziećmi z balkonu, a potem widziałam już tylko strażaków rozciągających pod balkonem siatkę, pomyślałam więc, skoro już ją przywieźli, to co się ma zmarnować (bo czego jak czego, ale takiego skoku nie mamy okazji wykonać zbyt często w naszym szarym życiu), dzieciom też bardzo się podobało, bo wzięliśmy za aplauz spanikowane okrzyki przechodniów obserwujących, jak Tomášek przechodzi przez metalową barierkę (gdybyśmy mieli murowany balkon, stanęlibyśmy tam we troje i wspólnie dali susa). Fakt, że Tomášek trochę płakał, ale bywa przecież, że ludzie płaczą ze szczęścia, a ja poganiałam go: „Rusz się”, bo Justýna też chciała skoczyć (kiedy przyszła jej kolej, trochę panikowała, ale w końcu dała się namówić), stresu było co niemiara, bo w każdej chwili na balkon mógł wpaść mąż i zdjąć nas stamtąd siłą, tak się przynajmniej odgrażał, ale mu zabronili, twierdząc, że jeśli to zrobi, nie wiadomo, co jeszcze wywinę (wywinę?), po czym Tomášek runął jak długi, siatka rozbijała się niczym hamak („Wyobraź sobie, że to taki duży hamak”), a Justýnie potem powiedziałam dla odwagi to samo, a najlepsze było, jak dzieci później chwaliły się tym w szkole.

Blažková pytała, czemu nie skoczyłam pierwsza, mogłam dać dzieciom dobry przykład, wypowiedziała te słowa z jadem, prawie dodając: „skoroś taka mądra”, zupełnie, jakbym kiedykolwiek zdradzała się ze swą inteligencją w obecności tej prostej kobiety. O nie, mądre to niech sobie będą

moje bohaterki, mnie w kontaktach z Blažkovą wystarcza minimum mądrości i sprytu, które pozwala mi zauważyć, że Jarda zbyt często wdaje się z nią w przyporęczowe lub nawycieraczkowe pogaduszki.

Kocham Jardę, a on kocha mnie (tylko na chwilę zatrzymał się u matki, wyprać, ja już nie piorę dla bliźnich, poza tym matka umiera), ale przewyższam go nieco intelektualnie i zdarza się, że nie rozumie wszystkich słów, których używam (serduszko, co to jest *dyseminacja*?), stąd też może moja zazdrość, Jarda zapewne czułby się lepiej, nie musząc zadawać takich pytań, w dodatku Blažkovą przewyższałby nie tylko wzrostem, cnotą i spokojem wewnętrznym, jak to ma miejsce w naszym przypadku, lecz także zasobem słownictwa, bo Jarda nie wie może, co to jest dyseminacja, ale zna słowa jak *kompleksowy* czy *nimb* (Blažková raczej nie), poza tym zna całą masę słów specjalistycznych z branży klimatyzacji, wentylacji i chłodnictwa.

Czasem proszę Jardę, żeby opowiedział mi o adapterze śrubowym do posuwu wrzeciona lub systemie płaskich kanałów powietrznych do zabudowy dachowej, bo kiedy to robi, natychmiast zmienia się w moich oczach w nauczyciela akademickiego i z miejsca go pożądam (jak studentki w auli rozmarzonymi oczami wpatrujące się w swojego guru). Ale czasem miło po prostu pobycć razem, i normalna przecież rzecz, że podczas rozmowy trzeba co nieco wyjaśnić, można też powiedzieć to innymi słowami. Na przykład zamiast dyseminacja mogę powiedzieć rozsiewanie (informacji lub mikroorganizmów patogennych), co jest, jak sądzę, bardzo trafnym dowodem na to, że potrafię wczuć się w sytuację bliźniego (który nie zna wyrazów obcych), więc nie mam pojęcia, skąd słowo *nieczuła* przyszło wtedy do głowy pracownicy opieki społecznej, która chciała odebrać nam dzieci, zresztą, nie udało jej się chyba wyłącznie dlatego, że nie mnie, ale właśnie *nam* miano je odebrać (mąż do dziś się tym pyszni). Kiedy wrócił z delegacji, udał się bowiem dwa czy trzy razy w odpowiednie progi odpowiednich wydziałów do odpowiednich spraw, gdzie, jak twierdzi, udzielono mi łaski za jego wstawiennictwem.

I wiem, jak zabrzmiałoby to, co teraz powiem, ale w pewnym sensie zepsuła dzieciom radość. Zawsze lubiły zieloną szkołę (wracały ładnie odkarmione), a mnie w międzyczasie udało się dość pozytywnie nastawić je do domu dziecka, który opisałam jako dłuższą zieloną szkołę bez wycieczek.

Jasne, że w środku cała się trzęsłam ze strachu, że mi je odbiorą, ale czy matka powinna zadręczać dzieci swoimi troskami? Silna matka nigdy. Lepiej

z uśmiechem opowiadać o „dłuższej zielonej szkole bez wycieczek”, gdzie będą „nowe zabawki”, „fajni nowi koledzy”, a poza tym „będzie można jeść w stołówce nie tylko obiad, lecz także śniadanie i kolację”. Być może właśnie ostatni argument przeważał o tym, że Tomáš z Justýną zaczęli cieszyć się na dom dziecka. Bo moje wyczyny kulinarne nigdy nie przebiły w ich oczach dań stołówkowych, które jadali w szkole, a uwagi Tomáša, że kucharki w szkole lepiej gotują to czy tamto, doprowadzały mnie do takiego szału, że raz wylałam przez balkon cały gar rosółu z płatkami owsianymi i lanymi kluseczkami.

Kończyłam wtedy właśnie *Delikatne blondynki* i tamtego dnia wcześniej zrobiłam sobie przerwę w pracy, mimo że naprawdę kapitalnie mi szło, dosłownie od ust sobie odjęłam wartki strumień akcji tylko po to, by inni mieli co włożyć do ust własnych, zupę mianowicie. Zresztą Tomášek nawet nie rzucił wtedy żadnej uwagi, raczej się skrzywił, a Justýna z nim, mąż dolał oliwy do ognia, mówiąc, że zupa jest przepyszna, ale kiedy był mały, też nie cierpiał lanych klusek. Nie minęła sekunda, a zupa leciała z balkonu, mąż chyba myślał, że robię scenę („histeryczka”, powiedział), ale nigdy nie miałam specjalnego pociągu do aktorstwa.

A kto ostatecznie musiał umyć zababrany chodnik? Ci sami, którzy wcześniej uzbrojeni w zmywaki druciaki pucowali przypalony garnek naszego małżeństwa. Tomášek i Justýna pobiegli na dół z kubłem i ścierką, cali szczęśliwi, że zaraz pogłaskają dwa koty, które tymczasem zaczęły łapczywie chleptać moją zupę prosto z asfaltu.

Połowa kasy

Mój mąż pilnuje demokracji niczym pies stróżujący. Jego dziennikarska pisanina czuwa, by nawał informacji nigdy nie spadł do poziomu, na którym sami będziecie w stanie je przyswoić i żaden dziennikarz nie będzie wam wtedy potrzebny. W domu pilnował z kolei mnie, a ja, jak pies uwiązany do budy, biegałam w kółko z wywieszonym jęzorem (mogłam się oddalić tylko na długość łańcucha przymocowanego zwykle do pralki lub kanapy) i śliniłam się w swoim gabinecie.

„Zarabiam kasę!”, wrzeszczałam, choć już raczej charczałam, bo struny głosowe po wielogodzinnym krzyku wypowiadały posłuszeństwo, podczas gdy mąż kilka metrów ode mnie klecił artykuł na temat stosunków polsko-czeskich w Grupie Wyszehradzkiej i co pół godziny włączał wiadomości radiowe.

„Nie będziesz robić tego i owego”, mawiał, a słowa te tyczyły się dzieci, alkoholu i mojej pracy, dokładnie w takiej kolejności, moja praca zawsze na ostatnim miejscu, dzieci na pierwszym, a mnie brak. Ze mną nikt się nie liczył.

„Opróżniła szufladkę z walutą obcą, po czym wyrzuciła jej zawartość z balkonu”, tak właśnie mógłby brzmieć opis tego wykroczenia w protokole policyjnym, choć żadne wykroczenie to nie było, raczej zaskoczenie, i to pozytywne, bo nikomu nic się nie stało, przeciwnie, szkoda, że nie widzieliście euforii przechodniów, kiedy znienacka spadł na nich złoty deszcz szmalu.

Przeszkadzasz mi, kiedy chcę uszczęśliwić bliźnich, pisząc dla nich książki, uszczęśliwię ich więc w inny sposób, mruczałam pod nosem, rozrzucając monety, i zaraz pomyślałam, że w dawnych czasach, kiedy walutą nie były pieniądze, ale skóry, w związku z czym wszystkie kobiety

świata zarabiał wyłącznie skóry, być może wszystko było prostsze, i już wyobrażam sobie Justynę przeżuwającą kawał skóry wołowej, i wiem, jestem złoś-liwa, bo córka nienawidzi, kiedy włókna włożą jej między zęby.

„Zarabiam połowę kasy”, mówię potem do męża w salonie, spokojnym już, opanowanym głosem, „a połowę ja”, smaga mnie biczem swojej odpowiedzi, którą prawdopodobnie naszykował sobie dużo wcześniej, by wyskoczyć z nią w chwili takiej jak ta. Potem zwykle następuje czas zapoznawczy, nie żebyśmy się za mało znali (choć psycholog zalecił mam większą liczbę *beztroskich randek*), po prostu wyliczamy nawzajem, kto z nas co robi, a cała wyliczanka ma na celu ustalenie, które z nas jest bardziej biedne i pokrzywdzone.

I stoję w salonie, stoi tam też mąż, stoimy naprzeciwko siebie i nagle zaczynam się zastanawiać, co mnie w nim aż tak pociągało, by przysięgać, że na całe jego życie oddam mu moje własne, nagle czuję zawrót głowy, nie, to nie upojenie, jak przy pierwszym pocałunku z zupełnie nowym facetem, w głowie mi się kręci z litości nad własną głupotą i pychą, jak w ogóle można przysięgać cokolwiek aż do śmierci, przecież śmierć czy też wieki wieków mogą nadejść dużo wcześniej niż oficjalny zgon. Umiera uczucie. Umiera się, żeby nie cierpieć.

Mój mąż jest szczerym, honorowym i odpowiedzialnym człowiekiem i niezmiennie cenię w nim te cechy. Tyle że zniknęła miłość, choć była, i to prawdziwa, a przecież prawdziwa nigdy nie ustaje, może więc powinnam kazać dzieciom przeszukać mieszkanie, niech zajrzą wszędzie, pod łóżka i kanapy, i nie dostaną jeść, póki tej miłości nie odnajdą.

Stoimy z mężem naprzeciwko siebie, chcę mu to powiedzieć, ale czuję, że usta mi zamarzły. I nagle przypomina mi się zima, kiedy wyszedł na chwilę bez kurtki, nie wziął kluczy, a drzwi do kamienicy zatrzasnęły się, znalazłam go dwie godziny później, zmarznięty na kość czekał na schodach przed domem. Dookoła śnieg i wichura, później, w domu, ogrzewałam mu dłonie pod kranem, lejąc na nie strumień ciepłej wody. Wtedy miłość jeszcze nie ustała. Ogrzewała nas. Zastanawiam się, jak przenieść ten fakt z pojęcia czasu do pojęcia przestrzeni i na którym z segmentów mieszkania dzieci powinny się skupić w poszukiwaniu naszej miłości, i nagle, przez powiewające zasłony w drzwiach balkonowych (wciąż jestem w szlafroku),

znów widzę nas, stojących w salonie, a na zewnątrz słycać już nieśmiały świergot pierwszych rannych ptaków. Kiedy taki świergot dobiega was po pełnej namiętności nocy, to wspaniałe uczucie, lecz jeśli zapowiada kolejny rozdział codziennej mordęgi małżeńskiej, to już nawet nie smutek, smutek jest żywy, to pustkowie, ugór, i nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę, że ani jedno, ani drugie już mnie nie dotyczy. Z Jardą od kilku miesięcy nie przeżyłam nocy pełnej namiętności (bywa przytomny góra trzydzieści minut po stosunku), a mąż jest gdzieś hen daleko, i nagle zbiera mi się na płacz.

Nie tylko moje bohaterki muszą się czasami wtulić w męskie ramiona. I nie zmienia tego fakt, że testosteronu mam aż nadto. Depiluję wąsik, a mój okres trwa jeden dzień i składa się z kilku niepozornych czerwonych kropelek.

Wszystko to był i jest wyłącznie mój wybór. I trzymam go się.

„Trzymam go się! Trzymam go się!”, wykrzykuję na całą pogrążoną w poranku ulicę, czekającą na pierwszych przechodniów. Trzymam go się, trzymam go się, powtarzam te słowa tak wiele razy, aż tracą swój pierwotny sens i zmieniają się w „trzymam Gosię”, a Gosia to przecież ta delikatniejsza z *Delikatnych blondynek*, małomówna i nieśmiała, choć uśmiechająca się częściej niż druga blondynka, jej bardziej przebojowa koleżanka. Kiedy słyszę, że słowa straciły sens, od razu mi lżej. Słowa rozpuszczają uczucia, jak praca rąk zmienia kostkę mydła w gęstą sztywną pianę (nawiasem, pranie w ręku delikatnej bielizny całej rodziny to nieprawdopodobny upierd, którego efekt w żaden sposób nie rekompensuje poniesionych strat), a ja znów leżę sztywno jak kłoda w swoim internacie, z rękoma na kołdrze, a skok ze słynnego mostu samobójców w dzielnicy Nusle odkładam na kiedy indziej. Odkładam tę kłodę, lecz to ciężka kłoda, bo czuję, że mam w niej niczym w dybach uwięzione ręce. Jak w niedźwiedzich łapach Jardy, kiedy groził: „Jeśli znów będziesz pić, pożalujesz”.

Pewnie, że będę, ale jestem w stanie obiecać mu wszystko.

Jarda to zamek warowny, w którym można się schronić i pozabijać dechami wszystkie okiennice, by do środka nie dostał się żaden łajdak.

Jednak Jarda nie wie nic o moich dzieciach. Jeśli coś ma mniej niż metr pięćdziesiąt, po prostu dla niego nie istnieje, mało tego, Jarda nawet nie

kłopotuje się, by jakkolwiek to nazywać, i jak już wspomniałam, jestem w stanie wyjaśnić mu znaczenie wyrazów obcych jak *paradygmat*, *deflacja* czy *awangarda*, ale co zrobić z niebytem? Wokół niebytu da się ewentualnie krążyć niczym samolot, który nie może wylądować ze względu na warunki atmosferyczne, założywszy jednak, że paliwa jest wciąż mniej i mniej, cała ta zabawa może zakończyć się nie lada katastrofą.

I właśnie w ramach prewencji zawału serca, czy innej awarii tego mięśnia, zdecydowałam się na związek z moim mężem. Przekonana, że spróbowałam już wszystkiego, i cud, że udało mi się wykaraskać z wydarzeń, które to wszystko oznaczały, jedynie z bliznami na sercu, bliznami jak po wyrostku, a nie na przykład z problemem alkoholowym (ten dopiero mnie czekał).

I widzę nas, mnie i męża, na pierwszym spacerze po pierwszej przetańczonej nocy (mylił się, zakładając, że kobieta, która dobrze tańczy, jest tak samo dobra w łóżku), kiedy jeszcze w siebie wierzyłam. Zdobędę cię, nie pozwolę, by takie szczęście wymknęło mi się z rąk. Radosna wspólna przyszłość, niczym czujna łania, wokół której krąży kłusownik i zastawia wnyki tak długo, nim nie zamknie jej na wieki w potrzasku.

Dzwony weselne jeszcze nie biją, bo jedyne, czego wtedy pragnę, to dziecko (chcę to odhaczyć, mieć z głowy, i już do końca życia myśleć tylko o pisaniu).

Tyle że mąż pochodzi z dobrej rodziny, co mi z początku imponuje, lecz później okazuje się przekleństwem (powielasz model swojej dwukrotnie rozwiedzionej matki, artystowska wywłoko), i ostatecznie idę na przymiarękę sukni ślubnej (chcesz dziecka, najpierw zostań żoną), a do mojego życia, Bóg jeden wie skąd, wkrada się także zasrane małe szczęście. Nie wiem, którędy wlało. Ktoś chyba zapomniał zamknąć drzwi albo zostawił otwarte okno w pokoju, w którym paliło się światło (kiedy się wreszcie nauczysz gasić tam, gdzie cię nie ma, żono?), i niczym krąząca wokół lampy ćma, szczęście uderzało skrzydłami, latając po pokoju, potem już nie jak ćma, tylko bezsilny ptak, który za nic nie może poderwać się do lotu (choć, jak mówią, tak mało trzeba nam), i kiedy wyglądało na to, że za chwilę mu się uda, ptak odwrócił łeppek, wbił dziób pod skrzydło, obrzucił nasz salon zamglonym spojrzeniem i zasnął. Mąż głaskał go, poszedł nawet z dziećmi na dwór, by przynieść mu trochę dżdżownic. Ja kopałam go w brzuch i załgany łeppek. W naszym domu nigdy nie było miejsca na tego patrocha.

„Nie było!”

Jakiś mężczyzna, trochę podobny do mojego Tomáška, podnosi wzrok, a ja znów myślę o słowach, bo przed chwilą krzyczałam: „trzymam go się!”, jakbym trzymała śliczną Gosię, a teraz krzyczę: „nie było, było nie, by łonie, o nie”, nagle jakaś starsza kobieta podnosi wzrok na mój balkon i pyta: „Czy byłaby pani uprzejma choć raz nie wydzierać się od samego rana?”.

Nie, nie byłabym, co też jej, bardzo nieuprzejmie, odkrzykuję. W dzisiejszych czasach bliźni zjadłby bliźniego żywcem, wcześniej podduśszy w sosie własnym, w miejscach publicznych nie można nawet pary z gęby puścić, w domu zresztą też, bo zaraz sąsiad łomocze, że hałasy, i tak zaszczuwają nas każdego dnia, i to w Pradze, mieście stu wież, a co dopiero w jakiejś pipidowie, Čáslaviu czy Franciszkowych Łażniach, gdzie ludzie zaglądną sobie do talerza? Wrzeszczę więc: „A idźcie wy wszyscy do Franciszkowych Łażni!”, lecz kobieta chyba nie widzi w mojej wypowiedzi większego sensu, bo nic nie odpowiada, o co mi zresztą chodziło.

Bo krzyk nie zawsze oznacza to, co nam się wydaje. Mój mąż też nie krzyczał: „I to twoje literackie towarzystwo” po to, by akurat wspomnieć moich znajomych, choć może warto by było, bo prawie się z nimi nie widywałam. Chciał podkreślić, że to, co ważne dla mnie, jest nic niewarte. Że to jest niczym, a ja jestem częścią tego.

To brzydko wytykać komuś własne sukcesy podczas kłótni, jednak wieniec laurowy, na którym zwykle śpimy (bo jest niewidoczny pod poduszką), nie powinien latać po pokoju niczym naczynia, którym to się zdarzało (z czasem dzieci zaczęły same wciskać nam do rąk swoje plastikowe talerze), nie można rzucać wieńcem, bo raz rzucony wraca, zupełnie jak bumerang. Wraca w postaci oskarżeń, jesteś nadęta (pierwsza nagroda w jakimś regionalnym konkursie literackim), pozostaje więc pomalutku, powolutku wydmuchiwac powietrze, które rzekomo tak mnie nadęło, później znów wdech i wydech, by przedsionki przestały migotać, a ręce boksować, dusić i rzucać rzeczami, by wszystko wróciło do punktu zero, skąd jutro, za tydzień czy za miesiąc można na nowo wystartować w tym samym kierunku.

Zwykle solą w oku był charakter mojej pracy, choć na głos zarzucano mi raczej lepiącą się od brudu podłogę czy kwestie dotyczące dzieci (może czas przewartościować priorytety, żono?). Nie obyło się bez rozmów o utraconych uczuciach, dywagowaliśmy też na temat zaginionej czarnej skarpety z pary. Przez całe lata zwijałam jego wyprane suche skarpetki w pary, aż pewnego pięknego dnia, zupełnie niespodzianie, zaparłam się i powiedziałam:

„Koniec, sam sobie zwijaj”. I wiem, że to niesportowe i niechwalebne, ale takie właśnie jest małżeństwo. No, chyba że sportem nazwać codzienne dźwiganie zakupów czy rajd samochodowy w każdy pierwszy piątek miesiąca odbywany w celu zjedzenia kolacji z teściową, a chwalebny „cześć i chwała pracy, towarzysze”, że jadąc na tym wspólnym wózku, jesteście tak bardzo przebardzo przepożyteczni, że na wszystko inne brakuje już czasu. Ale i to ma swoje plusy, przynajmniej nie ma czasu na kłótnie, a największe sukcesy w dyscyplinie *rodzina bez kłótni* osiąga się w Boże Narodzenie, bo nawet największy awanturnik wie, że w Wigilię kłócić się nie wolno. Ale już w pierwszy dzień świąt spokojnie można powiedzieć swojej drugiej połowie: „gdzie cię znowu nosi, owsiki masz?”. Bo tego rodzaju (zresztą, każdego rodzaju) owsiki to coś niemile widzianego w maszynie rodziną zwanej. Ale mąż tolerował, że czasem je miałam. Można więc jedynie stwierdzić, że moja niechęć do męża wynikała wyłącznie z mojego widzimisię. A teraz już nie widzimisię, bo z mojego widzimisię wynikało też odejście.

On odszedł. Ja zostałam.

Kiedy nakrywam do stołu i jestem akurat w dobrym humorze, stawiam dodatkowy talerz i sztucce dla męża, Jarda niczego się nie domyśla, bo częstuję go nieszkodliwym kłamstwem, że to nakrycie dla niespodziewanego gościa (ma słabość do mojego chrześcijańskiego miłosierdzia). I kiedy potem dzwoniemy sztuczkami, gapię się w teoretycznie przeznaczony dla męża pusty talerz, bo jest teraz czymś w rodzaju medalionu z portretem naszej rodziny. Wstrząsa to mną, bo nasza podobizna utrzymana jest w ciepłych barwach sepii, a Tomášek, Justyna, mąż i ja uśmiechamy się na niej wprawdzie dość sztucznie, ale trwamy. Trwamy, chociaż nie myślimy. A może właśnie dlatego?

Najlepiej trzymają się rodziny, w których muły wciąż i wciąż bez gadania obracają korbę mechanizmu dźwigowego, ktoś, z jakiegoś bliżej nieokreślonego *dołu*, podaje im wiadra materiałów budowlanych i budynek – rodzina rośnie aż miło, a jego okna zawsze zwracają się w stronę słońca.

Mąż zajrzał tu kilka razy, odkąd się wyniósł. Przyszedł z naręczem dużych niebieskich toreb z Ikei i poupychał w nich, co mógł. Zabrał wyłącznie swoje rzeczy, o niskiej wartości rynkowej, lecz wysokiej sentymentalnej. Książki,

przeróżne małe świeczniki, pamiątki z podróży, figurki, tabakierki, malowniczo zdobione kufle, orientalne chusty i serwety.

Prawdopodobnie kiedyś wspólnie podróżowaliśmy, lecz ja nie pamiętam, bym kiedykolwiek wyściubiła nos z tego mieszkania, wszystko mi się z nim kojarzy. Niektóre odległe miejsca, które odwiedziliśmy, przypominają mi kuchnię, inne, suche i gładkie, kojarzą mi się z progiem pomiędzy sypialnią a salonem, wysokie szklane drapacze chmur to moja witryna pełna kruchych kieliszków, a obrzydliwe orientalne bazary to nasza tyle razy czymś oblana i przeruchana przeze mnie i Jardę kanapa w salonie.

Czuję się, jakbym nigdy, przenigdy się stąd nie ruszała. Wcześniej mieszkała tu moja matka, wcześniej jej matka, kobiety o silnym charakterze i wpływie na mnie, i trzeba przyznać, że naniósł masę błota, a to się nazywa miejsce z klimatem.

Przed chwilą przeszłam z balkonu do salonu i radośnie ogarniam mieszkanie. Stare gazety do gazetnika (który, jak już wspomniałam, jest w toalecie), brudny widelec do zmywarki, puszka po konserwie do kubła (w środku nocy poczułam nieodpartą chęć na wątróbki z dorsza), ciepły koc do ciepłych koców, stanik do skarpetek, przy okazji wyjęłam z lodówki dość przemarznięty zegarek na rękę. A Jarda tyle się go naszukał!

Parzyliśmy się, jak na parę przystało, na wstręciochowej zasyfionej kanapie, zastanawiając się przy tym, jak by tu przywołać nieszczęsny zegarek, i kto wie, może nasze parzonko naprawdę go przywołało, tyle że dopiero teraz dostrzegłam związek. Zwykle najlepiej pomodlić się do świętego Antoniego (jest specjalistą od znajdowania złotej trójki: klucze, telefon i portfel), zresztą, może dałby także radę coś wskórać w przypadku utraty szacunku do drugiego człowieka, który to przydarzył się mężowi i mnie. Tyle że do Antoniego zaczęłam się modlić dopiero po rozpadzie małżeństwa, bo kiedy jeszcze trwało, wystarczał mi mąż, który doskonale orientował się w miejscach pobytu mojego telefonu, kluczy i pieniędzy, i niczym pies tropiący potrafił raz-dwa zwaćać, gdzie jest to, czego akurat szukałam.

Niestety, jego niezawodny węch zawiódł w kwestii podśmierdujących fundamentów naszego związku, stąd wielkie halo, kiedy zamiast „dosyć” powiedziałam „już nigdy więcej”, zresztą, te słowa zaskoczyły nie tylko jego,

lecz także mnie samą. Słowa, słowa, usta wypowiedziały, dopiero potem pojęła głowa. Głowa przerażona ich szorstkością, ale słów nie da się cofnąć, mąż zdążył je usłyszeć, a gdybym powiedziała: „tylko moje usta tak twierdzą, głowa nie ma z tym nic wspólnego”, udowodniłabym, że moje miejsce jest wśród czubków, czym zresztą nieraz szantażowano mnie w tych czterech ścianach, poza tym gdzie jest napisane, że właśnie te słowa były prawdziwe, czyli „już nigdy więcej”, a nie „dosyć”? Przecież to słowa, tylko słowa.

Krzyczę: „Spełniam swoje marzenia, rozumiesz? I nigdy nie pójdę na kompromis! – („w takim razie będzie pani miała dość skomplikowane życie”, skomentowała to psycholożka Barbie z dyplomem na piersi) – i albo zaakceptujesz mnie taką, jaka jestem, albo...”, a to się nazywa zostać doprowadzonym do ostateczności i zwykle kończy się wybuchem płaczu.

„Nigdy nie miałeś marzeń”, mały redakcyjny półgłówku. Nigdy nie dałeś się ponieść, i jeśli tu z tobą zdechnę, to wcale nie przez gęstą atmosferę niewypowiedzianych wyrzutów, tylko z nudów, z nudów tu z tobą zdechnę, i mam ochotę dodać: „a z dziećmi też są nudy”, lecz choć wiem, że te słowa naprawdę powaliłyby męża, a wizja powalenia go, strzelaniny ratatatata z karabinu, aż mi w oczach pociemnieje, jest bardzo pociągająca, bo spragnionam strzelaniny jak Ruski w Czeczenii, jestem jednak także kobietą praktyczną, świadomą, że od kilku dobrych lat nad moją głową wisi gilotyna (czy może raczej miecz Damoklesa?) warunkowego *zakazu zbliżania się do dzieci* (mąż jak dotąd zawsze ten papier odsyłał), bo wolę już nudy z dziećmi niż wieczny wstyd i hańbę bez nich.

Wybaczcie szczerłość, ale przy myciu szyb w przeszklonym kredensie (psiukam trochę płynu i rozprawdzam go starą gazetą) moje myśli, zupełnie jak podczas pisania, wędrują ku istocie rzeczy: czy opinia złej matki wpłynęłaby na sprzedaż moich książek? Pewnie tak, i to pozytywnie, bo produkty, które mają jakąś pikantną historię (istnieją kobiety szpikujące swoje teksty trupami członków rodziny), schodzą lepiej niż te, które jej nie mają, a to się nazywa doping i jest bardzo nieetyczne, bo działa.

Zresztą, pragnienie ciekawej opowieści i pogoń za nią bywają nieetyczne częściej, niż wam się wydaje, podobnie jak zadawanie sobie pytania: „jak skończyłaby się opowieść o mnie i o tym mężczyźnie, gdyby nasz związek

był opowieścią?”. I czy przypadkiem już się nie skończyła? Przecież wydarzyło się już wszystko, co miało się wydarzyć. Doczytaliśmy książkę do ostatniej strony, teraz będziemy dogorywać. Co oznacza, że nigdy nawet nie wyjrzymy z okna pociągu pospiesznego wzniośle zwanego życiem. A to się nazywa radosna perspektywa śmierci. Bo zważywszy, że masa ludzi żyje oczekiwaniem na piątek, fajrant po tygodniu roboczym, który płynnie łączy się z oczekiwaniem piątku kolejnego, wychodzi na to, że śmierć to coś w rodzaju Wielkiego Piątku przed weekendem, który nigdy się nie kończy.

Kobieta Pająk

Ja osobiście odróżniam weekend od dnia roboczego wyłącznie po braku telefonów z wydawnictwa i po umilkłej ulicy ze spacerującymi parami (mężczyzna, kobieta i podskakująca nieopodal panieneczka w podkolanówkach).

Kiedy odwrócić się plecami do barierki i trochę się odchyłę, widzę fasadę naszej kamienicy, inne balkony i okna innych ludzi i wyobrażam sobie, że wiodę ich życie w ich mieszkaniach.

Że jestem na przykład tą ledwo dychającą w oparach z gara, z furą dzieci (*romale stajl*), albo tą zapracowaną bez czasu na sprawy łóżkowe (onanizuje się i dzień w dzień popija, synchronicznie ze mną, tyle że po prostu się nie znamy), dziewczątkiem, które czeka, aż świat stanie przed nim otworem, i co wieczór łączy się z owym światem, prowadząc pięciogodzinną internetową poga-wędkę (kiedy jednak ojciec poda-wędkę, ona nie chce jechać na ryby, w ogóle nie chce wyjeżdżać z rodzicami na weekendy na wieś), lub też domokrażną ostrzycielką noży.

Raz dzwoniła do mnie jedna taka *romale stajl* i od tamtej pory szoruję noże ręcznie, powiedziała mi bowiem, że zmywarka okropnie je tępi. Tępi są też ci, którzy pokrzykują do mnie z dołu: „Co pani wyprawia?!”, kiedy siadam plecami do ulicy na barierce, wkładam na dłonie przyssawki domowej roboty (Jarda wyczarował mi je z dwóch gumowych nasad od przepychaczy sanitarnych) i ruszam rączym wspinam po murze budynku. Nie muszę sobie wtedy już niczego wyobrażać, bo naprawdę zaglądam do tych wszystkich mieszkań i zupełnie jak superbohaterka Kobieta Pająk oferuję interwencję, lecz ludzie za oknami natychmiast zaczynają panikować i dzwonią na policję. Lecz ja, gapiąca się w ich okna osóbką, sprawiam, że na chwilę zapominają o własnych problemach, a to się nazywa chwilowa ulga.

Wiadomo, to takie wybijanie klina klinem, książkowym zresztą przykładem (dosłownie i w przenośni) takiego wybijania jest moja praca, bo klin to moje życie, a drugi klin to życie mojej aktualnej bohaterki, bo kiedy myślę o jej życiu, moje przechadza się gdzieś obok, znudzone i zapomniane, i robi masę głupstw, żeby zwrócić na siebie moją uwagę, wyżera wszystko z lodówki lub skacze po sofie, po czym pakuje swoje manatki i odchodzi, nim jednak to zrobi, rzuca mi w progę znaczące spojrzenia, jak mój mąż, kiedy za pierwszym, drugim i trzecim razem wyprowadzał się tymczasowo do znajomych.

Przechodzę obok dziewczątka od internetowych pogawędek, zapracowanej ostrzycielki noży i dwóch samotnych matek, po czym przyssawka za przyssawką udaje mi się wspiąć na sam dach. Patrzę sobie z góry na miasto, gdy nagle widzę, że z drugiej strony ulicy nadchodzi mój syn, Tomáš, wyelegantowany jak jakiś model.

Całe szczęście, że przyssawki nie mają rozróżnienia na prawą i lewą, w związku z czym nie mogę ich pomylić, bo na widok syna z zawrotną prędkością spuszczam się z powrotem, lewa ręka traci grunt, na szczęście prawa noga wyczuwa już pod przyssawką balkon, krótkie zachwianie i łups, znów stoję wśród moich doniczek.

Gdyby Tomáš mnie zauważył, pomyślałby pewnie: „co to za stare dziwadło?”, ale raczej w ogóle by mnie nie dostrzegł, choćby lampił się w sam środek mojej wypiętej pupy. Dla dzieci matka to matka, jej tyłek powinien tkwić przymocowany do sprzętu domowego, nie zauważą jej nigdzie indziej, choćby nie wiadomo jak żywiłowo im machała i wołała. Matki mają robić za matki, nie za Kobiety Pająki, to nie wypada, a moja cela była zawsze utyłana od łapek dzieci umazanych jogurtami i piachem z piaskownicy („Co te dzieciaki takie brudne? Jak pani nie wstyd?!”). A dzieciom, choć nieświadomie, wiecznie przyświeca myśl: „Matko, bądź taka jak matki innych dzieci, a my będziemy, jacy sobie chcemy. Nasze życie zaczyna się od ciebie, więc teraz wysil się, by zapewnić nam dobry start, bo twoje wraz z nami się skończyło”.

I mogłabym w odpowiedzi na te słowa wrzasnąć z balkonu nieeeeeeee!, niczym egzaltowana Luisa, bohaterka *Kłopotów z Luisą*, lecz czasami dużo lepiej być cichą wodą, która brzegi rwie dużo wprawniej niż głośna (trzeba po prostu potakiwać bliskim i robić swoje), poza tym Tomáš mógłby usłyszeć, jak drę się z balkonu, i zawrócić. A przecież wpadł na tak

chwalebny pomysł jak zaszczylenie własnej matki swoją obecnością.

Wciąż ma klucze do mieszkania, i kiedy wchodzi do salonu przez drzwi balkonowe, zastaje go siedzącego przy stole. Poczęstował się pomarańczą z paterki, i mam nieprzepartą chęć powiedzieć: weź sobie talerzyk, zaświnisz nową koszulę. Zresztą, guzik wiem, odpowiedź na pytanie, czy to nowa, czy stara koszula, zna raczej dziunia, z którą żyje, i jest, jak twierdzi, słodka, ale nie przyszedł mi jej przedstawić, i słusznie, pewnie bym się przeraziła. Ale to raczej on wygląda obecnie na przerażonego, patrzy na mnie i mówi: „Jezus Maria, załóż coś na siebie”, podczas gdy rozmasowuję obolałe od przysawek dłonie, a nogi trzęsą mi się jak ratlerkowi.

„Załóż coś, no już, i idź się umyć”, mój syn rozmawia ze mną w sposób, w jaki zdecydowanie nie powinien rozmawiać z matką, spuszcza więc głowę i ze zdziwieniem stwierdzam, że kostium Kobiety Pajaka składa się z farby akrylowej w kolorze niebieskim i czerwonym (pewnie jakieś resztki z puszek Jardy) i z niczego więcej. Jednak farba kryje naprawdę rewelacyjnie, przeglądam się w szybie kredensu z chlańskiem i kieliszkami, wyglądam jak nurek w pianie z neoprenu, więc mógłby, hultaj jeden, okazać trochę więcej uznania dla mojego stroju, szczególnie że nie mam pojęcia, skąd właściwie się na mnie wziął, z którego to powodu nie jest mi jednak ani trochę wstyd. Mimo to prawie wybąkuję przeprosiny, jak nawykłam, w ostatniej chwili jednak sznuruję usta i trzaskam drzwiami od łazienki, kątem oka dostrzegam jeszcze, że Tomáš wyciąga rękę po wczorajszą gazetę.

Stoję pod prysznicem, farba spływa ze mnie gęstym fioletowym strumieniem. Mam ochotę go zawołać: „Tomášku, chodź zobaczyć, bo to naprawdę zgrywny widok”. Gąbka nasiąka kolorami, a ja maluję nią na kafelkach nad wanną ogromniaste serca, wszystkie dla niego, mojego syna, który w pokoju obok czyta rubrykę *Finanse i biznes*.

„Mamusiu, jesteś kudłata jak księżniczka”, powiedział czteroletni Tomášek w łazience, kiedy jeszcze lubił podglądać. Oczy czterolatek znajdują się mniej więcej na poziomie pizd ich matek, i kto ich tam wie, co w nich widzą, mówiąc, że chcieliby z powrotem do brzuszka. Może bramy raj.

Justyna w tamtych czasach uwielbiała gotować w swoim nocniczku zupę tamponową (pięć do dziesięciu nieużytych tamponów, krem Nivea i woda), wkładała mi rękę w dekolt, wymacywała pierś i zawodziła: „pić”. „No

chodź”, mówiłam, kontynuując uwagi do powieści *Przyjaciółki na śmierć i życie* (akcja rozgrywa się częściowo na Malediwach, dziś bez egzotyki ani rusz).

Kobiety, które uważają, że dzieci nie powinny znać prawdy o tym, jak działają ich matki (Tomášek pakował moje zużyte tampony we własnoręcznie przygotowany w tym celu papier gazetowy), prawdopodobnie mają się za brzydkie urządzenia, w których krew menstruacyjna pełni funkcję smaru z przydawką jaki? – obrzydliwy!, i proszę bardzo, jeśli tak wam pasuje, zamykajcie się w łazience na klucz, ale moje dzieci dorastały w atmosferze, w której, kiedy męża nie było w domu, nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, a Tomášek i Justyna bardzo dobrze wiedzieli, o czym mogą, a o czym nie mogą powiedzieć ojcu.

Kary za chłapanie ozorem były sprawiedliwe i z tego, co się orientuję, bardzo rzadko dochodziło do wycieków.

Złamanie zasady numer jeden: nie przeszkadzać mi w pracy, oznaczało lanie na goły tyłek (kiedy ich upierdliwe koślawe paluchy po raz trzeci z rzędu waliły w drzwi mojej prywatności), zasada numer dwa brzmiała: miłość matki wszystko wynagrodzi.

Z Tomáškiem było łatwiej, bo duża księżniczka i mały książę to bardziej naturalne połączenie, ale także z Justyną dotykałyśmy się nago pod kołdrą, pamiętam nawet, że pisano o tym na tablicy ogłoszeń w przedszkolu, do którego uczęszczały dzieci (mąż je zaprowadzał i odbierał). Jakieś nadgorliwe przedszkolanki wysmarowały flamastrami cytaty dzieci mówiących o matkach, a obok imienia Justyny widniał napis: „mamusia lubi, kiedy się miziamy”, co uważam za sto razy lepsze świadectwo niż inne typu „mamusia lubi jeździć na rowerze”, „mamusia popsuła odkurzacz, ale tatuś naprawił” czy „mamusie boli głowa”. I nagle czuję, że rozsadza mnie radość tak wielka, że chce mi się śpiewać, bo zawsze byłam i wciąż jestem surowa i czuła zarazem, świat wiruje, a ja jestem jak bogini matka z powyciąganą skórą na obwisłym brzuszysku i belferka z różgą (trzymam ją raczej ku przestrodze, nie by naprawdę sprawić komuś cięgi), i jestem postacią tak wielowymiarową, że głowa mała, co zresztą przydaje się w moim zawodzie, nagle słyszę, że ktoś puka do drzwi łazienki, to mój syn, mówię więc: „Otwarte, Tomi”. Syn wchodzi, zerka na mój cellulit pokryty resztką farby

akrylowej i nagle zapada cisza jak w kościele. Nie, nie jest podniecony, jego rozporek się nie uniósł, i może nawet mnie to smuci, choć moje rozsądniejsze *ja* nie jest tym faktem zaskoczona. Ma swoją młodą dziunię, co mu po mnie.

Stoję, zasłaniając to i owo dłonią, strumień wody spływa po włoskach jak kolorowy mocz, a prysznic pryska wciąż i wciąż, i chcę pokazać Tomášowi serca na kafelkach. „To moje serce, a to twoje, Tomi”. Rozmyte, spłakane plamy, niewypał przyłapanego na wandalizmie grafficiarza, i fakt, raz (tylko raz) i mnie przyłapano, mąż przyłapał mnie z nagimi dziećmi, a wtedy przestałam nosić długie włosy. Ciągnął mnie za nie po podłodze przez całe mieszkanie, jak koń wlokący skazańca w średniowieczu, jakbym była mopem, którym chce wszystko wypucować, wypolerować mną wszystkie kąty, i nie wydał przy tym z siebie ani słowa, tylko stękał z wysiłku. Ja za to darłam się jak opętana, dzieci chyba też, nie wiem, ich akurat z tamtej sytuacji nie pamiętam. Pewnie jak zwykle wyglądały zza jakiegoś mebla, zmieniając miejsce, w zależności od tego, dokąd mąż, ciągnąc mnie, zmierzał, biegały niczym żołnierze w okopach, nie wiedząc, czy strzelać do ojca, czy do matki. Następnego dnia poszłam się ostrzyć, a spod kępek powyrywanych włosów wyłaniały się paskudne prześwity czaszki.

Wciąż stoję pod prysznicem, odwracam się do syna, lecz na dywaniku łazienkowym zostały już tylko odciski jego dużych stóp.

„Aleś się tam zasiedziała”, stwierdza, gdy wracam do salonu. W międzyczasie zaczął chodzić po pokoju i oglądać moje meble, antyki. Podchodzę, chcę go przytulić, ale się wyrywa.

„Takie coś można teraz opchnąć za parę tyśi”, mówi pod nosem, a że nie jestem pewna, czy do mnie, czy do siebie, mruczę coś w odpowiedzi.

Co go to właściwie obchodzi? Nie mam jednak odwagi spytać na głos.

Czasami zdarza mu się na mnie huknąć, zupełnie jak jego ojcu. Zapisuje coś w komórce, wygląda z okien, mierzy pokój krokami.

„Całkiem przestronne wewnątrz – ocenia widok z korytarza do kuchni, po czym mówi: – Klient, mamuś” – znika w pokoju obok, by odebrać dzwoniący telefon.

Jest taki chłodny i profesjonalny, zupełnie obcy. Ja w jego wieku nie chciałam takiego życia. Gdzie posiał młodość? Już nawet nie prosi mnie o pieniądze.

Próbuję objąć go po raz drugi, lecz znów mi się wymyka. Odruch być może przypadkowy, nie, nieprzypadkowy. Jestem jego matką, znam go. Nagle wpadam na pomysł, by znów nałożyć kostium Kobiety Pajaka i zademonstrować, jak z przyssawkami chodzę po ścianie, może go jakoś rozruszam. Myślę przy tym, czy musisz wiecznie za wszelką cenę zwracać na siebie uwagę?, po czym, zupełnie zaskakując samą siebie, pytam: „Co u ojca?”, a Tomáš, niczym echo moich myśli, odpowiada: „Nigdy wcześniej o niego nie pytałaś”.

Syn przechyla głowę i przygląda mi się jak lekarz internista, zdziwiony, a ja się zastanawiam, dlaczego nie wolno o coś spytać tylko dlatego, że wcześniej się o to nie pytało, i kiedy minął termin, w którym takie pytania jeszcze były dozwolone. I nagle przypomina mi się, co obiecałam Blažkovej, i mówię: „Blažková ma do ciebie sprawę. Jej znajoma chce sprzedać dom”. A on na to: „A nie chcesz poczytać mi na głos swojej nowej książki?”. A ja, choć powtarzam sobie to miliard razy w głowie, nie wiem, czy pyta poważnie. I niemal odpowiadam: „Właśnie skończyłam *Złote czasy we dwoje*”, lecz nie jestem pewna, czy to nie była raczej *Psia mama*, bo szkice *Złoty ch czasów* tak długo rozpisywałam na tuzinie kartek, że ostatecznie zabrałam się do czegoś innego, a *Psia mama* to roboczy tytuł jeszcze wcześniejszej książki, która ostatecznie weszła do księgarń pod tytułem *Igraszki z ogniem*, wychodzi więc na to, że *Psia mama* to wolny tytuł i można go jeszcze wykorzystać. No, chyba że to jest właśnie książka, nad którą teraz pracuję, tak, chyba tak, bo właśnie tam dość ważną rolę odgrywa Kobieta Pajak, pewnie stąd te przyssawki, musiałam wczuć się w jej rolę.

„Mamuś, co ci jest?”, zdaje się, że pogrążona w myślach przymknęłam oczy, a syn nie wie, co się dzieje. Szybko mrugam, by pokazać, że omdlenie mi nie grozi, typowe dla matek, chronić dzieci, choćby i dorosłe, przed własnymi troskami, irytujący zwyczaj, którego jednak nie potrafię się wyzbyć. Przecież gdyby musiał rzucać się na klęczki, by mnie ratować, połamałby kanty spodni, a jego różowa koszula nabawiłaby się zmarszczek troski, i po co?

Na podłodze leży warstwa syfu, okruchy, koty kurzu, gdzieniegdzie kiep, masa trocin, jakieś opiłki. Jarda nie przepada za sprzątaniami po pracy, a ja nie mam czasu na takie rzeczy.

„Wszystko w porządku, mamusiu?”, nagle czuję, że chcę tak trwać, nigdy

nie otworzę oczu, byleby tylko jeszcze raz powiedział tak czule mamusiu, bo zwykle bywam w oczach i ustach moich dzieci potworem lub wręcz *macochą* (określenie Justyny, kiedy wpadnie w szal), wówczas myślę sobie, że nie może chodzić o mnie, raczej o moją matkę (a ich babcię), bo przecież kiedyś byłam mamusią, mamunią, a moje robaczki przynosiły mi z podwórka bukieciki stokrotek i leżały na mej piersi okryte kołdrą długich włosów...

„Mamuś”, czyjaś dłoń klepie mnie w policzki, nieczule, z dystansem i zażenowaniem nowicjusza służb ratunkowych, jakby wcale nie on, lecz ktoś zupełnie inny kiedyś nosił mi stokrotki, myślę więc, pójdę lepiej po Blažkovą, bo zapomnę, następnym razem pokażę mu Kobietę Pajaka, może kiedy przyjdzie z tą młodą dziunią, niech i ona zobaczy.

„Tomi, następnym razem ją przyprowadź”, mówię, jakby budząc się z omdlenia, i gdyby Tomášek odziedziczył po mnie talent literacki, nie odpowiedziałby: „Po tym, jak ją ostatnio potraktowałaś?”, tylko: „Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą”.

Nagle czuję, że tracę grunt pod nogami, bo mylą mi się najwyraźniej już nie tylko tytuły książek, chaos panuje także w tym, co powiedziałam dziuni Tomáša w myślach, a co gogusiowi Justyny na żywo. Co to mogło być? „Myślałam, że moja córka wylądowała z kimś lepszym!” A goguś na to: „Dobrze, że nie wylądowała tak jak pani. Wiem o wszystkim od Justyny”. Justyna zrobiła wówczas minę dziewczęcia przyłapanego *in flagranti* z niewłaściwym facetem (dlaczego, na miłość boską, nie mam na sobie ręcznika, szlafroka lub chociaż jakichś majtek?), podczas gdy goguś nie spuścił z tonu i dodał: „Nie wstydź się, kochanie, powiedz to matce prosto w twarz”.

<

Goguś

Spotkaliśmy się na dworcu autobusowym. Justyna, goguś i ja. Wybrałam się w końcu rzucić okiem na odżydzone sklepienie ciotki od strony dziada siwego fiuta, krótki urlop planowany od lat.

Szłam, nie zwracając uwagi na nic wkoło, bo wciąż powtarzałam w głowie nazwę tej pipidowy, żeby nic nie pokręcić przy kasie, i nagle przyuważyłam ich na stanowisku naprzeciwko. Stali tam z walizkami, niczym wybierające się na wakacje szczęśliwe małżeństwo, dzieci na chwilę gdzieś pobiegły. Kiedy byłam w wieku Justyny dwukrotnie prawie je miałam i dwukrotnie skończyły w szpitalnym worku na śmieci wraz z organami nienadającymi się do przeszczepu (B. też się nie nadawał, na ojca), ale ta biodrzasta dziewczyna (ma duży tyłek, większy niż ja, co źle znosi, bo ciężkodupiastość nie pasuje do wizerunku weganki), tak więc ta biodrzasta panienska dobrze wie, czego chce, a raczej wie, że *nie są* to dzieci. Nie wie jednak, co to *jest*. Najwyraźniej coś, czego poszukuje się w dalekich krajach, bo wszystko, co zarobi, musi natychmiast przepuścić na różnorakie wyprawy w tropiki. Tułaczka jako haracz za życie, w którym banda kreatorów trendów (tak to się chyba nazywa) wyznacza coraz to nowsze i nowsze kierunki (Papua – Nowa Gwinea, Madagaskar, Szpicberg), w związku z czym biedaczka nigdy nie może nic odłożyć, te całe podróże są jak kasyno czy automaty, albo i gorsze, bo człowiek tłuże się po świecie jak jakiś niewolnik z ciężkim tobołkiem, i w dodatku nic nie można wygrać.

Stojący obok Justyny goguś wyglądał właśnie jak taki kreator trendów. W czasach mojej młodości, w przeciwieństwie do czasów dzisiejszych, doskonale wiedziałam, co ktoś chce wyrazić przez swój wygląd (czarna koszulka artystycznej awangardy kontra różowe legginsy pustych lał), dziś nie jest to już takie proste, jednak jeśli ktoś paraduje obwieszony metkami czy logotypami firm, które znamy z billboardów, można się domyślić, że chce

sprawić wrażenie trendy gościa, który się zna, lecz ja z kolei znam się na ludziach i wiem, że taki gość nie nada się dla mojej córki.

Poza tym osoba, chcąca się na wszystkim znać, sprawia, że ta druga przestaje znać się na czymkolwiek, a Justyna i tak ma problem w połapaniu się w samej sobie, i nie trzeba jej kolejnej zagubionej duszy, zresztą, kto wie, czy ten tutaj w ogóle wyznaje jej miłość. Jak na mój gust, stać go najwyżej na kilka podpitych esemesów z knajpy, może i na to nie. Mam nadzieję, że nie ma słabości do takich facetów i nie będzie wyłącznie takich przyciągać, myślę, machając do nich z uśmiechem (dobra matka gryzie się w język w dziewięćdziesięciu na sto przypadków, kiedy chce udzielić dziecku dobrej rady), lecz gdy różnym krokiem ruszam w ich stronę, Justyna blednie.

„Proszę nie prześladować mojej narzeczonej”, goguś ożenił mi tę słowną kosę zaraz na wstępie, po czym już na zawsze pozostaliśmy w relacji na noże.

„Narzeczonej?”

Goguś objął Justynę i przyciągnął ją do siebie, plastyczna jak modelina klei się do niego niczym przyssawka do szyby, a mnie zaraz przypomina się dzisiejszy poranek, kiedy Marilyn przepędziła Justynę na cztery wiatry, wówczas też była taka uległa, biedaczka, wygląda na to, że nie tylko nie ma mojej figury, ale i charakteru, zresztą, zawsze to wiedziałam.

Potem rzuciłam uwagę o kimś lepszym, z kim, wyobrażałam sobie, wylądować moja córka, a goguś na to łubudu, że dobrze, że nie tak jak ja i że za to, co robiłam, powinnam zgnić w więzieniu. Widzę przerażenie w oczach Justyny, schyla się, niby to po walizkę, a ja odwracam się i z dumnie uniesioną głową, jak królowa Dworca Autobusowego Florenc, krocę środkiem, a dziś mamy środkę, godzina dziesiąta rano, albo i nie.

W pipidowie zwanej Pochwice Dolne, gdzie ciotka dziada miała niegdyś sklep z pończochami, siedzę potem niczym mroczna matryoszka w lokalu Lampa, w którym jak na ironię nie pali się prawie żadne światło, wśród ululanej w sztok dziatwy, pali się chyba tylko coś we mnie, a jest to żarówka olśnienia, która podpowiada mi, że do końca życia będę tracić i na nowo odzyskiwać swoje dzieci, bo kiedy były małe, zaczęłam im tłumaczyć coś, czego nigdy wytłumaczyć nie zdołałam, a mianowicie, że matka jest tylko człowiekiem. Że matka nie jest matką, nadludzką matką, która nosi swoje człowieczeństwo niczym opaskę na włosach, tylko dla ozdoby. Jak pesel, którego co prawda używamy w niektórych sytuacjach, ale spróbujcie

powiedzieć, że konkretny pesel uprawnia was do takiego czy innego odbiegającego od normy zachowania, a zobaczycie, że was wyśmieją. Niestety, ale i na szczęście, bo przypadkowa liczba *ja* zupełnie sama prowadzi rower życia i nie jest ciekawa żadnych pieprzonych wycieczek.

„Wszystko odbiło się na pani dzieciach, czy pani to, kurwa, rozumie?!”, wrzeszczał goguś, co jak na pierwsze spotkanie z matką jego dziewczyny (w narzeczoną nie wierzę) było dość bezczelne, Justyna blednie jak ściana i szepcze: „Daj jej spokój, Lúďa”, podczas gdy ja wyciągam do niej ramiona, w nadziei, że tak samo jak przed chwilą do gogusia, przylgnie zaraz do mojej matczynej piersi, bo to ja, nie ten smarkacz, znam ją od małości, i nigdy gnojek tego nie zrozumie, chyba że sam będzie miał dzieci (mam głęboką nadzieję, że nie z moją córką). Zresztą, może i nie zrozumie, może będzie jednym z facetów wiodących straconą egzystencję w rytmie auto-biuro--auto-dom czy auto-biuro-auto-modny bar-taksi-dom.

A potem, to już chyba sen, nie jawa, leżę zemdlna na kanapie, a Tomáš zmienia mi zimny okład na czole, i wtedy coś tam sobie przypominam. Zdaje się, że poprosiłam gogusia o numer telefonu, wiadomo, że dał, kto by odmówił matce ukochanej, kilka dni później dzwonię i spotykamy się w Trzech Błękitnych Sercach (tamże rozgrywa się początek *Złoty ch czasów we dwoje*), a ten cały Lúďa zakładał chyba, że będę się tłumaczyć lub uchylę rąbka pikantnej rodzinnej tajemnicy, w którą wpycha nos za pośrednictwem mojej córki, stawiam się jednak w obcisłej purpurowej sukience z głębokim dekoltem (on też się odstrzelił) i ostatecznie rozmawiamy o zupełnie innych rzeczach.

Ja żyję z pisania, a goguś mojej córki próbuje swoich sił na scenie muzycznej, nikt, rzecz jasna, nie rozumie jego muzyki, ale twórczość to twórczość, nie musimy więc sobie nic tłumaczyć, przyciskam pod stołem kolana do jego kolan i wiem, że po butelce wina pal licho moją starą twarz, zresztą, nawet gdyby pozostał na niej ślad surowości, to może nawet lepiej, bo on wie, że ja wiem, że on wie, a podnietka, która przysiadła się do nas w owym lokalu, była tak nagła i nieoczekiwana, że porównać do niej można chyba tylko scenkę, w której obsługująca nas ładna kelnerka bez ostrzeżenia łąduje na czworakach, i od pasa w górę jest ubrana, a od pasa w dół widać tylko i wyłącznie cipę. Fakt, jestem popaprana, to wina alkoholu. Powtarzam to Justynie zaraz kolejnego dnia, kiedy na kacu, koło południa, włączam telefon i widzę osiem nieodebranych od niej i kilka esemesów, z których

wynika, że nie jest pewna, w którym kościele, ale wie, że dzwonią (ma intuicję, po mnie), a jak już wspomniałam, do końca życia będę w kółko tylko tracić i na nowo odzyskiwać swoje dzieci.

„Co ty wygadujesz?”, ledwo słyszę słowa syna, zagłusza je harmider jakiegoś silnika (ruch czterokołowy na naszej ulicy ostatnimi czasy straszliwie wzrósł), czuję też kwaśny oddech palacza. Musiałam go naprawdę zdenerwować, skoro zapalił, ostatnio przecież chełpił się jak paw, że rzucił, a ja mówię nagle: „Tomášku, daj buzi”, i czuję, że tak bardzo tego chcę, że oddałabym wszystko w świecie, by móc całować się z własnym synem, który chyba mnie przejrzał, bo pocałował mnie, ale daleko od ust, gdzieś w okolicach podbródka, a jego buziak miał w sobie tyle czułości, co stempelek na pocztce, bach, następna osoba, proszę! A następną osobą będzie jego dziunia, lepsza ode mnie chyba tylko dlatego, że nie ma cellulitu, ale mojego przecież też nie widać spod szlafroka, kilkakrotnie szybko mrugam i zauważam, że mój szlafrok jest rozchylony, a pod nim zupełnie nic, nawet kostiumu Kobiety Pajaka. Jestem tylko ja, wyciągam ręce do Tomáša, podobnie jak wcześniej do Justýny, i nie muszę nawet otwierać oczu, bo wiem, że zniknął. Że wziął, jak tyle razy wcześniej, zupełnie tak samo jak jego ojciec, nogi za pas.

Niemka Gerda

Pewnie szłaś w nocy do toalety i upadłaś, serduszko. – Jarda nachyla się nade mną, kładzie na moim czole swoją zimną wielką dłoń i sprawdza, czy mam gorączkę. – Chyba trzeba będzie szyć, złap się mnie, a ja podnoszę się niczym kij od miotły i balansuję jak kelnerka z naręczem talerzy, usiłująca nie wytłuc cennej porcelany. Jasne, jeszcze mi skorup brakowało w tym chlewie, myślę, przeklinając w duchu Jardę, nigdy nie może posprzątać po robocie, a wszystkie te trociny, odpryski lakieru i kołki rozporowe będą u nas straszyć na wieki wieków, mówię u nas, bo Jarda wprowadzie wciąż kursuje między łóżem śmierci swojej matki (nie rozmawiamy o niej, kochanie, mam aż nadto własnych problemów) a moim mieszkaniem, ale coraz więcej czasu spędza tutaj, kroi nam się więc chyba oficjalny związek, o którym powiemy moim dzieciom.

Kroczę ostrożnie, niczym bocian wśród wysokiej trawy, Jarda podpira mnie z boku, zastanawiam się, czy przez resztę życia będzie mnie podtrzymywał już tylko on i nikt inny, znów wyobrażam sobie szosę, nieskończony horyzont i nas dwoje w kabriolecie z beztrosko rozwianymi włosami (widzę się w tych długich, których połowę wyrwał mi mąż), nie widzę jednak co dalej, a takie gdybanie to zwykła strata czasu.

„Dużo pracowałaś, co? – jego słowa brzmią czule, bije z nich zrozumienie dla mojej pracy, ale zaraz potem dodaje: – Wystarczy, że mnie nie ma kilka dni, a ty znów się staczasz”, co już nie brzmi czule ani empatycznie, najchętniej spuściłabym teraz kurtynę jak w Teatrze Narodowym, niechby opadła, przysłaniając to wszystko, skoro posprzątać się nie da.

Oj tak, przydałoby się, żeby ktoś posprzątał przed pojawieniem się Jardy, bo do tego, co obecnie rozgrywa się w moim mieszkaniu, najlepiej pasuje określenie armagedon, i pal lichu wióry i opiłki, gorzej, że po całym pokoju

walają się butelki, toż to grzech. Wiem o tym, Boże, jestem tego świadoma, Boże. Wolę więc udawać lekki stan nieświadomości, inaczej chyba spaliłabym się ze wstydu, bo kiedy przedzieramy się z Jardą przez to pobjowisko w stronę przedpokoju, co rusz potykam się o jakąś flaszkę, lecz Jarda milczy jak zaklęty, czym zabija mi ćwieka, bo nie wiem, czy się zawziął (wtedy zawsze gniewnie pracują mu mięśnie policzków), czy czuje rezygnację („jeśli mnie rzucisz, wyzionę ducha, kochanie”), czy może raczej milczy jak anioł stróż, który wszystko przetrzyma, ale jak dla każdego, i dla niego istnieją sprawy, na które jest bardziej lub mniej wyczulony.

„Nie chcę nigdzie jechać, Jardo. Zrobię sobie zimny okład, mam masę pracy”. Na co Jarda przygląda mi się, jak jakiemuś ciekawemu okazowi w zoo, nie mając jednak pewności, na co właściwie patrzy.

„Przecież mnie znasz”, dodaję coś na kształt przeprosin, choć to idiotyczne, raczej on powinien przeproszać, że bez przerwy przesiaduje u matki, która w ogóle go już nie poznaje, a przecież tyle razy mu powtarzałam, żeby dał spokój, po co tam łązi. A Jarda puszcza mnie, zataczam się, lecz sekundę przed upadkiem, grożącym, że rozbiję się na małe kawałeczki, chwytą mnie i mówi: „Jak sobie chcesz, moje zdanie znasz. Lekarz powinien ci opatrzyć tę głowę”. Nie zwrócił się do mnie serduszko, wiedziałam, że nie pochwała pomysłu, żebym w takim stanie wracała do pracy, ale nic mi nie powie, bo jest, jaki jest, i ktoś może sobie myśleć, że to przejaw obojętności dla mojej rany tłuczonej, lecz ja wiem, że to wyłącznie poszanowanie mojej decyzji, wiem też, że właśnie ten ogrom wolności, który daje mi Jarda, być może sprawi, że choć chwilę wytrzymamy pod jednym dachem.

Do gabinetu zaniósł mnie na rękach, przetrzepał poduszkę i ułożył ją na krześle, włączył komputer. „Wywietrz”, mówię, żeby nie zapomniał, bo zaduch nie sprzyja świeżym pomysłom, po czym odsyłam go.

„Nie, dziękuję!”, krzyczę jeszcze przez mleczną szybę drzwi, kiedy proponuje mi herbatę. Jak będę miała ochotę, sama sobie zrobię, niech mi już tu tylko nikt nie łązi. Bo w chwili, gdy klikam ikonkę folderu *Złote czasy we dwoje*, natychmiast zapominam o herbacie, Jardzie, dzieciach i, co najważniejsze, o sobie samej. Ocieram chusteczką kilka kropli krwi, które spłynęły mi po policzku przy pierwszych wystukanych wersach, po czym skupiam się tylko i wyłącznie na pisaniu.

Czasem żartujemy z Jardą, wymyślając, jakie wynalazki moglibyśmy kupić do mieszkania, zawsze wtedy pytam: „Za twoje pieniądze czy za moje?”, ale nie mówię tego na głos. Jarda marzy, żeby postawić sobie przy łóżku małą lodówkę na piwo i cebrzyk ze spluwaczką do mycia zębów, ja śnię o składanej trampolinie na balkon. Żeby widzieć przechodniów skradających się przy samej ścianie kamienicy (kaleki o kulach, psy i ubzdryngoleni) i osoby dzwoniące domofonem. Już teraz, symulując widok z trampoliny, wychylam się przez balkonową barierkę, najdalej jak się da, zgięta w pół niczym piankowy materac, i kolebię się w tę i z powrotem, huśtam jak dwie szalki wagi kuchennej, na których leży po tyle samo cukru i mielonych orzechów włoskich, a to się nazywa niezawodny przepis na rogaliki waniliowe. Teraz jednak ja robię za wielki rogalik (zakrzywiony według norm europejskich), czy raczej za konika na biegunach z ciasta na pączki (ostatnio przytyłam, Jardzie się podoba), i pewnie o wiele dłużej bym się tak bujała, prowokując śmierć i bam!, i trzask! czołem o chodnik lub łups! prosto na głowę przechodnia, lecz nagle widzę, że z lewej strony nadchodzi Tomáš, i zaraz domyślam się po co – po kasę, bo kiedy tu wcześniej był, zapomniał mnie o nią poprosić.

Posuwistym krokiem (łeb mi pęka) telepię się w stronę kuchni, gdzie w miseczce na komodzie zawsze coś jest, Jarda nieraz bierze stamtąd na drobne naprawy, ja wcześniej sięgałam do niej po monety do wózka w spożywcza (wózka z połamanym kółkiem), w czasach, gdy jeszcze nie zamawiałam zakupów z dostawą, a każde wyjście z domu nie kładło się na mnie cieniem, niczym przyłbica bez otworu na oczy, i kiedy z niewiadomych przyczyn nie uważałam szwendactwa po miejskich rozdrożach konsumpcyjnych za stratę czasu.

Ciupka make-upu na policzkach, szybka kreska na powiekach rozświetla oczy, wiadomo, a czerwone zdrówko rozgrzewa mój humor niczym piekarnik czekający na bułeczki. Po czerwonym zdrówku natychmiast jestem zdrowa jak rybka (chyba włączył mi się hormon macierzyństwa) i wiem, że zaraz będę krzątać się wokół syna, nie przygotowałam wprawdzie nic na ząb, ale nie szkodzi, przecież Jarda może w każdej chwili skoczyć po napoleonki. Objeżdżam Jardę, by, do cholery ciężkiej, zgasił tę czołówkę (właśnie przeprowadzał na podłodze w salonie inwentaryzację skrzynki na narzędzia), bo teraz będziemy oszczędzać energię, sama już nie wiem, od ilu tygodni nie wpuściłam do mieszkania krzty tak zwanego światła dziennego, Jarda

najwyraźniej także ma serdecznie dość tych ciemności, bo natychmiast doskakuje do okien i pomaga mi rozsunąć ciężkie ciemnofioletowe zasłony.

Mam w kieszeni trochę monet z miseczki (dla synka na czarną godzinę), na chwilę przystaję i rozglądam się po mieszkaniu oślepiona jasnością (wypolerowane przez Jardę meble precudnie odbijają światło), widzę też, że kiedy byłam w toalecie, syn zdążył już rozgościć się w dużym pokoju i zaczyna wypakowywać różne sprzęty. Nie żadne tam pamiątki typu porcelana z Karłowych Warów, nie, z jego drogiej skórzanej teczki, z jakiej ćpunka Marilyn wyjęłaby pewnie łyżkę, strzykawkę i te pe, on wygrzebał różne papierzyska i przybory do pisania, ostatecznie zaś iPhone i iPad, co mnie, jako empatycznej matce całej dziatwy świata, przywołało na myśl Věrkę, która zapewne przysięgłaby matce, że będzie greczna do śmierci, byleby mogła choć przez chwilę pobawić się tymi elektronicznymi cudenkami.

Tomáš organizuje sobie małe biuro na stole jadalnym w salonie. Urzędoli na przedmiotach, które wytachał z teczki, wypełnia jakieś dokumenty. Cóż za chwalebny wstęp do oskubania matki, myślę sobie. Udaje skrzętnego przodownika pracy, żeby matka nie myślała, że rzuca garść okrucich obsraluchowi w parku, tylko że dokłada do kiesy synowi obeznanemu i obrotnemu, który z powodów całkiem od siebie niezależnych jest aktualnie ciut niewypłacalny.

Uwielbiam momenty, w których jestem panią sytuacji i mogę być kluczem do czyjogoś szczęścia. Dużo więcej jest bowiem chwil, kiedy to sytuacje są moimi paniami, a ja szamoczę się, rozchlapując wodę, by w ogóle utrzymać się na powierzchni (nad taflą znajduje się towarzystwo bliźnich, pod nią pełna fantazji utrata zdrowego rozsądku), a przecież dużo łatwiej coś chlapnąć, niż wypłynąć, chlapnąć żadna sztuka, szczególnie ozorem, samo się robi, kiedy tracę kontrolę. Wyjeżdżam z jakimś idiotyzmem, po czym zamykam się w aspołecznym barze mojego gabinetu (kiedy przegnę na całej linii, nawet Jarda ze mną nie rozmawia).

Ale to chyba nie jest taka właśnie sytuacja, bo czuję, że w kieszeni zaczynają mnie palić finanse, o które zapewne zaraz poprosi Tomáš, pierwsze nagrzewają się monety, potem banknoty, i nagle czuję, że płonie nie tylko moja kieszeń, ale cała ja, bo Tomáš wciska mi w dłoń długopis ze słowami: „Jeden podpis tutaj, dwa tu, tu nie podpisuj” (zaznaczył rzeczne miejsca zakreślaczem, jak redaktor dzieł zebranych, może moich, że tak sobie

schlebie).

Szukam spojrzeniem Jardy, chcę, żeby mi to wszystko wytłumaczył, bo słowa Tomáša są jak beton z wystającymi prętami zbrojeniowymi, które niemal przebijają mi serce. Tyle że Jarda chyba naprawdę pobiegł do cukierni i teraz czeka, aż pani zapakuje mu napoleonki w papier, bo nigdzie go nie widzę. Ja i Jarda zasługujemy na dwa ciastka, ale synowi nie dam nawet okruszka, bo przedstawienie, które właśnie odgrywa, wcale a wcale mi się nie podoba. W idealnie dopasowanej łososiowej koszuli, wciśnięty w poważne portkokanty, surowieje po drugiej stronie stołu, który kojarzy mi się z chwilą mojego rozwodu, kiedy na sali panowała taka powaga i chłód, jakby w kącie stała bzycząca freonowa lodówka, która co rusz puszcza mrożące nas na kość syberyjskie bąki, i pamiętam, że musiałam nawet kilka razy wybiec z sali na korytarz, by złapać w płuca odrobinę cieplejszego powietrza, teraz też mam ochotę zwiać (choćby na balkonowego papieroska), szybko się zrywam, lecz z ucieczki nici, bo orientuję się, że właśnie jestem wiązana.

Z jednej strony wiąże mnie córka, z drugiej syn, jak na upozowanym zdjęciu rodzinnym (może wysłemy je dalekim krewnym, którzy pomarli w obozach, ze wstecznymi życzeniami zdrowia i szczęścia), to chyba jakaś zabawa, w napad na bank czy coś, a może chcą, żebym zdradziła im szyfr do sejfu, kąciki ust podnoszą mi się w niekontrolowanym uśmiechu, ale Tomáš ani Justyna nic nie mówią.

Odliczam minuty do powrotu Jardy, mam nadzieję, że przyjdzie i niczym dowódca jednostki antyterrorystycznej zacznie strzelać do moich dzieci z wyrzeźbionego w mydle gnata, po czym wszyscy będziemy się wesoło śmiać z tej zabawy, ale pas, którym mnie krępują, boli tak mocno, że myślę tylko o nim, wpija mi się w skórę i czuję, że moje nerwy puszcza jak stare, sparciałe szelki.

„Nie wygłupiaj się, nie tak mocno”, mówi moja córka do mojego syna, po czym następuje szarpnięcie, jeszcze boleśniej ściskające pachwiny, przywiązują mnie sznurem do oparcia i chyba oczy zaczęły mi trochę wyłazić na wierzch, bo Justyna mówi: „Tylko spokojnie, mamuś”, a Tomáš na to: „Trzeba było się wcześniej zastanowić, a nie tu teraz matce ściemniać – oraz – a niech się boi, czemu akurat ona nie miałyby się bać”, co przynosi mi pewną ulgę. „Akurat ona” wskazuje bowiem na to, że są jeszcze jakieś inne osoby, które przechodzą takie zabiegi, może moje dzieci robią to po prostu na zamówienie jakiejś firmy, w której pracuje jedno z nich, mam też nadzieję, że

akcja jest zgodna z normami UE.

Tomáš znów wciska mi długopis w dłoń, dokumenty leżą na moich kolanach, rękę mam wykręconą, i już, już chcę złożyć autograf, kiedy nagle widzę, że zza szafy w rogu wystaje głowa z karcącym spojrzeniem mojego męża, i nagle coś mi zaczyna świtać: pip, pip, piip, jesteś tu nielegalnie, a wszystko to jakiś spisek.

Zaczynam się szarpać i tarmosić, a po chwili skaczę już po pokoju z samochodem marki krzesło pod tyłkiem, zrobię ze trzy kółka, myślę sobie, i Jarda wróci. I wam pokaże. A ja tylko poprawię swój szlafrok w mały rzucik i z rozkoszą wrócę do gabinetu pisać.

Potem, zdaje się, trochę przysnęłam, bo obudziły mnie głośne rozmowy i dzwonienie łyżeczkami do herbaty w talerzyki, napoleonki prawie całe zeżarte, a prócz Jardy przy stole opycha się mój mąż. Po co ktoś przywiózł to wykopalisko do mojego domu? Nie mogę jednak oderwać od niego oczu. Tak długo się nie widzieliśmy, ile to już lat? Wiadomości przekazywane przez dzieci, o przesyłkach na pocztę, która dawno nie jest i nie będzie balkonową pocztą z góry na dół, i wszystko to jest jeden wielki dół, a odręczne wiadomości ociekają goryczą. Teraz też robi mi na złość. Nie zdjął butów, siedzi plecami do mnie, pewnie chcąc oszczędzić mi widoku swojej przez lata na pewno mocno posuniętej w czasie osoby. Nagle przypomina mi się T.K. (i jego farbowane skronie) i zastanawiam się, czy cała sprawa z Klárą to po prostu jego miłość własna (jest zakochany w sobie i chce się przeglądać w młodzieńczym lustrze jej sarnich oczu), czy może rzeczywiście życie popukało go w ramię, mówiąc, że jak się ktoś zadurzy, to wszystko wkoło burzy i nie zbiera nic prócz burzy, a kiedy w ustach Jardy znika ostatni kawałek napoleonki, zaczynam wrzeszczeć i chyba wręcz toczę pianę z pyska, bo Jarda podbiega do mnie z chusteczką i czule ociera mi usta, a upačkane napoleonkami łby reszty gości odwracają się w moją stronę dokładnie w chwili, gdy zaczynam broczyć krwią. Tym razem z nosa, syn uderzył mnie pięścią w twarz, wówczas podnosi się mąż, bo wie, że tampony tamujące krwawienie z nosa od ponad dwudziestu lat leżą w tym samym miejscu, wraca, tamuje. Mąż tamuje, Jarda czule ociera, a dzieci się gapią, nie za bardzo wiedząc, o co tu w ogóle chodzi, bo może i mieli jakiś plan wstępny, ale na pewno nie zakładali, że złączą się o mnie spierać mężczyźni mojego życia.

„Rozwiążcie mnie natychmiast”, wołam, znów podskakując z krzesłem pod

tyłkiem, a moje dłonie, uwięzione w kajdankach morderczo zaciągniętej taśmy bawełnianej, puchną i fioletowieją, pęcznieją niczym nadmuchiwane helem baloniki zwierzątka, hipcio, krowa czy żyrafa, i ciągną mnie ku górze, aż pod sufit.

„Zawsze tak uciekała, jędza”, mówi z niesmakiem mój mąż i pyta Jardy, czy ma ze mną podobne doświadczenia, a Tomáš przynosi, Bóg wie skąd, flintę i mierzy do mnie jak do kaczki ze stawu. Gdybym mogła prowadzić życie takiej cyraneczki, nie miałabym żadnych problemów. I całe zebrane towarzystwo też by ich nie miało, bo najwyraźniej zgromadziło się tu z powodu mojej skromnej osoby (którą wybrało na baranka ofiarnego).

Wiem, że Tomáš byłby w stanie strzelić, choćby ze względu na tę swoją dziunię, która z zazdrości nastawia go przeciwko mnie i która w mojej kolejnej powieści wystąpi jako Niemka Gerda.

Chciałabym szepnąć Tomášowi do ucha, żeby miał własny rozum, i już chcę mu zrzucić linę z mojego obłoczka (fioletowe dłonie są jak ogromne wypełnione deszczem chmury), linę niby ogon mojego *ja*, po którym wespnie się do mnie na górę i stanie po drugiej stronie Twojego tronu, o, taka rodzina całkiem by mi odpowiadała. Ale znów wołają mnie z dołu (ostatecznie zawsze ktoś czegoś ode mnie chce), jęczą jak w limbusie, a ja w swojej niebieskiej bańce słyszę, jak Justýna krzyczy z dołu: „Zrzućcie ją z tego zawzonego balkonu”, i gdybym mogła sterować swoimi sinymi dłońmi, bez oporu poszybowałabym w stronę skrzynek na kwiaty, ale jej słowa brzmią jak rozkaz, chyba chce, żebym zrobiła sobie kuku. A wszystko przez jedną noc z jej gogusiem, nic innego na mnie nie ma, łykam więc z trudem tę gorzką pigułkę i wciągam także Justýnę na mój siny obłok napuchniętych dłoni, nie protestuje, niczym zmęczone szczenię zwija się w kłębek pod krzesłem i zasypia.

Prawdopodobnie dlatego, że chmury nie są kulo odporne, słyszę przy uchu świst pocisku z pistoletu Tomáša i wszyscy z hukiem lecimy w dół, w głowie miga mi jeszcze myśl, kto to teraz wszystko posprząta, chyba będziemy musieli rzucić z Jardą monetą, bo zapowiada się prawdziwy bajzel, szczątki rozbitych ludzi, dusz i wspomnień, pytanie, kto je skleji, czy raczej pozamiata, posegreguje i wyrzuci do odpowiednich kontenerów?

Jarda trzyma mnie na rękach, wygląda na to, że obstawiał reszkę, a wyrzucił orła, sprząta więc, odgarnia nogą śmieci, a ja szepczę mu do ucha: „Jardo, uprzątnij mnie do gabinetu, muszę pracować”, ale chyba nie słyszy,

bo idzie przez salon prosto do przedpokoju, gdzie sadza mnie na krześle i ostrożnie wsuwa moje stopy w czółenka na obcasie.

Widzę, że w ciasnym korytarzu tłoczy się też reszta wysokiego sądu, poobijana po tym upadku z sinych obłoków (większość doznała obrażeń), Justyna podaje mi dużą torbę, wypchaną ubraniami, chyba moimi, „mamo, tu jest szczoteczka, tu pasta, szampon i krem”, po czym płynę w dół po schodach, moje nogi to nogi Jardy, a te drugie, prawdziwe, wymachują czerwonymi butami na obcasie, Jarda niesie mnie w ramionach i czuję się jak mała dziewczynka, która zasnęła w foteliku samochodowym, a teraz ktoś troskliwie niesie ją do łóżka. Za nami maszeruje gęsiego moja rodzina w komplecie, a przed drzwiami do kamienicy stoi dwóch roślących mężczyzn odzianych w biel, osiłki wpychają mnie do ciężarówki Jardy, myślę więc, że pewnie teraz zostawi mnie z tyłu, a sam przesiądzie się do przodu na miejsce kierowcy, ale auto rusza, a Jarda wciąż siedzi obok, rzucam więc poniekąd kąśliwą uwagę: „Od kiedy to twój rzech jeździ bez kierowcy?”. Na co Jarda robi minę, jakby właśnie wystygło mu to jego ukochane mleko, i mówi: „Jedziesz się leczyć, serduszko”. Lecz ja wiem, że taka decyzja musi być dobrowolna, bo podjęta pod tak zwaną presją rodziny ma nader maciupcie szanse na sukces.

Za udostępnienie pracowni dziękuję Meetfactory.

POLECAMY

Najnowsza literatura czeska

Jan Balabán, *Którędy szedł anioł, Wakacje / Możliwe, że odchodzimy*

Tereza Boučková, *Rok koguta*

Roman Cílek, *Ja, Olga Hepnarová*

Emil Hakl, *Zasady śmiesznego zachowania*

Petra Hůlová, *Plastikowe M3, czyli czeska pornografia*

Miroslav Sehnal / Břetislav Uhlář, *Godzina w niebie*

Petra Soukupová, *Zniknąć, Pod śniegiem*

Petr Šabach, *Gównu się pali, Podróże konika morskiego, Masłem do dołu, Pijane banany, Dowód osobisty*

Marek Šindelka, *Zostańcie z nami*

Kateřina Tučková, *Boginie z Žítkovéj*

Seria Czeska Bajka

Pavel Šrut, Galina Miklínová, *Niedoparki, Niedoparki powracają, Niedoparki na zawsze*

Petra Soukupová, *Bercik i niuniuch*

Seria Czeskie Krymi

Iva Procházková, *Mężczyzna na dnie, Rozneglizowane*

O języku czeskim

Zofia Tarajło-Lipowska, *Nowy Kapoan. Strzel i traf do czesko-polskich językowych gaf*

Ekonomia i polityka

Václav Klaus, *My, Europa i świat*

Seria Nowe Polskie

Rafał Niemczyk, *Mama umiera w sobotę*



Wydawnictwo Afera

al. Karkonoska 10

53-150 Wrocław

telefon: (+48 71) 716 48 30

faks: (+48 71) 716 48 31

biuro@wydawnictwoafera.pl

www.wydawnictwoafera.pl